

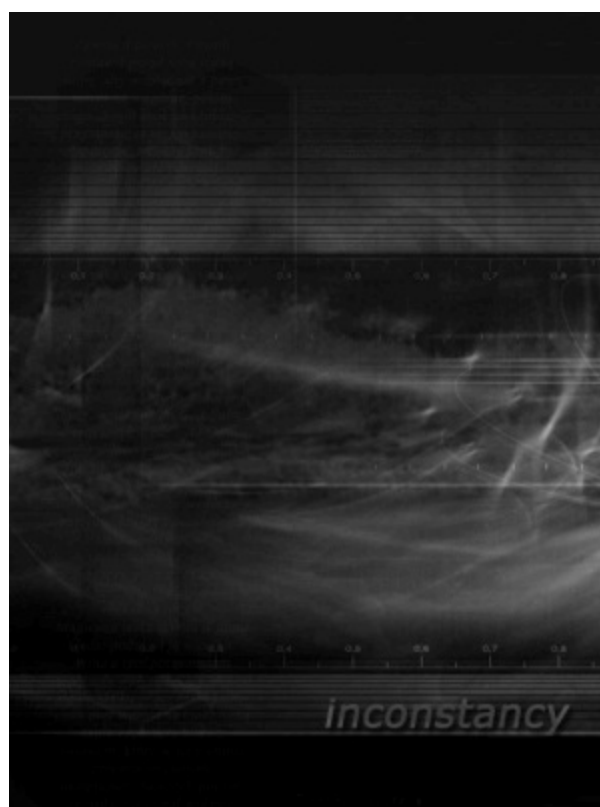
AZAZEL

FANTASY STORIES

ISAAC ASIMOV

ASIMOV ISAAC

Azazel



ISAAC ASIMOV

WPROWADZENIE

W 1980 roku pewien gentleman o nazwisku Eric Protter poprosił mnie o napisanie co miesiąc jednego opowiadania dla magazynu, który właśnie wydawał. Zgodziłem się, bowiem zawsze miałem trudności z powiedzeniem "nie" miłym ludziom (a wszyscy wydawcy, jakich kiedykolwiek poznałem, byli dla mnie ludźmi miłymi).

Pierwsze opowiadanie, jakie napisałem dla tego cyklu było rodzajem typowego fantasy, ponieważ traktowało o niewielkim, zaledwie dwucentymetrowym demonie. Opatrzyłem je tytułem "Getting Even", Eric Protter zaś zaakceptował je i następnie opublikował. Przedstawiłem w nim gentlemana o nazwisku Griswold, będącego równocześnie narratorem oraz trzech innych mężczyzn (włączając w to osobę, która była mną samym, chociaż nigdzie nie wymieniałem własnego nazwiska), stanowiących jego audytorium. Czwórka ta spotykała się co tydzień w Union Club i moim zamiarem było kontynuowanie tego cyklu jako serii opowieści Griswolda snutych właśnie podczas spotkań w owym klubie.

Jednak kiedy próbowałem napisać drugie opowiadanie o niewielkim demonie z "Getting Even" (to nowe opowiadanie zatytułowałem "Jedna noc pieśni"), Eric powiedział "nie". Najwidoczniej odrobina fantasy była dobra na jeden raz i Eric nie chciał, aby pisanie podobnych historyjek stało się moim zwyczajem.

Odłożyłem więc "Jedną noc pieśni" na bok i cały swój czas poświęciłem pisaniu serii tajemniczych opowiadań, tym razem bez żadnej domieszki fantasy. Trzydzieści

z tych opowiadań (Eric nalegał, by były nie dłuższe niż zaledwie 2.200 słów), ostatecznie zebrane zostały w mojej książce The Union Club Mysteries (Doubleday, 1983). Nie zamieściłem w niej jednak opowiadania "Getting Even", ponieważ występujący w nim maleńki demon nie pasował już do reszty zawartego w książce cyklu.

"Jedna noc pieśni" nie przestawała jednakże zaprzętać moich myśli. Nie cierpię marnować czegokolwiek i nie mogę znieść, aby cokolwiek, co napisałem nie zostało opublikowane – o ile oczywiście mogę coś w tym kierunku zrobić. Poszedłem więc do Erica i zapytałem: «To opowiadanie, które odrzuciłeś – "Jedna noc pieśni" – czy mogę je opublikować gdziekolwiek indziej?»

"No jasne" – odparł. – "Pod warunkiem, że zmienisz nazwiska występujących w nim postaci. Ja bowiem życzę sobie, aby historie o Griswoldzie i jego słuchaczach pojawiały się wyłącznie w moim magazynie".

Tak też uczyniłem. Nazwisko Griswold zastąpiłem imieniem George, a liczbę jego słuchaczy ograniczyłem do jednej osoby, czyli mnie. Dokonawszy tego, sprzedałem "Jedną noc pieśni" dla The Magazine of Fantasy and Science Fiction (F & SF). Następnie napisałem drugie opowiadanie z cyklu, o którym myślałem już jako "historie George'a i Azazela", gdzie Azazel było imieniem demona. To opowiadanie zatytułowałem "Uśmiech, który traci" i także sprzedałem dla F&SF.

Do tej pory miałem już jednak swój własny magazyn, Isaac Asimov's Science Fiction Magazine (IASFM), lecz Shawna McCarthy, która była wtedy wydawcą, dość stanowczo sprzeciwiła się mojemu dalszemu publikowaniu fikcji w F&SF.

"Ależ Shawna" – próbowałem oponować. – "Przecież opowiadania o George'u i Azazelu to czysta fantasy, a IASFM publikuje jedynie science-fiction".

"A więc zamień tego małego demona i jego magię na małą pozaziemską istotę dysponującą o wiele bardziej zaawansowaną technologią i sprzedaj te opowiadania mnie" – odparła.

Co też uczyniłem, a ponieważ w dalszym ciągu miałem lekkiego bzika na punkcie tych historyjek o George'u i Azazelu, kontynuowałem ich pisanie, tak więc teraz mogę włączyć osiemnaście spośród nich do niniejszego zbioru pod wspólnym tytułem Azazel. (Włączyłem jedynie osiemnaście, ponieważ bez nalegań Erica o zwięzłości opowiadania o George'u i Azazelu są nierzadko dwukrotnie dłuższe niż te, które pisałem o Griswoldzie).

Ponownie nie włączyłem jednak do tej kolekcji "Getting Even", ponieważ opowiadanie to niezupełnie miało posmak tych późniejszych. Będąc oryginalną inspiracją dwóch całkowicie odmiennych serii, "Getting Even" przypadł w udziale

smutny los "klapnięcia pomiędzy dwa krzesła", nie pasując do żadnego zestawu swoich późniejszych potomków. (Nic nie szkodzi – zostało zantologizowane i być może w przyszłości ukaże się pod innym płaszczkiem. Ale niech nie będzie wam z tego powodu przykro.)

Wróćmy tymczasem do poniższej książki. Jeśli chodzi o zawarte w niej opowiadania, to chciałbym w tym miejscu sformułować na ich temat kilka punktów – z pewnością w trakcie lektury zauważylibyście je sami, ale ja jestem gadułą.

1) Jak już zaznaczyłem, pominąłem tu moje pierwsze opowiadanie o małym demonie, ponieważ nie pasowało do reszty. Jednakże moja piękna wydawczyni Jennifer Brehl upierała się, iż takie opowiadanie jest niezbędne, aby opisać w jaki sposób George i ja spotkaliśmy się, oraz w jaki sposób małeńki demon po raz pierwszy wkroczył w życie George'a. A ponieważ Jennifer, chociaż uosabia samą słodycz, nie można się przeciwstawić szczególnie kiedy zaciśnie swoje niewielkie piąstki, napisałem opowiadanie pod tytułem "Dwucentymetrowy demon"; jest tym, na co nalegała i zostało zamieszczone na początku książki. Co więcej, Jennifer zdecydowała, że Azazel w jednoznaczny sposób winien pozostać demonom, a nie istotą pozaziemską, tak więc ponownie znaleźliśmy się w sferze fantasy. (A tak przy okazji – Azazel jest imieniem biblijnym i czytający Biblię zazwyczaj łączą je z demonom, chociaż akurat ta sprawa jest tam nieco bardziej skomplikowana).

2) Chociaż George przedstawiony jest w tych opowiadaniach jako pewnego rodzaju próżniak, i choć ja osobiście nie lubię próżniaków – to jednak jest on dla mnie sympatyczną osobą. Mam nadzieję, iż wy odniesiecie podobne wrażenia. Postać w pierwszej osobie (którą jest Issac Asimov) jest często przez George'a obrażana i niezmiennie naciągana na kilka dolarów, tyle że wcale o to nie dbam. Jak wyjaśniam to w zakończeniu pierwszego opowiadania, jego opowieści są tego warte, no i zarobiłem na nich o wiele więcej pieniędzy niż dałem ich memu rozmówcy – szczególnie, że owo dawanie było często fikcyjne.

3) Bądźcie proszę świadomi, iż wszystkie te opowiadania są w swoim zamierzeniu humorystycznymi satyrami. Jeżeli stwierdzicie więc, że styl jest nadmiernie napuszony bądź "nieasimovski", to miejcie na uwadze, iż jest to celowe. Potraktujcie to jako ostrzeżenie: nie kupujcie tej książki spodziewając się czegoś innego, bowiem możecie poczuć się rozczarowani. I jeszcze jedno; jeżeli od czasu do czasu wykryjecie lekki wpływ P. G. Wodehouse'a, możecie mi wierzyć, że nie jest takie zupełnie przypadkowe.

DWUCENTYMETROWY DEMON

Po raz pierwszy ujrzałem George'a na zjeździe literatów ładnych kilka lat temu. Pamiętam, iż uderzył mnie wtedy malujący się na jego krągłej twarzy mężczyzny w średnim wieku ów charakterystyczny wyraz niewinności i szczerości. Był typem człowieka – jak zdecydowałem prawie natychmiast – któremu idąc popływać dałbyś na przechowanie swój portfel.

Rozpoznał mnie na podstawie fotografii umieszczanych na tylnych obwolutach moich książek i przywitał się ze mną bardzo serdecznie mówiąc, jak bardzo ceni sobie moje opowiadania i nowele, co, oczywiście, wystawiło mu w moich oczach jak najlepszą opinię o jego inteligencji i dobrym smaku.

–Nazywam się George Bitternut – przedstawił się po kordialnej wymianie uścisków dłoni.

–Bitternut – powtórzyłem chcąc, aby zapadło mi głębiej w pamięci. – Dość niezwykle nazwisko.

–Duńskie – odparł – i bardzo arystokratyczne. Wywodzę się od Knuta, bardziej znanego jako Kanuta, duńskiego króla, który na początku jedenastego wieku podbił Anglię. Moim przodkiem był jego syn urodzony z nieprawego łoża, rzecz jasna.

–Rzecz jasna – mruknąłem potwierdzająco, chociaż wcale nie rozumiałem, dlaczego było to coś, co miało być takie oczywiste.

–Imię Knut otrzymał po swoim ojcu – kontynuował tymczasem George – a kiedy przedstawiono go królowi, ten powiedział: "Na Boga Świętego, czy to mój następca?"

"Niezupełnie" – odparł kołyszący małego Knuta na rękach dworzanin – "ponieważ pochodzi z nieprawego łoża, jako że jego matką była praczka, którą Wasza Wysokość raczył..."

"Aha" – mruknął król. – "Tak lepiej". Tak więc od tamtej pory mój przodek znany był jako Bettercnut. Posiadał tylko nazwisko. Odziedziczyłem je jako męski potomek w prostej linii, lecz zmienne koleje losów i czasów zmieniły je na Bitternut -jego błękitne oczy spojrzały na mnie z rodzajem hipnotycznej szczerości, która wykluczała jakąkolwiek wątpliwość.[Gra słów: That's better – tak lepiej; Bettercnut – lepszy Knut. Bitternut – gorzki orzech. Forkbeard – Widłobrody.]

–Może zje pan ze mną lunch? – zapytałem wskazując dłonią na zabytkową restaurację, która bez wątpienia gościła w swych progach jedynie ludzi o zamożnych portfelach.

–Czyż to bistro nie jest zbyt krzykliwe? – zauważył George. – Może ten bar z przekąskami po drugiej stronie byłby...

–Jako mój gość – dodałem pośpiesznie. George ścisnął usta i powiedział:

–Teraz, kiedy patrzę na to bistro w lepszym świetle widzę, iż ma ono w sobie coś z ciepłej atmosfery domu. Tak, przystaję na pańską propozycję.

Przy głównym daniu George powiedział:

–Mój przodek Bettercnut miał syna, któremu dał na imię Sweyn. To dobre, duńskie imię.

–Tak, wiem o tym – odparłem. – Ojciec króla Kanuta nazywał się Sweyn Forkbeard. W dzisiejszych czasach imię to wymawia się Sven.

–Nie ma potrzeby, chłopie, popisywać się swoją wiedzą na temat tych rzeczy – powiedział George z lekkim marsem na czole. – Akceptuję oczywiście fakt, iż posiadasz pewne podstawy wykształcenia.

Poczułem ogarniające mnie zmieszanie.

–Przepraszam.

Machnął dłonią w szlachetnym geście wybaczenia, zamówił kolejną szklankę wina i powiedział:

–Sweyn Bettercnut zafascynowany był młodymi kobietami, a jako cechę charakterystyczną odziedziczyli to po nim wszyscy Bitternutowie, i odniósł na tym polu spore sukcesy – mógłbym tu dodać, że jak my wszyscy zresztą. Istnieje dobrze udokumentowana powiastka, iż wiele kobiet opuściwszy go rano kiwało z podziwem głowami i mawiało: "Och, cóż to za mężczyzna, ten Sweyn". Był także arcymagiem – przerwał na chwilę, po czym nieoczekiwanie zapytał: – Czy wiesz, co to takiego arcymag?

–Nie – skłamałem, nie chcąc ponownie w obraźliwy dla niego sposób afiszować się swoją wiedzą. – Powiedz mi.

–Arcymag jest mistrzem magów – wyjaśnił George z czymś, co bez wątpienia zabrzmiało jak westchnienie ulgi.

–Sweyn studiował arkana ukrytych, tajemnych sztuk. Wtedy było to możliwe, bowiem nasz wstrętny, współczesny sceptycyzm nie zdołał się jeszcze uformować i okrzepnąć. Zamierzał odnaleźć sposoby na przekonanie młodych dam, aby prowadziły się zgodnie z tym rodzajem łagodnego i uległego zachowania, które

stanowi koronę ich kobiecości, oraz aby zrezygnowały z tego wszystkiego, co przekorne i swawolne.

–Ach – mruknąłem z sympatią.

–Do tego jednak potrzebował pomocy demonów. Udoskonalił więc sposoby ich przywoływania poprzez palenie różnych słodkich ziół oraz wypowiedania pewnych na poły zapomnianych imion mocy.

–Czy to działało, panie Bitternut?

–Mów do mnie George, proszę. Oczywiście, że działało. Demony pracowały dla niego w całych grupach i stadach, ponieważ – na co się często skarżał – kobiety tamtych czasów były uparte i zawzięte oraz sprzeciwiały się jego twierdzeniu, iż jest wnukiem wielkiego króla, czyniąc przy tym niezbyt pochlebne uwagi o naturze jego pochodzenia. Jednakże kiedy wmieszał się w to demon, spostrzegły, że nieślubny syn jest czymś naturalnym.

–Jesteś tego pewien, George? – zapytałem.

–Oczywiście, ponieważ zeszłego lata odnalazłem jego księgę z zaklęciami, które przywoływały demony. Odnalazłem ją w pewnym angielskim zamku, który teraz znajduje się co prawda w ruinie, ale kiedyś należał do mojej rodziny. Wymieniono w niej dokładnie nazwy ziół, sposób palenia, tempa, imiona mocy, intonację. Wszystko. Napisana była językiem staroangielskim – wiesz, anglo-saksońskim – ale ponieważ tak się składa, że jestem lingwistą i...

Poczułem, że ogarnia mnie fala lekkiego sceptyzmu.

–Żartujesz – przerwałem.

Jego spojrzenie stało się nagle wyniosłe.

–Dlaczego tak uważasz? Czyżbym mówiąc to chichotał? Ta księga była autentyczna, a zaklęcia wypróbowałem osobiście.

–I przywołałeś demona.

–Tak, to prawda – odparł wskazując znacząco na kieszeń przy klapie swojej marynarki.

–Jest tam?

George dotknął kieszeni i najwyraźniej miał zamiar skinąć głową, kiedy nagle odniosłem wrażenie, iż jego palce wyczuły coś znaczącego, a raczej nie wyczuły

zgoła niczego. Zajrzał do wnętrza kieszeni.

–Nie ma go – powiedział z rozczarowaniem w głosie. – Zdematerializował się. Ale właściwie nie można go za to winić. Był tu ze mną zeszłej nocy, bowiem ciekaw był tego zjazdu. Wiesz, kroplomierzem dałem mu odrobinę whisky i bardzo ją polubił. Być może nawet za bardzo, bo zapragnął walczyć z tkwiącą w klatce na barze kakadu i zaczął obrzucać ją piskliwymi obelgami. Na szczęście zasnął, zanim obrażony ptak zdołał odwzajemnić mu się tym samym. Dzisiejszego ranka nie wydawał się być w najlepszej formie i jak przypuszczam udał się do domu, gdziekolwiek on może być, aby dojść do siebie.

Poczułem, jak narasta we mnie opór. Czyżby oczekiwał, że w to wszystko uwierzę?

–Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że w kieszeni na piersi nosisz ukrytego demona?

–Takie szybkie zrozumienie sytuacji przynosi ci zaszczyt – powiedział George.

–A jaki jest on duży?

–Ma dwa centymetry.

–Ale to przecież mniej niż cal.

–Absolutna racja. Cal ma 2,54 centymetra.

–Zastanawia mnie, jaki właściwie rodzaj demona ma tylko dwa centymetry wysokości?

–Mały – przyznał George. – Ale jak mówi stare przysłowie: "Lepszy mały demon, niż żaden".

–To zależy jeszcze od jego usposobienia.

–Och, Azazel – takie bowiem ma imię – jest przyjacielskim demonem. Podejrzewam, że w jego rodzimych stronach patrzą na niego odrobinę z góry, ponieważ niezwykle zależy mu by zaimponować mi swymi zdolnościami. Nie używa ich jednak, żeby uczynić mnie bogatym, co powinienem zrobić chociażby z czystej przyjaźni. Ale on mówi, że jego zdolności wykorzystane mogą być jedynie po to, aby czynić dobro innym.

–Daj spokój, George. To z pewnością nie jest filozofia piekieł.

George położył palec na wargach.

–Lepiej nie mów takich rzeczy, chłopie. Azazel poczułby się niezmiernie obrażony.

Mówi, że jego kraj jest życzliwy, obyczajny i wysoce cywilizowany, a o swoich władcach wyraża się z ogromnym respektem, chociaż nie używa przy tym żadnych imion. Nazywa ich po prostu Wszyscy Razem.

–Czy on rzeczywiście czyni dobro?

–Kiedykolwiek tylko może. Weź na przykład przypadek mojej chrześniaczki, Juniper Pen...

–Juniper Pen?

–Tak. Po znamienym błysku ciekawości w twoim oku widzę, że chciałbyś poznać tę historię, więc z przyjemnością ci ją opowiem.

Juniper Pen (powiedział George) w chwili, kiedy zaczyna się ta opowieść była szarooką studentką drugiego roku college'u – niewinną, słodką dziewczyną zafascynowaną szkolną drużyną koszykówki, którą bez wyjątku stanowili wysocy i przystojni młodzi chłopcy.

Tym zaś z drużyny, na którym jej dziewczęce zamiłowania wydawały się być ześrodkowane najbardziej, był Leander Thomson – wysoki, długonogi chłopiec o ogromnych dłoniach, które owijały się dookoła piłki do koszykówki bądź czegokolwiek o kształcie i rozmiarach piłki do koszykówki, a co w jakiś sposób przywodziło na myśl Juniper. On to właśnie był bez wątpienia obiektem jej wrzasków, kiedy siedziała na widowni podczas jednej z gier.

Często opowiadała mi o swoich słodkich, niewinnych marzeniach, ponieważ jak wszystkie młode kobiety – nawet te, które nie są moimi chrześniaczkami – odczuwała impuls zawierzenia mi swych tajemnic. Moja ciepła, ale równocześnie pełna godności postawa sprzyjała zaufaniu.

–Och, wujku George – mawiała – z pewnością nie ma w tym nic złego, że śnię o przyszłości z Leandrem. Widzę go jako największego koszykarza na świecie, jako kwiat pośród najwybitniejszych profesjonalistów, jako właściciela długoterminowego, ogromnego kontraktu. Nie proszę przecież o dużo. Jedyne, czego oczekuję od życia to mały, pokryty dzikim winem dworek, niewielki ogród, ciągnący się tak daleko, jak można sięgnąć okiem, zwykły zestaw służby zorganizowanej w drużyny, wszystkie moje ubrania ułożone alfabetycznie na każdy dzień tygodnia, na każdy miesiąc w roku i...

Zmuszony byłem przerwać tę czarującą paplaninę.

–Maleńka – powiedziałem – w twojej wizji jest jedna drobna skaza. Otóż Leander nie jest dobrym koszykarzem i wątpliwe, aby kiedykolwiek podpisał kontrakt opiekujący na ogromną sumę pieniędzy.

–To niesprawiedliwe – powiedziała odymając wargi. – Dlaczego właściwie nie jest bardzo dobrym graczem?

–Ponieważ tak już urządzony jest ten Wszechświat. Dlaczego nie skierujesz swoich młodych uczuć w stronę kogoś, kto jest dobrym graczem? Lub nie obdarzysz nimi na przykład jakiegoś młodego, uczciwego maklera z Wall Street, któremu trafił się akurat dostęp do jakiejś wewnętrznej informacji?

–Właściwie to myślałam już o tym, wujku George, ale lubię Leandra dla niego samego. Czasami są chwile, kiedy myślę o nim i mówię do siebie w duchu: Czy pieniądze rzeczywiście są takie ważne?

–Cicho, kochanie – odparłem odrobinę wstrząśnięty. Dzisiejsze kobiety są nieprawdopodobnie szczere.

–Ale dlaczego ja także nie mogę mieć pieniędzy? Czyżbym prosiła o tak dużo?

Rzeczywiście, czy było to dużo? Ostatecznie, miałem przecież swojego własnego demona. Co prawda był to demon mały, ale za to o wielkim sercu. Z pewnością zechce dopomóc biegowi prawdziwej miłości, wypełniając słodyczą i światłem dwie młode dusze, których serca były jak jedno na myśl o wspólnych pocałunkach i wspólnych funduszach.

Azazel rzeczywiście wysłuchał mnie, kiedy przywołałem go odpowiednim imieniem mocy. Nie, nie mogę powiedzieć ci, jakie to imię. Czy ty nie masz żadnego pojęcia o elementarnej etyce? A więc, jak już mówiłem, wysłuchał mnie, ale wyczułem, iż czynił to bez szczerzej sympatii, jakiej należałoby oczekiwać po omawianej sprawie. Przyznaję co prawda, że wyciągnąłem go do naszego kontinuum z czegoś, co przypominało zażywanie przyjemności tureckiej łaźni, ponieważ owinięty był maleńkim ręcznikiem i drżał. Jego głos wydawał się wyższy i piskliwszy niż zazwyczaj. (Właściwie to nie sędzę, aby rzeczywiście był to jego głos. Myślę, że on komunikuje się za pomocą pewnego rodzaju telepatii, ale rezultat tego był taki, iż słyszałem – lub też wydawało mi się, że słyszę – piskliwy głosik.)

–Co to takiego ta piłka koszykowa? – chciał wiedzieć Azazel. – Piłka o kształcie koszyka? Jeżeli tak, co to jest w takim razie koszyk?

Próbowałem to wyjaśnić, ale – jak na demona, oczywiście – czasami potrafił być irytująco wręcz tępy. Gapił się na mnie, zupełnie jakbym nie tłumaczył każdego fragmentu gry z olśniewającą prostotą.

–Czy to możliwe, abym osobiście zobaczył taki mecz w koszykówkę? – zapytał w końcu.

–Oczywiście – odparłem. – Mecz jest właśnie dzisiaj wieczora. Leander dał mi

bilet, więc możesz wejść ukryty w mojej kieszeni.

–Doskonale – rzekł Azazel. – Wezwij mnie ponownie, kiedy będziesz już gotowy do wyjścia na mecz. Teraz muszę dokończyć mój zymjig – zakładam, że miał na myśli swoją turecką łaźnię. I zniknął.

Muszę tu wyznać, że przedkładanie przez kogoś swoich drobnych i trywialnych zajęć ponad ogromnymi w swojej istocie sprawami, z którymi jestem związany, jest dla mnie niezmiernie irytujące – co właśnie przypominało mi, mój dobry człowieku, że kelner od jakiegoś już czasu wydaje się próbować zwrócić na siebie twoją uwagę. Sądzę, że ma już przygotowany rachunek. Weź go więc od niego i pozwól mi kontynuować moją opowieść.

Poszedłem więc tamtej nocy na mecz razem z Azazelem, tkwiącym bezpiecznie we wnętrzu mojej kieszeni. Chcąc obserwować przebieg gry bez przerwy wystawiał głowę ponad jej krawędź, co z pewnością wywołałoby lawinę pełnych zdumienia pytań, gdyby ktoś go w takiej chwili zauważył. Jego skóra ma bowiem barwę ogniście czerwoną, a czoło opatrzone jest dwiema wypustkami w kształcie rogów. Na szczęście nie wydostał się z kieszeni w swojej całej krasie, jako że długi na centymetr, muskularny ogon jest jego zarówno najbardziej wydatną, jak i najbardziej odrażającą ozdobą.

Sam osobiście nie należę do gorących wielbicieli koszykówki, pozwoliłem więc. aby Azazel sam połapał się w tym, co akurat działo się na boisku. Jego inteligencja, co prawda bardziej demoniczna niż ludzka, jest całkiem spora.

Po zakończeniu gry powiedział:

–Wydaje mi się, a przynajmniej tyle mogłem zrozumieć śledząc zaciętą szamotaninę grubych, niezdarnych i zupełnie nieinteresujących osobników na tej arenie, że szczególnie entuzjazm wybuchał za każdym razem, kiedy ta dziwaczna piłka przelatywała przez obręcz.

–Właśnie – przytaknąłem. – Wtedy właśnie mówi się, że zdobyłeś kosz, rozumiesz.

–A więc twój protegowany będzie bohaterem tej głupiej gry wtedy, jeżeli za każdym jego rzutem piłka przeleci przez tę obręcz?

–Dokładnie tak

Azazel w zamyśleniu pokręcił ogonem.

–To nie powinno być trudne. Muszę jedynie poprawić jego refleks, tak aby lepiej oceniał kąt, wysokość, siłę... – na chwilę pogrążył się w myśleniu, po czym dodał.

–Zobaczymy, podczas gry odnotowałem jego osobisty zespół koordynacji... Tak, można to zrobić. Właściwie, to już zrobione. Od tej pory ten twój Leander nie będzie miał żadnego problemu z przerzuceniem piłki przez obręcz.

Kolejnego meczu w rozgrywkach oczekiwałem z niejakim podnieceniem. Nie powiedziałem ani słowa małej Juniper, ponieważ nigdy jeszcze nie wykorzystywałem demonicznych mocy Azazela i nie byłem całkowicie pewien, czyjego czyny pozostaną w zgodzie ze słowami. Poza tym chciałem, aby była to dla niej niespodzianka. (Jak się później okazało, była rzeczywiście zaskoczona, tak samo zresztą jak ja).

Dzień meczu wreszcie nadszedł i miał to być Mecz. Nasz lokalny college, Nerdsville Tech, którego drużyny Leander był przygasałą gwiazdą, podejmował chudych łamignatów z Al Capone College Reformatory, powszechnie oczekiwano więc heroicznej batalii.

Jednakże nikt nie podejrzewał, jak bardzo heroicznej. Piątka z Capone wcześniej objęła prowadzenie, a ja poświęciłem się uważnemu obserwowaniu Leandra. Wydawał się mieć kłopoty z wyborem taktyki gry i początkowo jego dłonie jakby gubiły piłkę, kiedy usiłował kozłować. Jak zgadywałem, jego odruchy zostały tak bardzo zmienione, że początkowo nie był w stanie kontrolować własnych mięśni.

Ale potem było już tak, jakby przyzwyczał się wreszcie do swego nowego ciała. Pochwycił piłkę i wydawało się, iż ta wysliznęła się z jego rąk ale cóż to był za rzut! Piłka poszybowała wysoko w powietrze i wpadła w sam środek kosza.

Widownią wstrząsnął dziki okrzyk radości, a zdumiony Leander wpatrywał się w kosz zupełnie tak, jakby zastanawiał się jak do tego doszło.

Jednakże jakkolwiek się to stało, stało się ponownie – i jeszcze raz. Kiedy tylko Leander dotykał piłki, ta zataczała łuk i nieodmiennie lądowała w koszu. Działo się to tak szybko, że nikt nie był w stanie dostrzec czy Leander celował lub czynił jakkolwiek inny wysiłek. Interpretując to jako czyste mistrzostwo, rozentuzjasmowany tłum zaczął popadać w coraz większą histerię.

Potem jednak, oczywiście, wydarzyło się to co nieuniknione: gra przerodziła się w kompletny chaos. Spośród tłumu odzywały się gwizdy; poznaczeni bliznami i obnoszący złamane nosy alumni, którzy kibicowali drużynie Capone Reformatory jęli czynić głośne uwagi raczej obraźliwej natury, więc w wielu punktach sali poszły w ruch pięści. Widzisz, zapomniałem powiedzieć Azazelowi o czymś, co wydawało mi się oczywiste, a z czego on sam nie zdołał zdać sobie sprawy: otóż dwa kosze na sali były identyczne. Jeden był koszem gospodarzy, a drugi gości, zaś każdy z graczy musiał rzucać do kosza drużyny przeciwnej. Piłka natomiast, z całą złośliwością przedmiotu martwego, szybowała w kierunku akurat tego kosza, do którego Leander miał bliżej w chwili jej pochwylenia. W rezultacie Leander często

gęsto wrzucał piłkę do niewłaściwego.

Upierał się przy takim postępowaniu pomimo łagodnych napomnień trenera drużyny Nerdsville Clawsa "Pop" McFanga, który wywrzaskiwał je poprzez pokrywającą mu usta pianę. Pop McFang wyszczerzył wreszcie zęby w pełnym smutku westchnieniu, że oto zmuszony jest zdjąć z boiska takiego zawodnika i rozplakał się otwarcie, kiedy oderwano już jego palce od gardła Leandra, przez co usunięcie gracza mogło zostać przeprowadzone w sposób ostateczny.

Od tamtej pory mój przyjaciel Leander nigdy już nie był takim samym człowiekiem. Początkowo myślałem, naturalnie, że znajdzie ucieczkę w alkoholu i stanie się nałogowym smakoszem win. To mógłbym jeszcze zrozumieć. Ale okazało się, że upadł jeszcze niżej. Powrócił mianowicie na studia.

Pod pełnymi pogardy, a czasami nawet żalu spojrzeniami swoich kolegów przekradał się z wykładu na wykład, zakopał w książkach, aż ostatecznie pogrążył w mrocznych odmętach wiedzy.

Jednak, pomimo tego wszystkiego, Juniper pozostała przy nim. "On mnie potrzebuje" – mawiała choć jej oczy błyszczały od skrywanych z trudem łez. Poświęcając wszystko, wyszła za niego za mąż zaraz po ukończeniu studiów. Trwała przy nim nawet wtedy, kiedy upadł już na samo dno, dając się napiętnować tytułem doktora fizyki.

On i Juniper mieszkają teraz w jakimś mieszkaniu spółdzielczym gdzieś na zachodzie. Uczy fizyki i prowadzi prace badawcze z zakresu kosmogonii, o ile dobrze zrozumiałem. Zarabia 60.000 dolarów rocznie i mówi się o nim pełnym wzburzenia szeptem – szczególnie czynią to ci, którzy znali go jako godnego poważania atletę – iż jest prawdopodobnym kandydatem do Nagrody Nobla.

Juniper nigdy nie narzeka, pozostając wierną swemu upadłemu idolowi. Żadnym słowem ani czynem nie wyraziła jakiegokolwiek uczucia zawodu, nie może jednak tego ukryć przed swoim starym ojcem chrzestnym. Doskonale wiem, iż czasami powraca tęsknymi myślami do oplecionego dzikim winem dworku, którego nigdy nie będzie miała, oraz do falujących wzgórz i odległych horyzontów jej małej, wyśnionej posiadłości.

–I to już koniec tej historii – powiedział George zgarniając skwapliwie przyniesioną przez kelnera resztę i przepisując łączną sumę z potwierdzonego rachunku kredytowego. (Zapewne po to, aby później odpisać ją od początku, jak przypuszczam.)

–Na twoim miejscu – dodał. – Zostawiłbym suty napiwek.

Zrobiłem tak, raczej oszołomiony, kiedy George pożegnał się już i wyszedł. Tak

naprawdę wcale nie przejmowałem się utratą reszty. Uświadomiłem sobie, iż George otrzymał jedynie posiłek, ja zaś miałem gotowe opowiadanie, które mogłem sprzedać jako swoje własne i zarobić na nim wielokrotnie więcej, niż wydałem w tej restauracji.

Postanowiłem więc od czasu do czasu kontynuować wspólne kolacje z moim nowym znajomym.

JEDNA NOC PIEŚNI

Tak się składa, że mam przyjaciela, który czasami daje mi do zrozumienia, iż z bezmiaru otchłani potrafi przywołać duchy.

A przynajmniej jednego ducha – niewielkiego, o ściśle ograniczonej mocy. Mówi o nim czasami, ale jak już to tylko wtedy, gdy dobrnął już do swojej czwartej szkockiej z wodą sodową. To delikatny punkt równowagi – trzy szkockie i nie wie nic o żadnych duchach (z gatunku tych nadprzyrodzonych); pięć szkockich i zasypia.

Pomyślałem, że tego wieczoru osiągnął już odpowiedni poziom równowagi, więc zapytałem:

–Czy pamiętasz tego swojego ducha, George?

–Eh? – mruknął George spoglądając na drinka zupełnie jakby zastanawiał się, dlaczego wymaga on przypomnienia.[Gra słów: spirits – wódka, napój alkoholowy; spirit – duch]

–Nie chodzi mi o twojego drinka – powiedziałem. – Ale o tego małego ducha dwucentymetrowej wysokości, o którym raz mi opowiadałeś, że udało ci się go przywołać z jakiegoś innego miejsca egzystencji. No wiesz, tego o niezwykłych umiejętnościach.

–Ach – ponownie mruknął George, – Azazel. To nie jest jego imię, oczywiście. Jego prawdziwego imienia nie potrafiłbym wymówić, jak sądzę, więc nazywam go po prostu Azazel. Tak, pamiętam go.

–Czy często go wykorzystujesz.

–Nie. Niebezpieczne. Zbyt niebezpieczne. Zawsze istnieje pokusa igrania z taką siłą. A ja jestem ostrożny; diabelnie ostrożny. Jak wiesz, charakteryzuję się wysokim poziomem etyki. To właśnie było powodem, dla którego pewnego razu poczułem się zmuszony pomóc mojemu przyjacielowi. A jaka szkoda z tego wynikła! Okropne! Nawet nie mogę o tym spokojnie myśleć.

–Co się stało?

–No cóż, właściwie to powinienem zrzucić to z piersi – powiedział w zamyśleniu George. – Celem było zaognienie...

Byłem wtedy o wiele młodszy (powiedział George), a w tamtych czasach kobiety stanowiły ważną część w życiu człowieka. Teraz, kiedy spoglądam na to z perspektywy czasu, wydaje się to głupie, ale wyraźnie pamiętam, jak wtedy

myślałem. Otóż dużą różnicę sprawiało to, jaka miała to być kobieta.

Dzisiaj właściwie to sięgasz po nie jak do worka z różnościami, a cokolwiek wyciągniesz, to i tak w gruncie rzeczy wychodzi na to samo. Ale wtedy...

Miałem kiedyś przyjaciela o nazwisku Mortenson – Andrew Mortenson. Nie sądzę, abyś go znał. Ostatnimi laty sam nieczęsto go widywałem.

Chodziło o to, że był wyjątkowo kochliwy i wyjątkowo mocno zadurzył się w pewnej kobiecie. Była aniołem, jak mówił. Nie mógł bez niej żyć. Uznał ją za jedyną w całym wszechświecie i bez niej świat był jedynie kawałkami pokruszonego bekonu, zanurzonymi w smarze do osi. Sam wiesz, jak potrafią mówić zakochani.

Problem polegał na tym, iż w końcu rzuciła go i najwyraźniej uczyniła to w sposób szczególnie okrutny nie zważając na jego urażoną miłość własną. Rozmyślnie upokorzyła go odchodząc z innym, strzelając mu pod nosem palcami i śmiejąc się bezlitośnie z jego łez.

Nie oznacza to, że uczyniła tak dosłownie. Po prostu staram się oddać ogólne wrażenie, jakie mi wtedy opisał. Siedział tu i pił razem ze mną, w tym właśnie miejscu. Moje serce krwawiło na jego widok i w końcu powiedziałem: – Przykro mi, Mortenson, ale nie wolno ci się tak tym zamartwiać. Jeżeli zaczniesz myśleć o tym inaczej, sam uznasz, że jest ona tylko kobietą. Wyjrzyj na ulicę i zobacz: przechadza się ich tam całe mnóstwo.

Jego odpowiedź była zaprawiona wyraźną dawką goryczy:

–Od tej chwili zamierzam prowadzić egzystencję pozbawioną kobiet, przyjacielu – oczywiście za wyjątkiem mojej żony, której co jakiś czas nie będę mógł uniknąć. Chciałbym móc jednak zrobić coś dla tej kobiety w zamian.

–Dla twojej żony? – zapytałem.

–Ależ nie! Dlaczego miałbym robić cokolwiek dla mojej żony? Mówię o zrobieniu czegoś tej kobiecie, która tak nielitościwie porzuciła mnie dla innego.

–A czego, na przykład?

–Niech mnie diabli, jeżeli wiem – wyznał.

–Być może będę mógł ci w tym pomóc – powiedziałem, ponieważ moje serce wciąż jeszcze było pełne współczucia dla jego niedoli. – Mogę wykorzystać do tego celu ducha, obdarzonego zupełnie niezwykłymi umiejętnościami. Oczywiście małego ducha – tu uniosłem palec wskazujący od kciuka na wysokość około cala, aby zrozumiał, o co mi chodzi – który potrafi tylko tyle.

Opowiedziałem mu o Azazelu, a on oczywiście uwierzył mi. Zauważyłem, iż często kiedy opowiadam, jestem bardzo przekonujący. Kiedy ty opowiadasz jakąś historię, chłopie, atmosfera nieufności natychmiast robi się tak gęsta, że można ją kroić nożem, ze mną jednak sprawa ma się zupełnie inaczej. Nie ma to jak być znanym z uczciwości i roztaczania aury szczerej prostoty.

Ale do rzeczy. Wysłuchał moich słów z błyszczącymi oczyma. Zapytał, czy mógłbym postarać się ofiarować jej coś, o co bym go poprosił.

O ile będzie to coś, co nadaje się na prezent – odparłem. – Mam nadzieję, iż nie chodzi ci po głowie coś w rodzaju sprawienia, aby brzydko pachniała, bądź żeby w trakcie rozmowy wychodziła z jej ust ropucha.

– Oczywiście, że nie – zaprotestował z oburzeniem. – Za kogo mnie masz? Ofiarowała mi dwa szczęśliwe lata, z małymi przerwami. Chcę więc w zamian odplacić się czymś równie pięknym. Mówisz, że ten twój duch posiada jedynie ograniczoną moc?

– Jest raczej niewielki – ponownie przy pomocy dwóch palców zademonstrowałem mu jego wzrost.

– Czy może podarować jej doskonały głos? Na jakiś czas. Chociażby na jeden występ.

– Zapytam go – sugestia Mortensona brzmiała niezwykle szarmancko. Jego była pani śpiewała kantaty w lokalnym kościele, o ile jest to prawidłowe określenie. W tamtych dniach miałem całkiem niezłe ucho do muzyki i często uczęszczałem na tego typu imprezy (oczywiście starając się unikać jakichkolwiek towarzyszących im kwest). Właściwie to nawet podobał mi się jej głos, a i publiczność przyjmowała jej śpiew raczej uprzejmie. Wtedy uważałem co prawda, że jej moralność nie bardzo pasuje do otoczenia, ale Mortenson powiedział, że na rzecz sopranistek robią ustępstwa.

Skontaktowałem się więc z Azazelem. Był nawet chętny do pomocy; żadnego z tych nonsensów, no wiesz, o żądaniu w zamian duszy. Zapytałem kiedyś Azazela, czy chce mojej duszy, ale on nie wiedział nawet, co to takiego. Zapytał, co mam na myśli i okazało się, że ja także tego nie wiem. Chodzi chyba o to, że ponieważ w swoim świecie jest taką niewielką osobą, to możliwość udawania ważniaka w naszym świecie napawa go uczuciem wielkiego sukcesu. A zresztą on lubi pomagać.

Powiedział, że uda mu się to załatwić za trzy godziny i Mortenson, kiedy podzieliłem się z nim tą wiadomością orzekł, iż będzie to w sam raz. Wybraliśmy taką noc, kiedy miała śpiewać Bacha lub Haendela, czy jakiegoś innego z tych starych pianistów, i gdzie miała mieć długą i impresyjną solówkę.

Wybranej nocy udaliśmy się razem z Mortensonem do kościoła. Czułem się odpowiedzialny za to, co miało się wydarzyć i pomyślałem, że lepiej będzie, jak wszystkiego dopatrzę osobiście.

–Byłem obecny na próbach – powiedział z przygnębieniem Mortenson. – Śpiewała tak samo, jak zawsze; no wiesz, jakby miała ogon i ktoś bez przerwy by jej go przydeptywał.

Nie były to słowa, jakimi zazwyczaj opisywał jej głos. Muzyka sfer, mawiał przy wielu okazjach, wznosząca się poza dostępne przez nas rejony. Oczywiście, teraz został przez nią rzucony, a to pozostaje nie bez wpływu na osądy mężczyzn. Obrzuciłem go krytycznym spojrzeniem.

–Nie godzi się mówić tak o kobiecie, którą próbujesz obdarzyć niezwykłym podarunkiem.

–No właśnie. Chcę, aby jej głos był doskonały. Naprawdę doskonały. A teraz widzę – kiedy mgła miłości nie przesłania już moich oczu – że ma jeszcze przed sobą daleką drogę. Czy sądzisz, że twój duch potrafi sobie z tym poradzić?

–Zmiana jej głosu wyznaczona została na 8.15 wieczorem – przypomniałem mu i nagle poczułem, jak przenika mnie fala podejrzliwości. – Nie miałeś chyba nadziei, iż spożytkuje twój dar na próbach, a potem rozczaruje publiczność?

–Całkowicie źle to pojmujesz – powiedział.

Koncert zaczął się trochę wcześniej i kiedy wyszła w swej białej sukni na scenę była dopiero 8.14 – zgodnie z moim starym, kieszonkowym zegarkiem, który nigdy nie późni się bardziej niż o dwie sekundy. W niczym nie przypominała dzisiejszych, chuderlawych sopranistek; zbudowana była na ogromną skalę, z pozostawieniem mnóstwa miejsca na ten rodzaj rezonansu, jakiego potrzebujesz gdy sięgasz po wysoką nutę i zagłuszasz orkiestrę. Za każdym razem, gdy wciągała w siebie kilka galonów powietrza, aby manipulować tym wszystkim, dostrzegałem wtedy to, co widział w niej Mortenson – i to nawet poprzez kilka warstw opinającego ją materiału.

Zaczęła śpiewać na swoim zwykłym poziomie, a dokładnie o 8.15 wydarzyło się coś, co mógłbym nazwać dodaniem innego głosu. Zauważyłem, jak drgnęła, zupełnie jakby nie mogła uwierzyć własnym uszom, a jej dłoń, uniesiona do przepony, wydawała się drżeć.

Jej głos osiągnął wyżyny. Było to tak, jakby jej organ wokalny został nagle doskonale nastrojony. Każdą nutę śpiewała perfekcyjnie, każda brzmiała świeżo i czysto w tym momencie, poza którym wszystkie inne nuty o tej samej tonacji były jedynie nieudolnymi kopiami.

Każdy ton precyzyjnie osiągnął odpowiedni stopień wibracji, o ile jest to właściwe określenie, narastając bądź opadając z nieprawdopodobną siłą i kontrolą.

I z każdą nutą radziła sobie coraz lepiej. Organista nie patrzył na partyturę, lecz na nią – co prawda nie mogę tego przysiąc – wydaje mi się, że przestał grać. A nawet gdyby grał, to i tak bym go nie słyszał. Nie było mowy, abyś poza jej śpiewem mógł słyszeć cokolwiek innego. Cokolwiek, poza nią.

Początkowy wyraz zaskoczenia szybko zniknął z jej twarzy zastąpiony wyrazem egzaltacji. Nie trzymała się dłużej muzyki; nie potrzebowała jej. Jej głos śpiewał samoistnie, a ona nie potrzebowała go kontrolować czy kierunkować. Dyrygent zamarł z uniesioną do góry pałeczką, wszyscy w chórze wydawali się oszołomieni.

Kiedy jej solo zakończyło się wreszcie, partia chóru była niczym szept, zupełnie jakby oni wszyscy wstydzili się swoich głosów i byli nieszczęśliwi, że muszą śpiewać w tym samym kościele i tej samej nocy.

Reszta koncertu należała wyłącznie do niej. Kiedy śpiewała, słyszało się tylko ją, nawet jeżeli brzmiał jakiś inny głos. A kiedy nie śpiewała, to zupełnie jakbyśmy siedzieli w ciemnościach, nie mogąc znieść obecności światła.

A kiedy było już po wszystkim – no cóż, w kościele raczej się nie klaszcze, ale oni to właśnie zrobili. Wszyscy w kościele równocześnie zerwali się na równe nogi, jakby za pociągnięciem niewidzialnego sznurka, klaszcząc i klaszcząc, aż jasne było, iż nie przestaną, dopóki nie zaśpiewa ponownie.

I rzeczywiście zaśpiewała. Sama, do wtóru stanowiących jedynie ciche tło organów, skąpana w blasku pojedynczego reflektora, podczas gdy cały chór spowijała ciemność.

Bez wysiłku. Nie masz pojęcia, jak bardzo czyniła to bez wysiłku. Starłem się nie słuchać próbując obserwować jej oddech, pochwycić chwilę, w której nabiera powietrza i zastanawiałem się, jak długo pojedyncza nuta trwać może w swym pełnym nasileniu przy zaledwie jednej parze płuc.

Musiało się to jednak skończyć, toteż wreszcie skończyło się. Ucichły nawet oklaski. Wtedy dopiero uświadomiłem sobie, że przez cały ten czas siedzący tuż obok mnie Mortenson obserwował ją błyszczącymi oczyma, całą swą istotą zaabsorbowany jej śpiewem. I dopiero wtedy zacząłem pojmować, co się właściwie stało.

Ostatecznie jestem równie prosty jak linia Euklidesa i nie nią we mnie żadnej przebiegłości, więc nie sposób było po mnie oczekiwać abym przewidział, co się z nim później stanie. Ty zaś, będąc takim krętaczem, że mógłbyś wbiec na spiralne schody bez żadnego zakrętu, ujrzałbyś to już na pierwszy rzut oka.

Śpiewała w sposób perfekcyjny – ale nigdy już tak nie zaśpiewa.

Zupełnie, jakby od urodzenia była ślepa i na trzy krótkie godziny posiadała wzrok – zobaczyła wtedy wszystko, co było do zobaczenia; wszystkie kolory, kształty i otaczające nas cuda, których nawet nie dostrzegamy, ponieważ tak bardzo jesteśmy już do nich przyzwyczajeni. Załóżmy, że widziałeś to wszystko w pełnej glorii zaledwie przez trzy godziny – a potem oślepieł ponownie!

Możesz znieść swoją ślepotę, jeśli nie dane ci było nic innego. Ale poznać coś na krótko i ponownie powrócić w ciemność? Tego nikt nie potrafi znieść.

Ta kobieta nigdy już, oczywiście, nie zaśpiewała. Ale to tylko część całej historii. Prawdziwa tragedia dotknęła nas, słuchaczy owego koncertu.

Przez trzy godziny słuchaliśmy muzyki, doskonałej muzyki. Czy sądzisz, że kiedykolwiek moglibyśmy ścierpieć słuchania czegokolwiek innego?

Od tamtej pory jestem zupełnie głuchy. Niedawno poszedłem na jeden z tych modnych rockowych festiwali. Chciałem się po prostu sprawdzić. Nie uwierzysz, ale nie byłem w stanie rozróżnić choćby jednej melodii. Wszystko było tam dla mnie jednym wielkim zgiełkiem.

Jedyną pociechą jest mi to, iż Mortenson, który słuchał z większym zapalem i z większą koncentracją, cierpi bardziej niż ktokolwiek spośród obecnych wtedy na widowni. Przez cały czas nosi w uszach zatyczki. Nie może znieść jakiegokolwiek dźwięku powyżej szeptu.

No cóż – zasłużył sobie na to!

UŚMIECH, KTÓRY TRACI

Popijając całkiem niedawno razem z moim przyjacielem George'em piwo (właściwie to on popijał piwo, ja bowiem zadowolilem się oranżadą imbirową), zapytałem: – Jak ostatnimi czasy miewa się twój chochlik? George twierdzi, że na każde swoje zawołanie ma na usługi dwucentymetrowego demona. Jeszcze nigdy nie udało mi się nakłonić go do wyznania, iż jest to jedynie wymysł. Nikomu innemu także nie.

Obrzucił mnie strapionym spojrzeniem, po czym powiedział:

–Ach tak, to ty jesteś tym, który o nim wie! Mam nadzieję, że nie powiedziałeś o nim nikomu innemu.

–Ani słówkiem – odparłem. – Całkowicie wystarczy, że ja sędzę, iż zwariowałeś. Nie potrzebuję, aby ktokolwiek myślał tak samo o mnie. (A zresztą, o ile mi wiadomo George opowiedział już o tym demonie co najmniej kilku osobom, tak więc akurat moja dyskrecja nie była tu czymś niezbędnym.)

–Nie dałbym za twoją irytującą niemożność uwierzenia w cokolwiek, czego nie rozumiesz – a rozumiesz naprawdę niewiele – nawet funta plutonu – orzekł George – A to, co by z ciebie zostało gdyby mój demon kiedykolwiek dowiedział się, iż nazwałeś go chochlikiem, nie byłoby warte nawet atomu plutonu.

–Czy dowiedziałeś się już, jak brzmi jego prawdziwe imię? – zapytałem nie przejmując się zbytnio tą straszliwą groźbą.

–Nie mogłem! Dla ludzkich ust jest ono absolutnie nie do wymówienia. W tłumaczeniu, jak dano mi do zrozumienia, brzmi ono jak: "Jam jest Król Królów; spójrzcie na dzieła me, o wy potężni, i rozpaczajcie". To kłamstwo, oczywiście – powiedział George wpatrując się ponuro w szklankę z piwem. – W swoim świecie jest raczej mało ważną osobistością. To dlatego właśnie jest tak chętny do współpracy tutaj. W naszym świecie, przy naszej prymitywnej technologii, może zabłysnąć.

–Czyżby ostatnio zabłysnął w jakiś sposób?

–Właściwie to tak – odparł z głośnym westchnieniem George i uniósł na mnie swoje lodowato błękitne oczy. Pod wpływem tego wymuszonego wydechu jego nierówne wąsy wydały się jeszcze bardziej nastroszone.

Wszystko zaczęło się od Rosie O'Donnel (powiedział George), zupełnie zachwycającej małej istotki która była równocześnie przyjaciółką mojej siostrzenicy. Miała błękitne oczy, prawie tak samo błyszczące jak moje; rdzawo-brunatne włosy, długie i lśniące; cudownie mały nosek, pokryty piegami w sposób, jaki natychmiast zyskałby aprobatę tych wszystkich pisujących romanse; wdzięczną szyję i szczupłą

figurkę, której zachwycające kształty czarowały obietnicą ekstazy.

Moje zainteresowanie było rzecz jasna czystej intelektualnej natury, ponieważ wiek męskiej rozwagi osiągnąłem już dość dawno temu, zaś teraz angażuję się w konsekwencje fizycznej afekcji jedynie wtedy, gdy nalegają na to kobiety, co, dzięki łasce losu, zdarza się nie częściej niż podczas okazjonalnych weekendów.

Prócz tego Rosie całkiem niedawno poślubiła – adorując w nadmiernie przesadny sposób, co było dla mnie całkowicie niepojęte – ogromnego Irlandczyka, który wcale nie ukrywał faktu, iż jest bardzo muskularną i prawdopodobnie złośliwą osobą. I chociaż nie miałem żadnych wątpliwości, że w moich młodszych latach poradziłbym sobie z nim bez trudności, to jednak smutnym faktem było to, iż nie tkwiłem już w swoich najmłodszych latach.

Dlatego też, chociaż nie bez pewnych oporów, zaakceptowałem tendencję Rosie do omyłkowego uczynienia ze mnie przyjaciela jej własnej płci i wieku oraz powiernika dziewczęcych tajemnic.

Zrozum, nawet jej o to nie winię. Moja naturalna godność oraz fakt, że z wyglądu niezmiennie przypominam ludziom jednego bądź kilku z najszlachetniejszych rzymskich cesarzy, automatycznie przyciąga do mnie młode i piękne kobiety. Nigdy jednak nie pozwoliłem, aby sprawy zaszły zbyt daleko. Zawsze upewniałem się, że pomiędzy Rosie a mną istnieje odpowiedni dystans, ponieważ nie chciałem, aby żadne plotki bądź pomówienia dotarły do uszu niewątpliwie silnego i być może o złym usposobieniu Kevina O'Donella

–Och, George – wykrzyknęła pewnego dnia Rosie klaszcząc z radością w dłonie. – Nie masz pojęcia, jaki mój Kevin jest kochany i jak bardzo czyni mnie szczęśliwą. Czy wiesz, co on robi?

–Nie jestem pewien – zacząłem ostrożnie oczekując nietaktownego raczej wyznania – czy powinnaś...

Niestety, nie zwracała na mnie żadnej uwagi.

–Umie w taki sposób zmarszczyć nos, rozjaśnić oczy i uśmiechnąć się szeroko, że wszystko w nim wydaje się tak bardzo szczęśliwe. Jakby cały świat przemienił się w złoty blask słońca. Och, gdybym tylko mogła mieć fotografię, na której się tak uśmiecha! Próbowałam mu zrobić takie zdjęcie, ale nigdy nie złapałam go w odpowiedniej chwili.

–Dlaczego nie zadowolisz się czymś prawdziwym, kochanie? – zapytałem.

–No cóż – zawahała się, po czym z czarującym rumieńcem powiedziała – musisz wiedzieć, że on nie zawsze jest taki. Ma bardzo trudną pracę na lotnisku i czasami

wraca do domu ogromnie zmęczony i wyczerpany, a wtedy staje się odrobinę drażliwy i potrafi gniewnie na mnie spojrzeć. Gdybym miała jego fotografię, na której byłby taki, jaki jest naprawdę, stanowiłoby to dla mnie otuchę. Wielką otuchę – i w jej błękitnych oczach załśniły nieskrywane łzy.

Przyznaję, że początkowo poczułem coś na kształt impulsu, aby powiedzieć jej o Azazelu (tak właśnie go nazywam, ponieważ wcale nie mam zamiaru nazywać go jego prawdziwym imieniem, jakie podał mi w luźnym raczej tłumaczeniu) i wyjaśnić, co mógłby dla niej zrobić.

Z drugiej strony jestem jednak niewypowiedzianie dyskretny – wobec tego nie mam najmniejszego pojęcia, w jaki sposób ty dowiedziałaś się o moim demonie.

Zresztą zwalczenie tego impulsu było dla mnie łatwe, ponieważ jako człowiek bezkompromisowy i realistyczny nie poddaję się łatwo głupim sentymentom. Gwoli prawdzie przyznaję, iż w swoim surowym sercu mam pewien ciepły zakątek dla młodych dam niezwyklej piękności co sprawia, że często jestem wobec nich szlachetny i wyrozumiały. Przyszło mi więc do głowy, że mogę przecież wyświadczyć jej przysługę nawet nie wspominając o Azazelu. Nie, nie chodzi tu wcale o to, że nie uwierzyłaby mi. Znany jestem przecież z tego, że słowa moje są przekonujące dla wszystkich, za wyjątkiem tych, którzy – tak jak ty – są psychotykami.

Przedstawiłem całą tę sprawę Azazelowi, który bynajmniej nie wydawał się zachwycony.

–Wciąż prosisz mnie o jakieś abstrakcje – powiedział.

–Wcale nie – odparłem. – Proszę cię tylko o zwykłą fotografię. Wszystko, co musisz zrobić, to ją jedynie zmaterializować.

–Och, a więc to wszystko, co muszę zrobić? Jeżeli to takie proste, zrób to sam. Mam tylko nadzieję, że rozumiesz naturę równowagi materii i energii?

–Tylko jedną fotografię.

–Tak, w dodatku z wyrazem czegoś, czego nie potrafisz zdefiniować albo opisać.

–No wiesz, przecież nigdy nie widziałem go patrzącego na mnie w taki sposób, w jaki patrzy na żonę. Pokładani jednak pełną wiarę w twoje umiejętności.

Jak przeczuwałem, owo banalne pochlebstwo podziałało.

–Ty będziesz musiał zrobić mu tę fotografię – powiedział posępnie.

–Ależ ja nie uchwycę...

–Nie będziesz musiał. Ja się tym zajmę, chociaż byłoby o wiele łatwiej, gdybym miał jakiś obiekt materialny do ześrodkowania tej abstrakcji. Innymi słowy fotografii, nawet najbardziej nieadekwatnego rodzaju, bowiem akurat takiej się po tobie spodziewam. I tylko jednej, oczywiście. Nie jestem w stanie dokonać niczego więcej i nie będę naciągał swoich mięśni ani dla ciebie, ani dla żadnej innej z tych pustogłowych, zamieszkujących twój świat istot.

No cóż, często bywa kapryśny. Zakładam, iż łatwym jest określenie znaczenia jego roli oraz uwypuklenie faktu, że nie możesz go brać za coś zupełnie naturalnego.

Spotkałem O'Donnellów już w następną niedzielę, wracających z mszy. (Właściwie to zastawiłem tam na nich pułapkę). Oboje byli w swoich wyjściowych strojach, więc chętnie pozwolili mi się sfotografować. Ona była zachwycona, on zaś wydawał się być odrobinę nie w humorze. Potem, starając się zrobić to niepostrzeżenie, sfotografowałem samą twarz Kevina. Nie było sposobu, aby zmusić go do uśmiechu, zmarszczenia nosa czy czegokolwiek, co Rosie uważała za tak atrakcyjne, ale czułem, że teraz nie jest to ważne. Nie byłem nawet pewien, czy aparat nastawiony był prawidłowo. Ostatecznie, nie jestem jedynym z tych słynnych dzisiaj fotografów.

Odwiedziłem potem przyjaciela, który był fotograficznym czarodziejem. Wywołał oba zdjęcia i powiększył portret Kevina do wymiarów osiem na jedenaście.

Był przy tym raczej gderliwy i przez przerwy mruzczał, jak bardzo jest zajęty, ale ja nie zwracałem na to większej uwagi. Bo i czymże cennym mogłyby być jakieś jego głupie zdjęcia w porównaniu z naprawdę ważnymi sprawami, które mnie pochłaniały? Zawsze zaskakuje mnie liczba; ludzi, którzy nie potrafią tego zrozumieć.

Jednakże kiedy zakończył już powiększanie, jego stosunek do omawianej sprawy zmienił się zupełnie. Przez chwilę wpatrywał się w fotografię Kevina, po czym powiedział tonem, który określić mogę jedynie jako absolutnie obraźliwy.

–Tylko mi nie mów, że akurat tobie udało się zrobić tę fotografię.

–Dlaczego nie? – zapytałem wyciągając po nią rękę, ale on wcale nie kwapił się, aby mi ją oddać.

–Będziesz potrzebował więcej kopii – powiedział.

–Nie, nie będę – odparłem i spojrzałem ponad jego ramieniem na zdjęcie. Było wykonane nadzwyczaj czysto, kolory zaś sprawiały wrażenie żywych. Kevin O'Donnell uśmiechał się, chociaż nie przypominałem sobie, aby w chwili, kiedy robiłem to zdjęcie, na jego twarzy gościł taki właśnie uśmiech. Sprawiał wrażenie przystojnego i serdecznego, ale to akurat nie wzbudziło mojego zainteresowania. Być może kobieta dostrzegłaby w tym zdjęciu coś więcej. Albo mężczyzna, ale taki jak mój przyjaciel fotograf, który – mówiąc tak między nami – niezupełnie do końca

przejawiał cechy przypisywane mężczyznom.

–Tylko jedną odbitkę – poprosił. – Dla mnie.

–Nie – uciałem stanowczo i odebrałem mu fotografię, pochwycając go uprzednio za nadgarstek, aby nie zdążył cofnąć ręki.

–A także poproszę o negatyw. Możesz zatrzymać sobie to drugie zdjęcie – to, na którym stoją oboje.

–Nie chcę tamtego zdjęcia – powiedział z rozdrażnieniem. Kiedy wychodziłem, sprawiał wrażenie nieszczęśliwego.

Po powrocie do domu opравиłem zdjęcie, postawiłem na obramowaniu kominka i odstąpiłem do tyłu, aby przyjrzeć mu się lepiej. Rzeczywiście, promieniowało jakimś nadzwyczajnym blaskiem. Azazel wykonał dobrą robotę.

Zastanawiałem się, jaka będzie reakcja Rosie. Zadzwoiłem do niej i zapytałem, czy mógłbym złożyć jej wizytę. Okazało się, że wychodziła właśnie po zakupy, ale gdybym mógł zjawić się za jakąś godzinkę...

Mogłem i pojawiłem się. Przedtem zapakowałem pięknie mój podarunek i teraz wręczyłem go jej bez słowa.

–Jak to miło! – wykrzyknęła przecinając sznurek i zrywając papier. – Co to takiego? Czy to jakaś rocznica, czy może...

Ujrzała fotografię i głos jej zamarł. Jej oczy rozszerzyły się, a oddech stał się krótszy i bardziej gwałtowny. W końcu szepnęła tylko: "Och, Boże!"

Spojrzała na mnie.

–Zrobiłeś tę fotografię zeszłej niedzieli? Bez słowa skinąłem głową.

–Ależ uchwyciłeś go dokładnie takim, jak ci mówiłam! Jest cudowny! O taki właśnie wyraz mi chodziło! Czy mogę je zatrzymać? Proszę.

–Przyniosłem je dla ciebie – powiedziałem po prostu. Objęła mnie za szyję i pocałowała gwałtownie w usta.

Dla osoby takiej jak ja, nie znoszącej sentymentów, było to oczywiście nieprzyjemne i musiałem wycierać potem wąsy, ale w tym akurat wypadku mogłem zrozumieć jej niezdolność opanowania takiej reakcji. Po tym spotkaniu nie widziałem się z Rosie przez cały następny tydzień.

Pewnego popołudnia spotkałem ją przed sklepem rzeźnickim i byłoby

nieuprzejmością z mojej strony, gdybym nie zaoferował jej swojej pomocy w niesieniu ciężkich toreb do domu. Naturalnie zastanawiałem się, czy będzie to oznaczało kolejny pocałunek i zdecydowałem, iż byłoby niegrzecznie odmawiać, szczególnie gdy nalega na to tak urocza istotka. Rosie była jednak w pewien sposób przybita.

–Jak tam fotografia? – zapytałem zastanawiając się, czy przypadkiem nie uległa zniszczeniu.

Roześmiała się natychmiast.

–Doskonale! Stoi teraz na podstawie mojego gramofonu i to pod takim kątem, abym mogła na nią patrzeć kiedy siedzę przy stole w jadalni. Jego oczy po prostu patrzą na mnie odrobinę z ukosa, tak figlarnie, a jego nos jest zmarszczony, dokładnie tak, jak trzeba. Mogłabym szczerze przysiąc, że jest żywy. I wiesz, niektórzy z moich przyjaciół nie mogą oderwać od tego zdjęcia oczu. Czasami myślę, że powinnam je ukryć, kiedy składają mi wizyty, bo inaczej je kiedyś ukradną.

–Mogliby ukraść jego – powiedziałem żartem.

Na twarz Rosie ponownie powróciła ponura mina. Potrząsnęła głową i powiedziała:

–Nie sądzę. Spróbowałem innego podejścia.

–A co Kevin sądzi o tej fotografii?

–Nie powiedział ani słowa. Ani jednego słowa. Ale widzisz, on nie jest wrokiem. Czasami zastanawiam się, czy on ją w ogóle widział.

Dlaczego mu jej nie pokażesz i po prostu nie zapytasz, co o niej myśli?

Milczała, podczas gdy ja posuwałem się z trudem tuż obok niej, dźwigając te ciężkie torby i zastanawiając się, czy oczekuje dodatkowego całusa.

–Właściwie – powiedziała nagle – to w pracy ma ostatnio tak wiele napięć, że chyba nie byłoby dobrze pytać go o to właśnie teraz. Wraca do domu późno i prawie wcale się do mnie nie odzywa. No cóż, sam wiesz, jacy potrafią być mężczyźni – spróbowała nadać swemu uśmiechowi choćby pozór wesołości, ale nie bardzo jej to wychodziło.

Doszliśmy wreszcie pod blok, w którym mieszkała i gdzie wręczyłem jej siatki.

–Ale dziękuję ci jeszcze raz, i zawsze będę dziękowała za tę fotografię – powiedziała z dziwnym smutkiem w głosie.

I odeszła. Nie poprosiła o pocałunek, a ja byłem tak pogrążony w myślach, iż zdałem sobie sprawę z tego faktu dopiero wtedy, kiedy byłem już w połowie drogi do domu i wydawało się głupie wracać jedynie po to, aby nie czuła się rozczarowana.

Minęło około dziesięciu dni, aż pewnego ranka zadzwoniła do mnie. Czy mógłbym przyjechać i zjeść razem z nią lunch? Zawahałem się na moment i w końcu powiedziałem, że byłoby to nierozważne. Co pomyśleliby o tym sąsiedzi?

–Och, to przecież śmieszne – odparła. – Jesteś tak nieprawdopodobnie stary, to znaczy jesteś takim nieprawdopodobnie starym przyjacielem, że prawdopodobnie nie mogliby... A zresztą potrzebuję twojej rady – wydało mi się, że mówiąc to z trudem tłumiała łkanie.

No cóż, należy być gentlemanem, zjawilem się więc w jej słonecznym mieszkaniu w porze lunchu. Przygotowała kanapki z szynką i serem oraz placek jabłkowy, a na gramofonie, tak jak mówiła, stała fotografia.

Uścisnęła moją rękę nawet nie próbując mnie pocałować, co stanowiłoby dla mnie nawet pewną ulgę gdyby nie to, iż byłem zbyt zaniepokojony jej wyglądem, aby odczuwać jakąkolwiek ulgę. Wyglądała na całkowicie wymizerowaną. Zjadłem pół kanapki czekając, aby wreszcie zaczęła mówić, a ponieważ w dalszym ciągu milczała, zmuszony byłem pierwszy zapytać o powód, dla którego unosiła się wokół niej ta namacalna atmosfera przygnębienia.

–Czy to Kevin? – zapytałem, chociaż byłem pewien, i że chodzi właśnie o niego.

Skinęła głową i wybuchnęła płaczem. Poklepałem ją po dłoni zastanawiając się, czy to wystarczy. Potem z roztargnieniem pogłaskałem ją po ramieniu, aż powiedziała w końcu:

–Obawiam się, że może stracić pracę.

–Z całą pewnością nie. Dlaczego tak uważasz?

–No cóż, jest taki rozwścieczony, w pracy najwyraźniej także. Od wieków się już nie uśmiechał. Nie pocałował mnie, ani nie powiedział miłego słowa już sama nie pamiętam od kiedy. Kłóci się z każdym i przez cały czas. Nie mówi mi, co się stało i wpada we wściekłość, kiedy go o to pytam. Wczoraj zadzwonił jeden z naszych przyjaciół, który pracuje z Kevinem na lotnisku. Powiedział, że Kevin jest w pracy w tak ponurym usposobieniu, że nawet zauważyli to jego zwierzchnicy. Jestem pewna, że straci pracę, ale co mogę zrobić?

Prawdę powiedziawszy spodziewałem się czegoś takiego od czasu naszego ostatniego spotkania i wiedziałem, że po prostu będę musiał wyznać jej całą prawdę. I do diabła z Azazelem. Chrząknąłem.

–Rosie... ta fotografia...

–Tak, wiem – powiedziała i porwawszy ją z gramofonu przycisnęła do piersi. – To ona właśnie dodaje mi siły. To jest prawdziwy Kevin i zawsze będę go miała, zawsze, na przekór wszystkiemu, co się stanie – ponownie zaczęła szlochać.

Nagle stwierdziłem, że to, co muszę jej powiedzieć jest bardzo trudne do powiedzenia, ale nie było innego wyjścia.

–Nie rozumiesz, Rosie. To ta fotografia jest źródłem tego problemu. Jestem tego pewien. Cały ten urok i serdeczność na fotografii musiały skądś przybyć. Zostały zabrane prawdziwemu Kevinowi. Nie rozumiesz tego?

Rosie przestała płakać.

–O czym ty mówisz? Fotografia to przecież tylko skupione światło, film i tego typu rzeczy.

–Zazwyczaj tak, ale ta fotografia... – poddałem się. Znałem przecież wady Azazela. Nie mogłem stworzyć magii tej fotografii z niczego, ale nie byłem pewny, czy umiałby jej naukowo wyjaśnić prawo zachowania radości.

–Pozwól, że powiem w ten sposób – zaryzykowałem. – Tak długo, jak ta fotografia będzie tu stała, Kevin będzie nieszczęśliwy, zły i w ponurym nastroju.

–Ależ ona z pewnością będzie tu stała – odparła Rosie pieczołowicie ustawiając fotografię na poprzednim miejscu. – I doprawdy nie rozumiem, dlaczego wygadujesz głupie rzeczy o tak przepięknym przedmiocie. Poczekaj, zaraz zrobię kawę – gwałtownym ruchem wstała i pobiegła do kuchni, a ja zrozumiałem, że musiała poczuć się dotknięta do żywego.

Zrobiłem więc jedyną możliwą w takiej sytuacji do zrobienia rzecz. Ostatecznie to ja byłem tym, który wykonał tę fotografię. I ja byłem odpowiedzialny – poprzez Azazela – za jego tajemnicze właściwości. Pochwyciłem ramkę, ostrożnie wysunąłem grzbiet, a następnie wyjąłem samo zdjęcie. Przedarłem je na dwie części i darłem dalej – na cztery, osiem, szesnaście – skrawki umieściłem w kieszeni.

Kiedy tylko się z tym uporałem, zadzwonił telefon. Rosie pośpieszyła do saloniku, aby odebrać. Wsunąłem grzbiet na miejsce i postawiłem pustą oprawkę na swoim dawnym miejscu.

Z salonu dobiegł mnie głos Rosie, podniecony i szczęśliwy. – Och, Kevin – słyszałem, jak mówiła – jak to cudownie! Tak się cieszę! Ale dlaczego nic mi nie mówiłeś? Żebyś mi tego nigdy więcej nie robił, słyszysz?

Kiedy wróciła do mnie, jej śliczna twarzą jaśniała pełnią szczęścia.

–Czy wiesz, co ten okropny Kevin zrobił? Od przeszło trzech tygodni ma w nerce kamień – był u lekarza i zrobił badania – cierpiał okropne bóle, była nawet możliwa operacja – ale nie powiedział mi o tym ani słówka z obawy, że mnie zmartwi. To dopiero idiota! Nic dziwnego, że był tak nieszczęśliwy i przygnębiony. I nawet nie przyszło mu do głowy, iż jego zachowanie przysporzyło mi o wiele więcej zmartwień, niż gdybym wiedziała o jego chorobie. Doprawdy, mężczyzn nie powinno się wypuszczać z domu bez opiekunek!

–Ale dlaczego napawa cię to takim szczęściem?

–Ponieważ już go wydalił. Zrobił to właśnie przed chwilą i od razu do mnie zadzwonił, co bardzo chwalebnie o nim świadczy – zważywszy na okoliczności. Był tak radosny i szczęśliwy! Miałam wrażenie, jakby mój stary Kevin znów do mnie powrócił. Jakby stał się znów taki, jak na tej fotografii...

Zaniemówiła na chwilę, a potem jej głos przerodził się w pisk:

–Gdzie ona jest?

Wstałem i raczej szybkim krokiem skierowałem się w stronę drzwi. Będąc już w progu, powiedziałem:

–Zniszczyłem ją. To dlatego wydalił ten kamień. Gdyby nie to...

–Zniszczyłeś! Ty...

Szybko znalazłem się za drzwiami. Nie spodziewałem się wdzięczności, oczywiście, ale w jej oczach czaiło się morderstwo. Nie czekałem na windę i tak szybko, jak tylko w granicach rozsądku mogłem, pośpieszyłem w dół schodów, zaś jej okropne wrzaski ściagały mnie jeszcze przez dobre dwa piętra.

Po powrocie do domu wszystkie skrawki podartej fotografii natychmiast spaliłem.

Od tej pory nie widziałem jej już więcej. Z tego, co mi mówiono wnoszę, iż Kevin stał się czułym i kochającym mężem i są ze sobą bardzo szczęśliwi. A z jednego listu, jaki od niej kiedykolwiek otrzymałem – siedem stron pokrytych gęstym, prawie nieczytelnym pismem – jasno wynikało, że uważa, iż to właśnie ten kamień nerkowy był jedynym wytłumaczeniem złego humoru Kevina, natomiast jego pojawienie się i wydalenie w dokładnej synchronizacji z fotografią było czystym zbiegiem okoliczności.

W owym liście czyniła także raczej mało oględne groźby dotyczące mojego życia i – co już było zupełnie nieprzyzwoite – pewnych części mojego ciała, używając przy tym

takich słów i sformułowań, o których byłem przekonany, iż nigdy w życiu nie mogła nawet słyszeć.

No i oczywiście przypuszczam, że nigdy mnie już nie pocałuje, co z pewnych niejasnych powodów napawa mnie uczuciem zawodu.

WĄTPLIWA WYGRANA

Nieczęsto widuję mego przyjaciela George'a, ale kiedy już się z nim spotykam, stałym zwyczajem dopytuję się o tego małego demona, którego – jak utrzymuje – potrafi przyzywać.

–Pewien łysiejący i podstarzały pisarz science-fiction – zwykł był mawiać George – stwierdził kiedyś, iż technologia, która jest dostatecznie zaawansowana by być ponad uświęcone zwyczaje, sprawiałaby wrażenie magii. A jednak mój mały przyjaciel Azazel nie jest jakimś pozaziemskim dziwadłem, lecz najprawdziwszym demonem. Może i ma jedynie dwa centymetry wzrostu, ale potrafi dokonywać zadziwiających rzeczy. A tak przy okazji – jak się właściwie o nim dowiedziałeś?

–Słuchając ciebie.

Oblicze George'a ściągnęło się nagle pionowymi liniami dezaprobaty, a on sam powiedział grubym głosem:

–Nigdy nie dyskutuję o Azazelu.

–Chyba że o nim po prostu mówisz – odparłem.

–Cóż on ostatnio porabiał?

Wzbierające w piersiach George'a westchnienie było tak głębokie, iż wydawało się brać swój początek gdzieś w okolicach jego butów. W końcu odetchnął, nasycając Bogu ducha winną atmosferę ciężkimi oparami piwa.

–Dotykasz bardzo smutnego punktu – powiedział.

–Mój młody przyjaciel, Teofil, jest chyba jedną z najstraszniejszych ofiar naszych wysiłków, moich i Azazela, chociaż intencje nasze były jak najbardziej zacne – uniósł do ust kufel z piwem, upił łyk i rozpoczął kolejną opowieść. Mój przyjaciel Teofil (powiedział George), którego nigdy nie spotkałeś, ponieważ obraca się w kręgach raczej wyższych niż te, w jakich bywasz, jest wytwornym młodym człowiekiem, wielce podziwiającym wdzięczne kształty i boską postawę młodych kobiet – a więc coś, na co na szczęście jestem całkowicie odporny – ale któremu brakowało umiejętności wzbudzania w nich zainteresowania.

–Nie rozumiem tego, George – powiadał często. – Mam przecież świątły umysł, jestem wybornym rozmówcą, dowcipnym, grzecznym, w miarę przystojnym...

–Tak – odpowiadałem zwykle. – Masz także oczy, nos, brodę i usta we właściwej liczbie i rozmieszczone we właściwych miejscach, jeżeli o to ci chodzi.

–...A także jestem niewiarygodnie wprawiony w teorii miłości, i choć do tej pory nie miałem jeszcze szansy, aby zastosować ją w praktyce, to jednak wydaję się nie być w stanie przyciągnąć uwagi tych cudownych stworzeń. Jak widzisz są wszędzie dookoła nas i żadna nie czyni nawet najślabszych prób nawiązania ze mną bliższej znajomości, chociaż siedzę tu z najprzyjemniejszym wyrazem twarzy.

Moje serce krwawiło nad jego niedolą. Pamiętałem go jeszcze niemowlęciem, ponieważ kiedyś, na prośbę jego matki karmiącej go piersią aż do przesytu, trzymałem go w ramionach, podczas gdy ona poprawiała sukienkę. Takie rzeczy tworzą więź.

–A czy byłbyś szczęśliwszy, mój drogi przyjacielu, gdybyś rzeczywiście przyciągał ich uwagę? – zapytałem.

–To byłby raj – odparł po prostu.

Czyż mogłem odmówić mu raju? Przedłożyłem sprawę Azazelowi, który jak zwykle zademonstrował dość chłodne podejście.

–Czy nie mógłbyś poprosić mnie na przykład o diament? – zapytał. – Mógłbym wytworzyć ci piękny, półkaratowy kamień pierwszej wody przedstawiając po prostu atomy w kawałku węgla – ale nieodparte zainteresowanie kobiet? Jak mam to zrobić?

–A może mógłbyś przestawić jakieś atomy w nim – zasugerowałem starając się być pomocny. – Chciałbym zrobić coś dla niego, chociażby poprzez wzgląd na nieprawdopodobne przymioty odżywcze jego matki.

–No cóż, niech pomyślę. Istoty ludzkie – mruczał Azazel – wydzielają feromony. Oczywiście, przy waszych współczesnych skłonnościach do kąpania się przy każdej okazji i oblewania się sztucznymi zapachami, nie macie większego pojęcia o naturalnym sposobie budzącego natchnienie odczuwania. Mógłbym, być może, tak przestawić biochemiczną strukturę twojego przyjaciela, aby produkowała ona niezwykle ilości niezwykle efektywnego feromonu za każdym razem, kiedy widok jednej z tych niezdarnych samic waszego odrażającego gatunku padnie na siatkówkę jego oka.

–Chcesz przez to powiedzieć, że będzie śmierdział?

–Wcale nie. Świadomie będzie wydzielał jedynie pewną woń, której efekt u samicy twego gatunku przybierze formę niejasnego, atawistycznego pragnienia zbliżenia się i uśmiechnięcia. Prawdopodobnie będzie tak stymulowana, aby wyrazić odpowiedź swoimi własnymi feromonami i sądzę iż wszystko, co potem nastąpi, stanie się zupełnie automatycznie.

–O to właśnie chodzi – uradowałem się. – I jestem pewien, że młody Teofil będzie

się dobrze bawił. Jest bowiem szczerym chłopcem, o ogromnej energii i ambicjach.

O tym, że kuracja Azazela poskutkowała, przekonałem się dopiero wtedy, gdy ponownie natknąłem się na Teofila. Działo się to w kawiarni usytuowanej przy niezwykle ruchliwym chodniku.

Zobaczyłem go dopiero po niejakej chwili, ponieważ początkowo moją uwagę przykuła grupa młodych kobiet, stojących w kolistej symetrii. Na szczęście nie ulegam już wpływom kobiet od chwili, w której osiągnąłem wieki męskiej rozwagi, ale akurat było lato i wszystkie jak jedna ubrane były z wyrachowanymi niedostatkami odzienia, które to niedostatki -jak przystało na mężczyznę w moim wieku – dyskretnie obserwowałem.

Dopiero po kilku minutach, podczas których – jak pamiętam – zauważyłem owo charakterystyczne naprężenie guzików, utrzymujących poszczególne bluzki w zapięciu i zastanawiałem się, czy... ale to nie ma nic do rzeczy. Tak więc dopiero po kilku minutach zauważyłem, iż ośrodkiem tego ogólnego zainteresowania był nie kto inny. jak mój przyjaciel Teofil.

Przepchnąłem się przez krąg kobiet i z bogatym asortymentem ojcowskich uśmiechów, mrugnięć okiem oraz okazjonalnych, dobrotliwych szturchnięć w ramię usiadłem na krześle obok Teofila, które ów ujmujący młodzieniec przysunął mi wydymając przy tym z rozdrażnieniem wargi.

–Teofilu, mój młody przyjacielu – powitałem go. – Jakiż to uroczy i inspirujący widok.

Zauważyłem, że na dźwięk tych słów przez jego twarz przemknął wyraz przeraźliwego smutku.

–Co się stało? – zapytałem z niepokojem.

Szept, który wydobył się spoza jego nieruchomych warg był tak cichy, że prawie go nie słyszałem.

–Na litość boska, zabierz mnie stąd.

Jestem, o czym cię nie muszę przekonywać, człowiekiem o niewyczerpanych zasobach pomysłowości. Było dla mnie sprawą chwili, aby wstać i powiedzieć:

–Drogie panie, mój obecny tu młody przyjaciel, w rezultacie podstawowej potrzeby biologicznej odwiedzić musi przybytek, dostępny wyłącznie dla panów. Jeżeli wszystkie usiądziecie i poczekacie tu na nas, za chwilę będziemy z powrotem.

Weszliśmy do wnętrza niewielkiej restauracji i tylnym wyjściem wyszliśmy na ulicę.

Jedna z młodych dam o bicepsach, które prężyły się w bardzo nieprzyjemny sposób, i która roztaczała wokół siebie równie nieprzyjemną aurę podejrzliwości obeszała restaurację wychodząc na jej tyły, ale spostrzegliśmy ją w samą porę i zdążyliśmy wsiąść do przejeżdżającej akurat taksówki. Ściagała nas jednak, z zatrwającą chyżością przez dwie przecznice.

Kiedy byliśmy już bezpieczni w zaciszu mieszkania Teofila, zapytałem:

–Teofilu, najwyraźniej odkryłeś sekret zwracania na siebie uwagi młodych kobiet. Czy nie jest to ten raj, za którym tak bardzo wzdychałeś?

–Niezupełnie – odparł Teofil odprężając się powoli w klimatyzowanym pomieszczeniu. – One chronią się wzajemnie przed sobą. Nie wiem, jak to się stało, ale nagle odkryłem, jakiś czas temu, że nieznane mi, ładne, młode kobiety podchodzą do mnie i pytają, czy nie spotkaliśmy się poprzednio w Atlantic City, A ja przecież nigdy w życiu nie byłem w Atlantic City! – dodał z oburzeniem.

–Ledwo zaprzeczyłem takiej możliwości – kontynuował – gdy podchodziła druga i twierdziła, iż właśnie upuściłem chusteczkę, którą chciała mi oddać, a potem pojawiała się trzecia i pytała: "Nie chciałbyś grywać w filmach, chłopcze?"

–A więc jedyne, co musisz zrobić, to wybrać sobie którąś z nich – skonstatowałem. – Ja wybrałbym tę, która zaproponowała ci karierę filmową. Pędziłbyś miłe i przyjemne życie, otoczony rojem młodych gwiazdeczek.

–Ależ ja nie mogę wybrać żadnej z nich. Obserwują się nawzajem jak jastrzębie. I za każdym razem, kiedy tylko jednej z nich zaczynam poświęcać odrobinę więcej uwagi, Pozostałe sprzymierzają się przeciwko niej i zaczynają ciągnąć ją za włosy lub po prostu odpychają. Jestem tak samo bezradny, jak zawsze, lecz w tych starych, dobrych czasach nie musiałem przynajmniej gapić się, jak wypinają przede mną biusty.

Roześmiałem się z sympatią i powiedziałem: – A dlaczego nie proponujesz turnieju? Otoczony paniami, jak na przykład dzisiaj, powiedz im: "Moje drogie, głęboko pociągacie mnie wszystkie razem i każda z osobna. Dlatego proszę was, abyście ustawiły się w porządku alfabetycznym, tak aby każda z was mogła mnie po kolei pocałować. Ta z was, która robi to z największym zapamiętaniem, będzie moim gościem przez resztę nocy." Najgorsze, co może cię wtedy spotkać, to mnóstwo żarliwych pocałunków.

–Hmm – mruknął Teofil. – Dlaczego by nie? Wszak zwycięzcy należą się łupy, a ja uwielbiałbym być psuty przez odpowiednią zwyciężczynię – oblizał wargi, a potem ściągnął je i dokonał próbnego pocałunku w powietrze. – Sądzę, że dam sobie z tym radę. Czy sądzisz że byłoby mniej męczące, gdybym upierał się przy pocałunkach z

zarzuconymi na plecach rękami?

–Nie sądzę, mój drogi Teofilu – odparłem z uśmiechem. – Ostatecznie w tego typu turnieju musisz być przygotowany na pewien wysiłek. Podejrzewam, że "wszystkie chwytty dozwolone" byłoby lepszą zasadą.

–Być może masz rację – powiedział Teofil choćby jednym spojrzeniem nie zaszczycając oferującemu mu tę radę, a który mógłby przypomnieć sobie wiele podobnych doświadczeń w tego typu sprawach.

Tak się złożyło, iż krótko po tej rozmowie interesy wezwały mnie do innego miasta, więc z Teofilem zobaczyłem się ponownie po upływie jakiegoś miesiąca. Było to w supermarkecie, gdzie spotkałem go pchającego wózek, prawie w całości wypełniony artykułami spożywczymi. Wyraz jego twarzy, kiedy rozglądał się dookoła, przejął mnie trwogą. Była to twarz człowieka zaszczutego.

Zaszedłem go od tyłu i klepnałem w ramię, a on podskoczył i wydał z siebie zduszony okrzyk. Potem, rozpoznawszy mnie, powiedział:

–Dzięki Bogu... już myślałem, że to jakaś kobieta.

Pokiwałem głową.

–Wciąż ten sam problem? A zatem nie przeprowadziłeś tego turnieju, tak jak ci radziłem?

–Próbowałem. I stąd cały problem.

–Co się takiego stało?

–No cóż... – rozejrzał się niespokojnie po sali i upewniwszy się, że horyzont jest czysty, zaczął mówić do mnie tonem miękkim i pośpiesznym, zupełnie jak osoba przekonana o konieczności zachowania dyskrecji oraz świadoma, iż jej czas jest ograniczony.

–Zaaranżowałem ten turniej – powiedział. – Zmusiłem je, aby wypełniły formularze zgłoszeniowe, kompletne pod względem wieku, używanej pasty do zębów, referencji – a więc to, co zwykle w tego typu sprawach – i wyznaczyłem datę. Postanowiłem, iż odbędzie się on w Wielkiej Sali Balowej hotelu Waldorf-Astoria, zatroszczyłem się o odpowiednią ilość balsamu na wargi, profesjonalnych masażyistów plus butlę z tlenem, co miało mnie utrzymać w dobrej kondycji. Jednakże na dzień przed turniejem do mojego mieszkania zawitał nieznany mi mężczyzna.

–Mówię mężczyzna – ciągnął półgłosem – ale moim oszołomionym oczom prezentował się raczej jak ożywiony wór cegieł. Miał około dwóch metrów wysokości

i półtora szerokości, a jego pięści przypominały kamienie młyńskie. Uśmiechnął się, obnażając kły i powiedział:

–Panie, moja siostra jest jedną z tych, które będą brały udział w jutrzejszym turnieju.

–Miło mi to słyszeć – odparłem, ze wszech miar chcąc utrzymać rozmowę w przyjaznym tonie.

–Moja maleńka siostrzyczka – mówił dalej – delikatny kwiatusek na krzepkim drzewie mojego rodu. Jest oczkiem w głowie trzech moich braci – moim naturalnie także – i żaden z nas nie ścierpiałby myśli, iż mogłaby czuć się rozczarowana.

–Czy pańscy bracia przypominają pana? – zapytałem.

–Niestety nie – odparł z wyraźnym żalem. – W rezultacie przebytej w dzieciństwie choroby przez całe życie byłem karłowaty i zaszuszony. Moi bracia jednakże są postawnymi okazami mężczyzn tego mniej więcej wzrostu – mówiąc to uniósł dłoń wysoko nad głowę.

–Jestem przekonany – zapewniłem żarliwie – że pańska siostra będzie miała znakomite szanse.

–Miło mi to słyszeć. Tak się składa, że posiadam dar jasnowidzenia, który uzyskałem, jak mi się wydaje, jako formę rekompensaty za pewne ułomności fizyczne i jestem dziwnie pewien, że moja mała siostrzyczka wygra ten turniej. Z dziwnych bowiem powodów – mówił dalej – zapalała ona do pana dziewczęcą namiętnością, więc moi bracia i ja bylibyśmy niepokieszeni, gdyby była rozczarowana. A wtedy...

Wyszczerył kły, bardziej nawet niż poprzednio i zaczął powoli wyłamywać palce prawej dłoni, czemu towarzyszył dźwięk przypominający łamanie grubych kości. Co prawda nigdy jeszcze nie słyszałem, jak łamie się gruba kość, ale nagły przyływ jasnowidzenia podpowiedział mi, iż mógłby to być taki właśnie dźwięk.

–Mam przecucie – powiedziałem – że pan może mieć rację. Czy przypadkiem dysponuje pan fotografią rekomendowanej przez siebie damy?

–Może zabrzmiało to dziwnie – odparł – ale dysponuję.

Dobył z kieszeni oprawioną fotografię, a ja patrząc na nią poczułem, jak zamiera mi serce. Nie widziałem najmniejszej możliwości, aby mogła wygrać ten turniej.

A jednak musiało coś być w tym jasnowidzeniu, ponieważ pomimo niewielkich szans owa dama odniosła bezapelacyjne zwycięstwo. Kiedy oficjalnie ogłoszono wynik, nieomal doszło do zamieszek, ale zwycięzcy z niezwykłą skwapliwością

własnoręcznie powyrzucała rywalki z sali i od tej pory jesteśmy na nieszczęście – a raczej na szczęście – nierozłączni. W rzeczy samej oto i ona – ta stojąca przy zamrażarce z mięsem. Jest ogromną pożeraczką mięsa – czasem gotowanego.

Ujrawszy wskazaną dziewicę natychmiast rozpoznałem w niej tę samą osobę, która ścigała naszą taksówkę przez dwie przecznice. Rzeczywiście: zdecydowana kobieta. Przez chwilę podziwiałem jej falujące bicepsy, silne łydki i krzaczaste brwi.

–Wiesz, Teofilu – powiedziałem. – Być może byłoby możliwe obniżenie progu twojego oddziaływania na kobiety do poprzedniego poziomu.

–Nie czułbym się bezpiecznie – westchnął Teofil. – Moja narzeczona i jej potężnie zbudowani bracia mogliby źle zinterpretować ten nagły zanik zainteresowania. A zresztą istnieją pewne rekompensaty. Mogę spacerować na przykład do późnych godzin nocnych jakąkolwiek ulicą w mieście, bowiem mając ją u swego boku czuję się zupełnie bezpieczny. Nawet najbardziej nierozsądny policjant staje się słodki jak cukierek, kiedy tylko krzywo na niego spojrzy. Nie, George, zaakceptowałem swój los. Piętnastego następnego miesiąca pobieramy się, a potem ona przeniesie mnie przez próg naszego domu, zakupionego w prezencie ślubnym przez jej braci. Wiesz, pracując na złomowisku używanych samochodów zdołali zgromadzić całkiem niezłą sumkę, ponieważ aby zaoszczędzić na kosztach, zgniatają je pięściami. Czasem tylko tęsknię...

Jego oczy przebiegły, zupełnie mimo woli, po kruchej postaci pięknej młodej kobiety idącej pomiędzy regałami prosto w jego stronę. Uniosła wzrok akurat wtedy, kiedy na nią patrzył i zauważyłem, iż całym jej ciałem wstrząsnął wyraźny dreszcz.

–Przepraszam – powiedziała nieśmiało. – Ale czy nie spotkaliśmy się ostatnio w tureckiej łaźni?

Nawet kiedy to mówiła, słyszałem za sobą tupot stanowczych kroków i już po chwili przerwał nam zgrzytliwy baryton:

–Teofilku, mój słodki – usłyszeliśmy. – Czyżby niepokoiła cię ta... ta flądra?

Światło miłości Teofila, z czołem pożłobionym dostojnymi zmarszczkami gniewu przysunęła się bliżej młodej damy, która w oczywistym przerażeniu aż się skurczyła.

Wcisnąłem się szybko pomiędzy dwie kobiety – to było ryzykowne, oczywiście, no ale moja nietuzinkowa odwaga jest powszechnie znana.

–To słodkie dziecko jest moją siostrzenicą, madame – powiedziałem. – Śledziła mnie z dystansu i podeszła akurat w tej chwili, chcąc wycisnąć na mym czole niewinny pocałunek. To, że akurat znalazła się obok pani drogiego Teofila, było czystym choć nieuniknionym zbiegiem okoliczności.

Zmartwiałem, bowiem owa brzydka aura podejrzliwości, jaką zauważyłem u ukochanej Teofila już podczas naszego pierwszego spotkania, wydawała się ponownie przybierać na sile.

–Ach tak? – zapytała tonem, w którym bezskutecznie doszukiwałbyś się choćby odrobiny ciepła. – W takim razie chciałabym zobaczyć, jak stąd wychodzicie. Oboje. I to natychmiast.

Pomyślałem, iż najmądrzejszą rzeczą będzie zastosować się do jej rady. Ująłem młodą dziewczynę pod ramię i wyszliśmy, pozostawiając Teofila jego przeznaczeniu.

–Och, proszę pana – powiedziała młoda dama. – Zachował się pan tak odważnie i dowcipnie zarazem. Gdyby nie pośpieszył mi pan na ratunek, z całą pewnością musiałabym opatrywać później zadrapania i siniaki.

–A byłoby to niepowetowaną szkodą – odparłem z galanterią – ponieważ ciało takie, jak pani, absolutnie nie jest przeznaczone do tego, aby pokrywać je zadrapaniami. A tym bardziej siniakami. Ale, ale – wspominała pani coś o tureckiej łaźni. Chodźmy poszukać jakiejś wspólnie. Tak się szczęśliwie składa, że mam taką we własnym mieszkaniu. Właściwie jest to typowo amerykańska wanna, ale mogę panią zapewnić, iż jest to dokładnie to samo.

No cóż, ostatecznie dla zwycięzcy...

TAJEMNICZY GRZMOT

Usilnie staram się nie wierzyć temu, co opowiada mi mój przyjaciel George. Jak bowiem mogę wierzyć człowiekowi twierdzącemu, że potrafi wzywać dwucentymetrowego demona, którego nazywa Azazelem; demona, który tak naprawdę jest osobistością pozaziemską i dysponuje niezwykłymi, lecz ściśle ograniczonymi umiejętnościami?

A jednak George posiada zdolność wpatrywania się we mnie bez mrugania swoimi błękitnymi oczyma i sprawia, iż chwilowo mu wierzę – kiedy mówi. Jest w tym chyba coś z efektu Starożytnego Marynarza, jak przypuszczam.

Powiedziałem mu kiedyś, że moim zdaniem jego mały demon obdarzył go umiejętnością werbalnej hipnozy, lecz George westchnął tylko i powiedział:

–Wcale nie! Jeżeli mi coś oferował, to chyba jedynie przekleństwo nadmiernego zaufania, jakim obdarzają mnie inni – gdyby nie to, iż stało się to moim utrapieniem na długo nim go poznałem. Najbardziej niezwykli ludzie upierają się, aby obarczać mnie ciężarem swoich opowieści o łańcuchu nieszczęść. A czasami... – przerwał i ze zniechęceniem pokiwał głową. – Czasami – podjął po chwili ciężar, jaki w rezultacie tego muszę dźwigać, jest o wiele większy niż zwykła istota z krwi i kości może znieść. Kiedyś na przykład, spotkałem człowieka nazwiskiem Hannibal West...

Zauważyłem go pierwszy (powiedział George) w hallu hotelu, w którym akurat przebywałem. Zauważyłem go w głównej mierze dlatego, że swoją osobą przesłaniał mi widok posągowej i nadzwyczaj skromnie przyodzianej kelnerki. Chyba pomyślał, iż patrzę właśnie na niego – czego z własnej woli raczej nigdy bym nie zrobił – i przyjął to za wstęp do zawarcia znajomości.

Zabrawszy ze sobą drinka podszedł do mego stolika i nie proszony usiadł. Z natury jestem uprzejmą osobą, więc powitałem go przyjacielskim chrząknięciem i spojrzeniem, co zaakceptował bez żadnych komentarzy. Miał jasne,, przylizane do czaszki włosy, wyblakłe oczy, równie wyblakłą twarz, a także skupione spojrzenie fanatyka. Chociaż to ostatnie spostrzegłem dopiero później.

–Nazywam się Hannibal West – powiedział – i jestem profesorem geologii. Jednakże moim szczególnym zainteresowaniem cieszy się speleologia. Czy przypadkiem pan także jest speleologiem?

Natychmiast zorientowałem się, iż jak mu się wydawało, \ rozpoznał we mnie bratnią duszę. Zrobiło mi się mdło na taką możliwość, ale pozostałem uprzejmy.

–Interesują mnie wszystkie dziwne słowa – odparłem. – Co to takiego ta speleologia?

–Jaskinie – powiedział krótko. – Nauka i eksploatacja jaskiń. To moje prawdziwe hobby. Badałem jaskinie na wszystkich kontynentach, za wyjątkiem Antarktydy. Wiem o jaskiniach więcej, niż ktokolwiek na świecie.

–To bardzo miłe – rzekłem – i poruszające.

Sądząc, że w ten sposób zakończyłem to niezbyt satysfakcjonujące spotkanie, skinąłem na kelnerkę, aby uzupełniła mojego drinka i z naukowym zainteresowaniem obserwowałem, jak falującym krokiem zmierza poprzez salę w moją stronę.

Hannibal West, niestety, okazał się mało domyślny.

–Tak – potwierdził skinąwszy energicznie głową. – Dobrze pan ujął, że jest to właśnie poruszające. Badałem jaskinie, które są nieznane światu. Wchodziłem do podziemnych grot, które nigdy jeszcze nie odbijały echa ludzkich kroków. Jestem jednym z kilku żyjących obecnie ludzi, którzy przebywali tam, gdzie jeszcze nie był żaden człowiek – ani kobieta, żeby być ścisłym. Wdychałem krystalicznie czyste powietrze, widziałem rzeczy i słyszałem dźwięki, których nikt nigdy nie widział ani nie słyszał – i przeżyłem.

Z wdzięcznością przyjąłem podanego właśnie drinka podziwiając wdzięk, z jakim kelnerka pochyliła się nade mną gdy stawiała go na stole. Ponieważ moją uwagę skupiało coś zupełnie innego, niezbyt uważnie słuchałem jego wygłoszonego przed chwilą wywodu.

–Jest pan zatem szczęśliwym człowiekiem – stwierdziłem ogólnikowo.

–Myli się pan – odparł West. – Jestem nieszczęśliwym grzesznikiem powołanym przez Pana, abym powziął pomstę za grzechy ludzkości.

Wtedy właśnie, spojrzawszy na niego ostro ujrzałem w profesorskich oczach błysk fanatyzmu, który niemal przygwoździł mnie do ściany.

–W jaskiniach? – zapytałem.

–W jaskiniach – zapewnił mnie skromnie. – Może mi pan wierzyć. Jako profesor geologii dobrze wiem, o czym mówię.

Spotkałem w życiu wielu profesorów, którzy tego akurat nie wiedzieli, ale roztropnie zmilczałem ów fakt.

Być może West wyczytał coś w moich oczach, wyjął bowiem z leżącej u stóp teczki wycinek z gazety i wręczył mi go ze słowami:

–Proszę na to spojrzeć!

Nie powiem, by robił jakieś specjalne wrażenie. Była to trzykapitowa notatka z jakiejś lokalnej gazety. Nagłówek głosił: "Tajemniczy grzmot", a poniżej widniała nazwa miejscowości – East Fishkil, Nowy Jork. Poświęcona była skargom, wnoszonym przez okolicznych mieszkańców posterunku policji odnośnie tajemniczego grzmotu, który powodował ich obawy oraz wzbudzał zaniepokojenie wśród kociej i psiej populacji miasta. Policja oddaliła skargi, kładąc ów dźwięk na karb odgłosów odległej burzy, chociaż synoptycy stanowczo zaprzeczali, jakoby tego w najbliższym rejonie występowały jakiegokolwiek zaburzenia atmosferyczne.

–I co pan o tym sądzi? – zapytał West.

–Mogła to być masowa niestrawność – wyraziłem w trybie przypuszczającym.

Uśmiechnął się szyderczo, zupełnie jakby sugestia ta była poniżej wszelkiej krytyki, chociaż nikt, kto kiedykolwiek doświadczył niestrawności z pewnością by jej za taką nie uważał.

–Posiadam wycinki o podobnej treści z gazet – powiedział – które ukazywały się w Liverpool w Anglii Bogocie w Kolumbii, Mediolanie we Włoszech, Rangoonii w Birnie i przeszło pół setce innych miejsc na całym świecie. Zbieram je. Wszystkie mówią o tajemniczym i przenikliwym grzmocie, wywołującym strach i niepokój, doprowadzającym zwierzęta domowe do szaleństwa. Na dodatek o wszystkich tych wydarzeniach donoszono w zaledwie dwudniowym odstępie czasu.

–Czyli zjawisko o zasięgu światowym – orzekłem.

–Właśnie! Niestrawność, rzeczywiście – obdarzył mnie pełnym potępienia spojrzeniem, upił nieco ze szklanki po czym dotknął dłonią piersi. – Pan złożył w moje ręce potężną broń, a ja muszę się nauczyć jej używać.

–Jaką broń? – zapytałem.

Jego odpowiedź nie dotyczyła jednak bezpośrednio tego pytania.

–Znalazłem tę jaskinię zupełnie przypadkowo – zaczął mówić – co zresztą ucieszyło mnie niezmiernie, bowiem każda jaskinia, która jest zbyt łatwo dostępna, szybko staje się obiektem wycieczek podekscytowanych tłumów. Proszę pokazać mi szczelinę wąską i ukrytą, najlepiej pokrytą roślinnością, przysypaną skałami, przesłoniętą wodospadem, umieszczoną w dodatku w trudno dostępnym miejscu, a zaprezentuję panu wtedy dziewiczą jaskinię wartą eksploracji. Więc powiedział pan, że nie wie nic o speleologii?

–Byłem już w jaskiniach, oczywiście – obruszyłem się. – W jaskiniach Lauray w Wirginii...

–Komercja! – przerwał mi West i wykrzywiając twarz rozejrzał się po podłodze w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca do splunięcia. Na szczęście nie znalazł.

–Ponieważ nie wie pan nic o boskich rozkoszach odkrywania grot – kontynuował – nie będę zanudzał pana opowieściami, jak i gdzie je znalazłem. Oczywiście, eksploracja nowych jaskiń bez pomocy osób drugich nie zawsze jest bezpieczna, ja jednak wolę udawać się na takie wyprawy samotnie. A zresztą nie ma nikogo, kto dorównałby mi doświadczeniem w tego typu sprawach, nie wspominając już o fakcie, że jestem odważny jak lew.

–W tym przypadku rzeczywiście szczęśliwie się złożyło, iż byłem samotny, bowiem żadnej innej istocie ludzkiej nie byłoby dane odkryć tego, co odkryłem ja. Badałem tę jaskinię już od kilku godzin i nagle wszedłem do dużego, cichego pomieszczenia, pełnego stalaktytów u góry i stalagmitów u dołu, nagromadzonych we wspaniałej obfitości form. Zacząłem przeciskać się pomiędzy stalagmitami, rozwijając za sobą sznurek, nie chciałem bowiem zgubić drogi, aż w końcu natknąłem się na coś, co kiedyś musiało być grubym stalagmitem, przełamanym skutkiem swej naturalnej łupliwości. Po jednej jego stronie widniały okruchy wapnia. Co jednak spowodowało owo przełamanie, tego nie potrafię powiedzieć – być może jakieś duże zwierzę uchodząc pogoni wpadło do jaskini 1 w ciemności uderzyło w ten stalagmit, a może po prostu był on słabszy od innych i pękł na skutek niewielkiego trzęsienia ziemi.

–Cokolwiek jednak było przyczyną – ciągnął West – podstawa ściętego stalagmitu była teraz płaska i wystarczająco wilgotna, aby odbijało się w niej światło mojej elektrycznej latarki. Była ona mniej więcej okrągła i w zadziwiający sposób przypominała bęben. Skojarzenie było tak silne, iż automatycznie wyciągnąłem prawą dłoń i postukałem weń palcem.

Zamilkł na chwilę, dopił resztę drinka i zaczął mówić dalej:

–To był bęben, albo przynajmniej struktura, kto pod wpływem stukania produkowała vibracje. Jak tylko jej dotknąłem, w pomieszczeniu rozległ się przyciszony; grzmot; nikły dźwięk tuż na granicy słyszalności, prawie subsoniczny. I rzeczywiście, tak jak później zdołałem ta określić, część dźwięku wysoka na tyle, aby być słyszalna, stanowiła jedynie niewielki ułamek całości. Prawie cały dźwięk wyrażał się silnymi wibracjami zbyt wolnymi jednak, by rejestrował je nasz zmysł słuchu, chociaż powodujący drżenie całego ciała. Ten niesłyszalny łoskot napawał mnie najbardziej nieprzyjemnym uczuciem niepokoju, jakie można sobie tylko wyobrazić.

Nigdy jeszcze nie spotkałem się z takim zjawiskiem. Przecież energia mojego dotknięcia musiała być szczątkowa. Jak zatem mogła przekształcić się w tak potężną wibrację? Nigdy nie udało mi się zrozumieć tego do końca. Przypuszczam jednak, że pod ziemią znajdować się muszą potężne źródła energii. Być może istnieje sposób na wykorzystanie ciepła magmy poprzez przetwarzanie niewielkiej jego części w dźwięk.

Pierwsze stuknięcie mogłoby wtedy służyć uwolnieniu dodatkowej energii dźwiękowej – coś w rodzaju sonicznego lasera, lub jeśli zastąpimy słowo "światło" słowem "dźwięk", raczej "dźwięksera".

–Nie słyszałem dotąd o czymś takim – zauważyłem z powątpiewaniem.

–Ośmielam się twierdzić, że nie mógł pan słyszeć – powiedział z nieprzyjemnym uśmiechem. – To coś, o czym nikt jeszcze nie słyszał. Specyficzna kombinacja pewnych ruchów tektonicznych doprowadziła do stworzenia naturalnego dźwięksera. Jest to coś, co przypadkiem mogło się wydarzyć, być może raz na milion lat, a nawet wtedy w jednym tylko miejscu na całej planecie. Być może jest to najbardziej niezwykły fenomen na Ziemi.

–Widzę, iż zdumiewająco dużo wydedukował pan z jednego uderzenia palcem – wtrąciłem.

–Mogę pana zapewnić, że jako naukowiec nie zadowolilo mnie jedno uderzenie palcem. Przeprowadziłem kilka dalszych eksperymentów. Spróbowałem silniejszych uderzeń, ale szybko przekonałem się, że wywołany tym łoskot może mnie przyprawić o poważny uszczerbek na zdrowiu. Zbudowałem więc urządzenie, dzięki któremu mogłem upuszczać na dźwiękser różnej wielkości kamyki, samemu pozostając w stosunkowo bezpiecznej odległości. Odkryłem, że dźwięk był słyszalny w zadziwiająco dużej odległości od jaskini. Używając prostego sejsmometru ustaliłem, że jestem w stanie wywołać wyraźne vibracje wyczuwalne w odległości kilku mil. W końcu upuściłem na dźwiękser kilka kamieni jeden po drugim, wywołując tym efekt kumulatywny.

–Czy przypadkiem nie było to tego dnia, kiedy na całym świecie słyszano ów tajemniczy grzmot? – zapytałem.

–Właśnie – odparł. – Nie jest pan takim niewypałem umysłowym, na jakiego pan wygląda. Cała planeta rozhuczała się niczym dzwon.

–Słyszałem, że szczególnie silne trzęsienia ziemi wywołują podobny efekt.

Tak, ale ten dźwiękser może wywołać vibracje o wiele bardziej intensywne niż jakiegokolwiek trzęsienie, a w dodatku o szczególnej długości fal, takiej mianowicie, która mogłaby poważnie wstrząsnąć wewnętrzną strukturą komórek – na przykład kwasami nukleinowymi chromosomów.

Rozważywszy głęboko jego słowa powiedziałem:

–To zabiłoby komórkę.

–Z pewnością. I to właśnie mogło zabić dinozaury.

–Słyszałem, że stało się to wskutek zderzenia dużego asteroidu z powierzchnią Ziemi.

–Owszem, ale jeżeli był to rezultat zwykłej kolizji, to rzeczony asteroid musiałby być olbrzymi. Co najmniej dziesięć kilometrów średnicy. A trzeba jeszcze przyjąć pył w stratosferze, trzyletnią zimę no i wyjaśnić, dlaczego jedni gatunki wyginęły, a inne całkiem nielogicznie pozostał przy życiu. Zamiast tego założmy, że był to o wiele mniejszy asteroid, ale który uderzył dokładnie w dźwiękser i spowodował rozerwanie komórek falami dźwiękowymi. Być może dziewięćdziesiąt procent komórek na ca świecie zostało przez to w ciągu paru chwil zniszczonych w dodatku bez żadnego widocznego wpływu na środowisko planety. Pewnym gatunkom udało się przeżyć, innym nie. Zapewne działałoby się tak za sprawą drobnych różnic w strukturze kwasów nukleinowych.

–A więc – powiedziałem mając nieprzyjemne wrażenie, że mówi to całkiem poważnie – to jest ta broń, którą Pan złożył w pańskie ręce?

–Właśnie – potwierdził. – Ustaliłem już dokładnie długość fal dźwiękowych wytwarzanych poprzez różne sposoby uderzenia w dźwiękser, teraz zaś próbuję określić, która z tych długości najlepiej rozerwie łańcuch nukleinowy człowieka.

–Dlaczego człowieka? – zapytałem szybko.

–A dlaczego nie? – odpowiedział podobnym pytaniem. – Jaki gatunek rozpełzł się po całej planecie rujnując środowisko, tępiąc inne gatunki i pompując w biosferę trujące wyziewy? Jaki gatunek zniszczy Ziemię i uczyni ją kompletnie niezdatną do życia za być może mniej niż dekadę? Czyż nie kto inny, jak właśnie Homo Sapiens? Gdybym odkrył odpowiednią długość fal sonicznych, uderzyłbym w mój dźwiękser w odpowiedni sposób i z odpowiednią siłą tak, aby skąpać całą Ziemię w sonicznych wibracjach, które w ciągu dnia lub dwóch – bo z taką szybkością przemieszcza się dźwięk – zniszczyłyby całą ludzkość bez szkody dla innych form życia o innej strukturze kwasów nukleinowych.

–A więc jest pan przygotowany na zniszczenie bilionów istnień ludzkich? – zapytałem z niedowierzaniem.

–Pan zrobił to już raz, powodując Potop...

–Ale chyba nie daje pan wiary biblijnym przypowieściom...

–Jestem kreacyjnym geologiem, sir – przerwał mi z powagą. Z tymi słowy zrozumiałem wszystko.

–Ach – powiedziałem – i Pan obiecał, że nigdy już nie dotknie Potopem Ziemi, ale nie wspominał o falach dźwiękowych.

–Właśnie! Biliony umarłych użyźnią Ziemię i posłużą jako pokarm innym formom życia, tym, które tak bardzo cierpią teraz z rąk człowieka i zasługują przez to na rekompensatę. Co więcej, drobna cząstka rodzaju ludzkiego bez wątpienia przeżyje. Z pewnością ocaleje kilka istot o takim typie kwasów nukleinowych, które nie będą wrażliwe na wibracje soniczne. Ci pozostali, pobłogosławieni Przez Pana, mogliby zacząć wszystko od nowa i być może Zrozumieją nauczkę, iż zło Złem się odciska, że się tak wyrażę.

Dlaczego właściwie mówi mi pan to wszystko? – zapytałem, bo nagle przyszło mi do głowy, że wyznanie tego jest rzeczywiście co najmniej dziwne.

Pochylił się w moją stronę i pochwycił mnie za klapy marynarki – było to raczej nieprzyjemne, ponieważ jego oddech stanowczo nie należał do orzeźwiających.

–Żywię bowiem wewnętrzną pewnością, że może mi pan pomóc w mojej pracy.

–Ja? – upewniłem się kompletnie zaskoczony. – Zapewniam pana, że nie posiadam żadnej wiedzy związanej z falami dźwiękowymi, kwasami nukleinowymi i... – lecz nagle, zastanowiwszy się nad tym głębiej, przerwałem i zacząłem z innej beczki:

–Tak, chyba rzeczywiście będę mógł coś dla pana zrobić – i już bardziej oficjalnym tonem, z ogromną grzecznością, która jest jedną z moich głównych cech charakteru, dodałem: – Czy wyświadczy mi pan grzeczność i poczeka na mnie, powiedzmy, piętnaście minut?

–Ależ oczywiście – odparł równie formalnie. – Oczekując na pana oddam się dalszym zawiłościom matematycznych równań.

Po wyjściu z hallu podałem dyskretnie barmanowi dziesięciodolarowy banknot i szepnąłem:

–Proszę dopilnować aby ten gentleman, o ile mogę tak powiedzieć, nie wychodził aż do mojego powrotu. Proszę posyłać mu drinki i wpisać je na mój rachunek, jeżeli będzie to konieczne.

Nigdy nie zapominam, aby mieć przy sobie tych kilka prostych składników, jakich używam chcąc wezwać Azazela. Po kilku minutach siedział już na nocnej lampce przy moim łóżku, emanując naturalną dlań różową poświatą.

W jego cienkim głosiku zabrzmiał wyraźny wyrzut:

–Przeszkodziłeś mi akurat gdy byłem w samym środku konstruowania pasmaratso, dzięki któremu miałem prawo oczekiwać, że zdobędę serce przeuroczej samini.

–Szczерze żałuję, Azazelu – ubolewałem z nadzieją, że nie będzie mnie zanudzał

opisami natury pasmaratso bądź rozwodził się nad urokami samini, co obchodziło mnie akurat tyle, co brud za paznokciem – ale mam tutaj przypadek zagrożenia o niewyobrażalnym wprost rozmiarze.

–Zawsze to mówisz – prychnął z goryczą. Szybko nakreśliłem mu całą sytuację i muszę przyznać, że połapał się w niej błyskawicznie. W tym akurat jest świetny – nigdy nie wymaga drugich i zawiłych tłumaczeń. Osobiście uważam, że zagląda po prostu do mojego umysłu, chociaż niezmiennie mnie zapewnia, iż moje myśli są dla niego nietykalne. Ale z drugiej strony jak dalece można ufać dwucentymetrowemu demonowi, który jak sam to przyznaje, bez przerwy usiłuje podejść przeuroczą samini, czymkolwiek ona jest, posługując się przy tym mało uczciwymi metodami? A zresztą wcale nie jestem pewien, czy on uważa moje myśli za nietykalne, czy raczej za niemoralne, ale to akurat nie ma tu nic do rzeczy.

–Gdzie jest ta istota, o której mówisz? – zapiszczał.

–W hallu. Dokładnie to...

–Nie musisz się trudzić. Sam potrafię wykryć aurę podupadłej moralności. Chyba już znalazłem. Jak opisałbyś tę istotę?

–Jasne włosy, wyblakłe oczy...

–Nie, nie. Jego umysł.

–Fanatyk.

–Ach, od tego należało zacząć. Mam go – i już widzę, że po powrocie do domu będę musiał wziąć solidną parówkę. Jest gorszy nawet od ciebie.

–Teraz to nieważne. Czy on mówi prawdę?

–O tym dźwiękserze? Sam w sobie to nawet całkiem niezły concept.

–Właśnie. Ale czy to prawda?

–No cóż, to trudne pytanie. Jak często powtarzam przyjacielowi, który uważa się za wielkiego przywódcę duchowego: czym jest prawda? Odpowiem ci w ten sposób: on uważa to za prawdę. Wierzy w to. Jednakże to, w co ludzka istota wierzy – nieważne, jak bardzo żarliwie – niekoniecznie musi być prawdą obiektywną. Prawdopodobnie sam doświadczyłeś czegoś podobnego w swoim życiu.

–Istotnie. Ale czyż nie ma sposobu na odróżnienie takiego przekonania, które wywodzi się z prawdy obiektywnej od takiego, które wywodzi się z innych przesłanek?

–U istot rozumnych z całą pewnością. U istot ludzkich nie ma jednak takiego sposobu. Ale ty najwyraźniej uważasz, iż człowiek ten stanowi ogromne niebezpieczeństwo. Mogę tak przestawić pewne molekuły w jego mózgu, że w wyniku tego będzie martwy.

–Nie, nie! – zaprotestowałem. Może to z mojej strony głupia słabość, ale brzydzę się morderstwem. – A czy nie mógłbyś tak przestawić tych molekuł, aby utracił wszelkie wspomnienia o dźwiękserze?

Azazel wydał z siebie westchnienie przypominające zduszone sapnięcie.

–To naprawdę o wiele trudniejsze. Te molekuły są ciężkie i mocno się siebie trzymają. Doprawdy, dlaczego nie przerwać czysto...

–Nalegam – upierałem się.

–Och, już dobrze – powiedział cierpko Azazel i rozpoczął całą litanię ciężkich westchnień i sapnięć, mających na celu zademonstrowanie mi, jak ciężko pracuje. W końcu powiedział:

–Zrobione.

–Dobrze. Poczekaj tu na mnie, proszę. Sprawdzę tylko, jak poszło i zaraz wracam.

Zbiegłem szybko po schodach i z ulgą stwierdziłem, że Hannibal West w dalszym ciągu siedzi tam, gdzie go pozostawiłem. Kiedy przechodziłem obok baru, barman przymrużył porozumiewawczo oko.

–Nie były potrzebne żadne drinki – powiedział ten złoty człowiek, więc wręczyłem mu jeszcze jeden banknot, tym razem pięciodolarowy.

–A więc jest pan nareszcie – powiedział obrzucając mnie pogodnym spojrzeniem West.

–Istotnie – odparłem. – Bardzo przenikliwe spostrzeżenie. Znalazłem rozwiązanie problemu dźwięksera.

–Problemu czego? – zdziwienie w jego głosie wydawało się automatyczne.

–Tego obiektu, który odkrył pan podczas jednej ze swych eksploracji speleologicznych.

–A co to takiego te eksploracje speleologiczne?

–Pańskie badania jaskiń.

–Panie – powiedział marszcząc czoło West – w życiu nie byłem w żadnej jaskini. Czyś pan oszalał?

–Nie, ale właśnie przypominałem sobie o niezwykle ważnym spotkaniu. Ponieważ prawdopodobnie nigdy się już nie spotkamy, żegnam pana.

Wszedłem do pokoju odrobinę zdyszany i zastałem Azazela mrużąc do siebie pewną pieśń, ulubioną podobno przez mieszkańców jego świata. Doprawdy, ich gust w tym, co nazywają muzyką, jest okropny.

–Jego wspomnienia zniknęły – powiedziałem. – Mam jedynie nadzieję, że na stałe.

–Oczywiście – odparł Azazel. – Następny krok to rozważenie sprawy samego dźwięksera. Jego struktura musi być zorganizowana bardzo precyzyjnie, jeżeli naprawdę może wzmacniać dźwięk kosztem wewnętrznego ciepła Ziemi. Bez wątplenia niewielka ingerencja w jakimś punkcie kluczowym – coś, co leży w granicach moich potężnych możliwości – mogłoby przerwać wszelką aktywność dźwięksera. Gdzie on się dokładnie znajduje?

Oszołomiony, przez chwilę wpatrywałem się w niego bez słowa.

–A niby skąd mam to wiedzieć? – bąknąłem w końcu.

On gapił się na mnie także, ale czy z równym oszołomieniem, tego nie jestem pewny, bowiem nigdy nie potrafiłem zinterpretować wyrazu jego maleńkiej twarzy.

–Jak to? – zapytał. – Chcesz przez to powiedzieć, że zmusiłeś mnie do wymazania jego pamięci nie uzyskawszy uprzednio tak istotnej informacji?

–Po prostu nie przyszło mi to do głowy – przyznałem.

–Ale jeżeli ten dźwiękser rzeczywiście istnieje – jeżeli jego przekonanie oparte było na prawdzie obiektywnej – to przecież może go odnaleźć ktoś inny, może upaść nań duże zwierzę lub uderzyć meteoryt i w każdej chwili za dnia czy nocy życie na Ziemi może zostać zniszczone.

–Boże Przenajświętszy! – jęknąłem. Najwyraźniej moje strapienie musiało go poruszyć, ponieważ powiedział:

–No dalej, przyjacielu, spójrz na to od jaśniejszej strony. Najgorsze, co mogłoby się stać to to, że zagładzie ulegną wszystkie istoty ludzkie. Tylko istoty ludzkie. Nie stanie się tak, o ile będą ludźmi.

Zakończywszy opowieść wyraźnie przygnębiony George oznajmił:

–No i sam widzisz. Muszę teraz żyć z przeświadczeniem, że w każdej chwili nasz świat może dobiec swego kresu.

–Nonsens – zaprzeczyłem z pełnym przekonaniem.

–Nawet jeżeli opowiedziałeś mi prawdę o tym Hannibalu West, co – o ile mi oczywiście wybaczysz – wcale nie wydaje się takie pewne, to być może miewał po prostu jakieś chore urojenia.

George przez chwilę spoglądał na mnie wyniośle, po czym rzekł:

–Nie chciałbym posiadać twojej niemilej tendencji do sceptycyzmu nawet za wszystkie najpiękniejsze samini na świecie Azazela. Jak więc wytłumaczysz to?

Wyjął z portfela niewielki wycinek z gazety. Był to artykuł z wczorajszego nowojorskiego Timesa zatytułowany "Tajemniczy grzmot". Opisywał tajemniczy, odległy grom, który zaniepokoił mieszkańców francuskiego Grenoble.

–Jedynym wyjaśnieniem, George – powiedziałem – jest to, iż najprawdopodobniej przeczytałeś ten artykuł, a potem dorobiłeś do niego całą tę opowieść.

Przez chwilę George sprawiał wrażenie, jakby miał eksplodować świętym oburzeniem, ale kiedy uregulowałem już raczej pokaźny rachunek złagodniał i przy rozstaniu podaliśmy sobie nawet uprzejmie dłonie.

A jednak zmuszony jestem wyznać, iż od tamtej pory nie sypiam zbyt dobrze. Często siadam na łóżku około 2.30 nad ranem, nasłuchując odległego, tajemniczego grzmotu, który – mógłbym przysiąc – wyrwał mnie ze snu.

ZBAWCA LUDZKOŚCI

Mój przyjaciel George, wzdychając pośepnie, powiedział mi pewnego wieczora:

–Mam przyjaciela, który jest klutzem. Zrobiłem mądrą minę i skinąłem z powagą głową.

–Ludzie jednego pokroju – odparłem. George spojrzał na mnie zdumiony.

–A co pióra mają z tym wspólnego?[Gra słów: birds of a feather – ludzie jednego pokroju, feathers – pióra] Doprawdy, posiadasz wielce irytującą zdolność przeskakiwania z tematu na temat. Jest to zapewne rezultatem, jak przypuszczam, niedostatków twojego intelektu – mówię to z żalem, a nie z wyrzutem.

–Dobrze, dobrze – mruknąłem. – Niech ci będzie. A wracając do twojego przyjaciela... czy wspominając o nim miałeś na myśli Azazela?

Azazel był dwucentymetrowym demonem bądź istotą pozaziemską (wybierzcie sami), o który George rozповідаł właściwie bez przerwy, unikając wszelako odpowiedzi na konkretne pytania na jego temat. Także i tym razem w jego głosie wyczułem wyraźną oziębłość.

–Azazel nie jest tematem do dyskusji i naprawdę nie rozumiem, w jaki sposób mogłeś się o nim dowiedzieć.

–Tak się złożyło, że pewnego dnia znalazłem się w odległości mili od ciebie – odparłem ze śmiechem.

George puścił to mimo uszu i rozpoczął kolejną opowieść.

Po raz pierwszy natknąłem się na to niemile brzmiące dla ucha słowo "klutz" w trakcie konwersacji z moim przyjacielem Menandrem Błockiem. Obawiam się, że nigdy go nie spotkałeś, ponieważ jest pracownikiem uniwersyteckim i jako taki należy raczej do wybrednych w doborze przyjaciół, o co, obserwując ciebie, nie można go właściwie winić. Otóż słowo klutz – jak mi powiedział – odnosi się do osoby niezgrabnej i niezręcznej.

–A to właśnie ja – mówił. – Słowo to wywodzi się z języka hebrajskiego i brane dosłownie, oznacza kawałek drewna, kloc; a moje nazwisko, jak to zapewne zauważyłeś, brzmi Błock. [Kloc]

Westchnął ciężko i kontynuował:

–A jednak nie jestem typowym klutzem w dosłownym znaczeniu tego słowa. Nie ma

we mnie niczego drewnianego czy kłocowa tego. Tańczę leciutko jak zefirek i wdzięcznie jak wałka, w każdym ruchu przypominam sylfidę, a wiele młodych kobiet mogłoby poświadczyć, o ile oczywiście bym im na to pozwolił, o moim talencie w trudnej sztuce miłości. Nie, ja jestem raczej klutzem długodystansowym. Bez żadnego wpływu z mojej strony, wszystko dookoła mnie staje się klutzwate. Cały wszechświat wydaje się potykać o własne nogi. O ile zechciałbyś pomieszać języki i połączyć grecki z hebrajskim, to jestem "teleklutzem."

–Od dawna to już trwa, Menandrze? – zapytałem.

–Przez całe moje życie, chociaż sam fakt, iż posiadam tę specyficzną cechę uświadomiłem sobie dopiero wkroczywszy w wiek dojrzały.

–Czy dyskutowałeś o tym z kimkolwiek?

–Oczywiście, że nie, stary druhu. Bez wątpienia poczytany bym został za szalonego. Czy możesz sobie wyobrazić jakiegoś psychoanalityka na przykład, który musiałby zmierzyć się z fenomenem teleklutyzmu? Już w połowie pierwszej sesji polecilby zamknąć mnie w zakładzie dla umysłowo chorych, a sam napisałby o tym odkryciu pracę, traktując ją jako nową psychozę i w rezultacie zostałby prawdopodobnie milionerem. A ja nie mam zamiaru pozwolić się przewieźć do jakiegoś wariatkowa tylko po to, aby wzbogacić jakąś psychomedyczną pijawkę. Nie mogę powiedzieć o tym nikomu.

–Więc dlaczego opowiadasz o tym mnie, Menandrze?

–Ponieważ z drugiej strony wydaje mi się, że muszę o tym komuś opowiedzieć, o ile mam pozostać przy zdrowych zmysłach. A tak się składa, że jesteś najmniej ważną z osób, które znam.

Nie bardzo mogłem się połapać w tym akurat punkcie jego rozumowania, ale już wiedziałem, że ponownie stanę się mimowolnym powiernikiem cudzych nieszczęść. Była to cena, z czego doskonale zdaję sobie sprawę, jaką bez przerwy płacę za moje przysłowiowe już zrozumienie, sympatię oraz – a właściwie przede wszystkim – za moją powszechnie znaną dyskrecję. Żaden powierzony mi sekret nie dociera nigdy do uszu kogokolwiek innego – dla ciebie robię oczywiście wyjątek, ponieważ wiadomo, iż okres twojej uwagi nie trwa dłużej niż pięć sekund, zaś pamięć masz jeszcze krótszą.

Zamówiłem kolejnego drinka i pewnym tajemnym gestem zasygnalizowałem, aby dopisano go do rachunku Menandra. Ostatecznie mnie się też coś od niego należy.

–A jak się właściwie przejawia ten teleklutyzm, Menandrze? – zapytałem.

–W swojej najprostszej formie a także w sposób, który pierwszy zwrócił na siebie

moją uwagę, objawia się on szczególnymi warunkami pogodowymi, jakie nieodmiennie towarzyszą moim podróżom. Nie podróżuję co prawda bardzo często, ale kiedy już to robię, wyruszam samochodem. I dokładnie wtedy zaczyna padać. Nieistotne, jaka była prognoza pogody; nieważne, jak jest pięknie kiedy wyruszam w podróż. Chmury zbierają się, gęstnieją i po chwili zaczyna się śnieżyć, a następnie lać. A kiedy mój teleklutyzm jest w szczególnie kiepskim nastroju, to temperatura obniża się i zaczyna padać grad.

Oczywiście, staram się być ostrożny, czasami aż do przesady. Odmawiam jeżdżenia do Nowej Anglii w marcu. Zeszłej wiosny pojechałem do Bostonu szóstego kwietnia – co natychmiast zaowocowało pierwszą burzą śnieżną w historii Bostońskiego Departamentu Synoptyki. Pewnego razu pojechałem dwudziestego ósmego marca do Williamsburga w Wirginii zakładając, że skoro jadę na południe, to być może uzyskam kilka dni wytchnienia. Akurat! W Williamsburgu spadło tego dnia dziewięć cali śniegu, a mieszkańcy miasta rozcierali go w palcach i pytali, czym jest ten biały proszek.

Wiesz, często sobie myślę, że jeżeli przedstawiliśmy sobie Wszechświat pod osobistym kierownictwem Boga, to łatwo moglibyśmy wyobrazić sobie Gabriela, jak biegnie przed boski majestat i krzyczy: "O Przenajświętszy, dwie galaktyki za chwilę zderzą się ze sobą, co spowoduje niewyobrażalną katastrofę!" Bóg zaś mu odpowiada: "Nie zawracaj mi teraz głowy, Gabrielu, jestem zajęty sprowadzaniem deszczu na Menandra."

–Ale przecież możesz poprawić tę sytuację, Menandrze – powiedziałem. – Dlaczego nie zaczniesz wynajmować swoich usług i to za żywą gotówkę, jako likwidator susz?

–Myślałem o tym, ale już sama taka myśl wystarcza do powstrzymania deszczu, który musiałyby wystąpić podczas moich podróży w potrzebujące tego okolice. A zresztą, gdyby deszcz lunął wtedy, kiedy jest potrzebny, to prawdopodobnie zakończyłoby się to powodzią.

I nie chodzi tu tylko o deszcz, czy o korki na ulicach lub znikanie punktów orientacyjnych w terenie; dzieją się miliony innych rzeczy. Kosztowne przedmioty same z siebie w mojej obecności pękają, bądź bez żadnej winy z mojej strony są upuszczane przez innych. W Batawii w stanie Illinois pracuje skomplikowany akcelerator cząsteczek. Pewnego dnia niezwykle ważny eksperyment został zaprzeczony z powodu awarii komory próżniowej, której to awarii w żaden sposób nie można było racjonalnie wytłumaczyć. Tylko ja wiem (przeczytawszy o tym wypadku następnego dnia w gazecie), że w samym momencie awarii przekraczałem rubieżę miasta jadąc autobusem. Oczywiście, wtedy padało.

A w tej właśnie chwili, mój drogi przyjacielu, niektóre z owych wyśmienitych, pięciodniowych win w piwnicach tego wspaniałego przybytku starzeją się w

butelkach ze sztucznego tworzywa, kwaśniej. Ktoś mijający ten stolik w tej właśnie chwili stwierdzi po powrocie do domu, że rury w piwnicy jego domu popękały dokładnie w tym momencie, kiedy mnie mijał; z tym zastrzeżeniem oczywiście, iż nie będzie wiedział, że minął mnie w tym właśnie momencie i że owo minięcie było przyczyną popękania rur. I tak będzie z wieloma innymi wypadkami – to znaczy rzekomymi wypadkami.

Zrobiło mi się żal mojego młodego przyjaciela, lecz równocześnie krew zakrzepła mi na myśl, że oto siedzę tu obok niego, a w moim przytulnym mieszkanku akurat teraz dzieje się jakaś straszliwa katastrofa.

–A więc, jednym słowem, przynosisz po prostu pecha! – zakrzyknąłem.

Menander odrzucił głowę do tyłu i zmarszczywszy brwi popatrzył na mnie w bardzo nieprzyjemny sposób:

–Pech – powiedział – to określenie pospolite; teleklutz jest terminem naukowym.

–Nieważne, pech czy teleklutz. Przypuśćmy, iż powiedziałbym ci, że może mógłbym zdjąć to ciężące nad tobą przekleństwo?

–Przekleństwo to właściwe określenie – przyznał ponuro Menander. – Często myślę, że w dniu moich urodzin jakaś złośliwa wróżka, rozdrażniona brakiem zaproszona na chrzest... Czy ty aby nie próbujesz mi powiedzieć, że możesz odwołać to przekleństwo, ponieważ jesteś dobrym czarodziejem?

–Nie jestem żadnym czarodziejem – odparłem ostro. – Po prostu założmy, że mogę usunąć to prze... tę twoją właściwość.

–Jakim cudem mógłbyś tego dokonać?

–Niezupełnie cudem – odparłem. – Ale co właściwie o tym myślisz?

–A co ty będziesz z tego miał? – zapytał z nagłą podejrzliwością w głosie.

–Radujące me serce uczucie, że pomogłem przyjacielowi wyzwolić się spod brzemienia tak straszliwego życia.

Menander zamyślił się na chwilę, po czym pokręcił zdecydowanie głową.

–To nie wystarczy.

–Oczywiście, jeżeli zechcesz zaoferować mi niewielką sumkę...

–Nie, nie. Nawet nie przyszłoby mi to do głowy, aby obrażać cię w ten sposób. Oferować pieniądze przyjacielowi? Ograniczyć przyjaźń do jej wartości finansowej?

Jak możesz tak o mnie myśleć, George? Mówiąc, że to nie wystarczy chciałem powiedzieć, iż usunięcie mojego teleklutyzmu to za mało. Musisz zrobić coś więcej.

–A cóż tu można zrobić więcej?

–Pomyśl! Przez całe moje życie odpowiedzialny jestem za całe mnóstwo niedogodności i katastrof, które dotknęły być może miliony niewinnych ludzi. Nawet jeżeli od tej chwili nie przyniosę już żadnego nieszczęścia komukolwiek, to zło, które wyrządziłem do tej pory – chociaż za każdym razem mimowolnie – jest większe, niż jestem w stanie udźwignąć. Muszę zrobić coś, co przekreśli to wszystko za jednym pociągnięciem.

–Co, na przykład?

–Muszę mieć możliwość uratowania ludzkości.

–Uratowania ludzkości?

–Cóż bowiem innego może stanowić odpowiednią przeciwwagę wobec ogromu spowodowanych przeze mnie nieszczęść? George, nalegam na to. Jeżeli możesz usunąć ciężące nade mną przekleństwo, zastąp je zdolnością do uratowania ludzkości przed jakimś dużym kryzysem.

–Nie jestem pewny, czy mogę to zrobić.

–Spróbuj, George. Nie lękaj się tego kryzysu. Zawsze powiadam, że jeżeli masz już coś zrobić, zrób to dobrze. Pomyśl o ludzkości, drogi przyjacielu.

–Chwileczkę – zaoponowałem nagle zaalarmowany.

–Ty po prostu przerzucasz to wszystko na moje ramiona!

–Oczywiście, że tak, George – odparł ciepło Menander. – Szerokie ramiona! Silne! Stworzone do dźwigania ciężarów! Idź teraz do domu, George i postaraj się zdjąć ze mnie to przekleństwo. Wdzięczna ludzkość zaleje cię deszczem błogosławieństw jeśli się o tym dowie, ale nie dowie się, bo nikomu o tym nie powiem. Twoje dobre uczynki – możesz na mnie polegać w tym względzie – nigdy nie zostaną narażone na kłopotliwe dla ciebie ujawnienie.

Jest coś pięknego w bezinteresownej przyjaźni, która nie może być zastąpiona niczym na ziemi. Natychmiast wstałem, chcąc jak najprędzej przystąpić do działania i wyszedłem tak szybko, że zapomniałem zapłacić mojej połowy rachunku za kolację. Na szczęście Menander nie zauważył tego, dopóki nie znalazłem się bezpiecznie za drzwiami restauracji.

Miałem pewne kłopoty ze skontaktowaniem się z Azazelem, a kiedy wreszcie udało mi się go przywołać, sprawiał wrażenie niezadowolonego.

–Czy nie przyszło ci do głowy, że mogę akurat brać prysznic? – zapytał mnie swoim piskliwym głosem, podczas gdy jego dwucentymetrowe ciało jarzyło się różową poświatą.

Rzeczywiście, wyczułem unoszącą się dookoła niego słabą woń amoniaku.

–Powodowało mną niebywale zagrożenie – rzekłem pokornie – o Wielki-dla-Którego-Słowa-Są-Niewystarczające.

–No dobrze, mów więc, ale postaraj się, aby nie zajęło to całego dnia.

–Oczywiście – odparłem i nakreśliłem mu całą sprawę z podziwu godną zwięzłością.

–Hmm – mruknął Azazel. – Po raz pierwszy przedstawiłeś mi naprawdę interesujący problem.

–Doprawdy? Chcesz przez to powiedzieć, że rzeczywiście istnieje coś takiego jak teleklutyzm?

–Och, tak. Widzisz, mechanika kwantowa wykazuje niezwykle jasno, iż właściwości Wszechświata zależą w pewnym stopniu od obserwatorów. I tak jak Wszechświat oddziałuje na obserwatora, tak obserwator oddziałuje na Wszechświat. Niektórzy obserwatorzy oddziałują nań niepomyślnie, a przynajmniej niepomyślnie w odniesieniu do innych obserwatorów. Tak więc jeden obserwator przyspieszyć może wybuch gwiazdy, co z kolei zirytowałoby innych obserwatorów, którzy w tym czasie mogliby się znaleźć nieprzyjemnie blisko owej gwiazdy.

–Rozumiem. No cóż, czy mógłbyś więc pomóc mojemu przyjacielowi Menandrowi i pozbawić go tego kwantowo-obserwacyjnego efektu?

–Och, naturalnie! To proste. Zajmie mi to jakieś dziesięć sekund, a potem wracam pod prysznic i do rytuału laskorati, jaki odprawię wraz z dwiema samini niewyobrażalnej piękności.

–Poczekaj chwile! To nie wystarczy.

–Nie bądź głupcem. Dwie samini wystarczą w zupełności. Tylko rozpusznik mógłby pragnąć trzech.

–Chciałem powiedzieć, że samo usunięcie teleklutyzmu nie wystarczy. Menander chce także znaleźć się w takiej sytuacji, w której mógłby uratować ludzkość.

Przez chwilę myślałem, że Azazel zapomni o naszej długiej przyjaźni oraz o tym wszystkim, co zrobiłem, aby zapoznać go z interesującymi problemami, które prawdopodobnie rozwinęły jego umysł i zdolności magiczne. Nie zrozumiałem wszystkiego, co do mnie mówił, ponieważ większość słów wypowiadał w swoim własnym języku, ale niezwykle żywo przywodziły na myśl odgłos, jaki wydaje zgrzytająca po zardzewiałych gwoździach piła.

W końcu, ochłonawszy na tyle, że jego ciało żarzyło się już tylko mglistą czerwienią, powiedział:

–A może także mi powiesz, jak mam to zrobić?

–Czy jest coś niemożliwego dla Apostoła Nieprawdopodobieństwa?

–Pewnie!... Ale zobaczymy – zamyślił się na chwilę, po czym wybuchnął: – Ale kto w całym Wszechświecie chciałby ocalić ludzkość? Jaka jest wartość w zrobieniu czegoś takiego? Zasmrodziliście cały ten sektor... No dobrze. Sądzę, że to może być zrobione.

Nie zajęło to jednak dziesięciu sekund. Trwało pełne pół godziny i było to bardzo nieprzyjemne pół godziny, wypełnione jękami i stękaniem Azazela, który jeżeli je przerywał, to jedynie po to, aby głośno zastanowić się, czy nadobne samini będą na niego czekały.

W końcu wszystko zostało zrobione, co oczywiście oznaczało, iż musiałem się jak najprędzej zobaczyć z Menandrem.

Kiedy spotkałem go następnym razem, z miejsca oświadczyłem:

–Jesteś wyleczony.

Spojrzał na mnie z wrogością w oczach.

–Czy wiesz, że tamtej nocy pozostawiłeś mnie z nie zapłaconym rachunkiem za kolację?

–To chyba drugorzędna sprawa w porównaniu z faktem, iż zostałeś uleczony.

–Nie czuję się uleczony.

–No cóż, zobaczymy. Wybierzemy się razem na przejażdżkę. Ty poprowadzisz.

–Ależ wygląda na to, że już się chmurzy. Dobre mi wyleczenie!

–Jedźmy! Co mamy do stracenia?

Wyprowadził samochód z garażu. Przechodzący po drugiej stronie ulicy mężczyzna nie potknął się o przeładowany kosz na śmieci.

Menander uruchomił silnik i ruszyliśmy w dół ulicy. Światło na skrzyżowaniu nie zmieniło się na czerwone, kiedy przejeżdżaliśmy, a dwa zbliżające się z przeciwnych stron samochody minęły się w bezpiecznej odległości jeden od drugiego.

Nim dojechał na most, chmury przerzedziły się i wyjrzało słońce. Nie było go jednak w oczach Menandra.

Kiedy wróciliśmy wreszcie do domu, mój przyjaciel rozplakał się bez wstydu, więc zaparkowałem samochód za niego. Zadrapałem go przy tym lekko, ale to nie ja nalegałem na usunięcie mego teleklutyzmu. A zresztą mogło być gorzej. Mogłem zadrapać własny samochód.

Przez następnych kilka dni bezustannie mnie poszukiwał. No ale ostatecznie to ja byłem tym jedynym, który mógł zrozumieć cud, jaki właśnie zaszedł.

Kiedy mnie już spotykał, mawiał:

–Byłem na tańcach, a nikt nie potykał się o stopy swojego partnera i nie upadał łamiąc sobie obojczyk.

Tańczyłem lekko jak piórko z całkowitym zapamiętaniem, a mojej partnerki nie rozbolał nagle brzuch, chociaż jadła bez opamiętania. Albo:

–W pracy instalowali nowe klimatyzatory i żaden z nich nie spadł nikomu na nogi, powodując trwałe okaleczenia.

Albo nawet:

–Odwiedziłem w szpitalu przyjaciela, czyli coś, o czym kiedyś nie odważyłbym się nawet myśleć i u żadnego pacjenta, obok którego przechodziłem, igła od kroplówki nie wyskoczyła nagle z żyły, a wszystkie zastrzyki także robione były dokładnie w te miejsca, gdzie było to zamierzone.

Czasami zapytywał mnie załamującym się głosem:

–Czy jesteś pewny, że będę miał szansę uratowania ludzkości?

–Oczywiście – odpowiadałem z pełnym przekonaniem. – To stanowi przecież część wyleczenia.

Jednak pewnego dnia, kiedy do mnie przyszedł, na jego twarzy widniała wyraźna troska.

–Posłuchaj tylko – powiedział. – Poszedłem do banku, aby zadać kilkanaście pytań na temat mojego konta, które zmniejszyło się nieprzyjemnie, od kiedy nabrałem nawyku opuszczania restauracji zanim nadejdzie rachunek i wyobraź sobie, że nie mogłem uzyskać żadnej odpowiedzi, ponieważ komputer zepsuł się dokładnie w chwili, w której wszedłem do banku. Wszyscy byli tym niezwykle zaskoczeni. Czyżby moja terapia okazała się niewystarczająca?

–To niemożliwe – odparłem. – Może nie ma to nic wspólnego z tobą. Może to jakiś inny teleklutz, który nie został wyleczony. Może tak się złożyło, iż wszedłem do banku razem z tobą.

Moje przypuszczenia były jednak błędne. Komputer bankowy psuł się przy dwóch innych okazjach, kiedy próbował sprawdzić swoje konto. (Nerwowość, o jaką przyprawiała go ta zaiste nędzna sumka, jaką zaniedbałem wtedy uścić, przyprawiała mnie o mdłości). W końcu, kiedy komputer w jego firmie zepsuł się właśnie wtedy, gdy przechodził obok pokoju, w którym ten się mieścił, przybiegł do mnie w stanie, który określić mogę jedynie jako bliski paniki.

–To wróciło! Mówię ci, że wróciło! – wrzeszczał. – Tym razem tego nie zniosę. Teraz, kiedy przyzwyczałem się już do normalności, nie mogę powrócić do mojego dawnego życia. Chyba się zabiję!

–Nie, nie, Menandrze. Tego byłoby już za wiele. Już wydawało się, że wyda z siebie kolejny wrzask, lecz na szczęście zastanowił się nad moją sensowną uwagą i powiedział:

–Masz rację. Tego byłoby za wiele. A więc może zamiast tego zabiję ciebie. Ostatecznie nikt nie będzie po tobie płakał, a ja poczuję się odrobinę lepiej.

Rozumiałem jego punkt widzenia, ale podzielałem go w niewielkim tylko stopniu.

–Zanim zaczniesz coś robić – powiedziałem – pozwól, abym to sprawdził. Cierpliwości, Menandrze. Ostatecznie jak na razie psują się tylko komputery', a kto o nie dba, u licha?

Wyszedłem, zanim zdążył mnie zapytać jakim cudem ma otrzymać informacje o stanie swojego konta, jeżeli komputery zawsze będą się psuły z jego wejściem. Temat ten stał się ostatnio jego prawdziwą obsesją.

Azazel także miał obsesję, chociaż na zupełnie innym punkcie. Wydawało się, że tym razem był już zaangażowany w owo coś, co robił z tymi dwiema samini, bowiem kiedy się pojawił, wciąż jeszcze fikał koziołki. Do dzisiaj nie wiem, co to fikanie miało z tym wspólnego.

Nie sądzę, by ochłonął do końca, ale jakoś udało mu się wytłumaczyć mi co się

stało, mogłem więc przekazać to wytłumaczenie rozsierdzonemu Menandrowi.

Nalegałem, byśmy spotkali się w parku. Wybrałem dość zatłoczony rejon, ponieważ wolałem zabezpieczyć sobie natychmiastową pomoc w wypadku, jeżeli straci głowę w przenośni i zechce pozbawić mnie mojej dosłownie.

–Menandrze – powiedziałem – twój teleklutyzm wciąż działa, ale odnosi się on wyłącznie do komputerów. Wyłącznie do komputerów. Masz na to moje słowo. Z wszystkiego innego jesteś już wyleczony na zawsze.

–A więc wyleczysz mnie z tych przeklętych komputerów.

–Tak się składa, że tego akurat nie mogę zrobić. Będziesz psuł komputery już zawsze – to ostatnie słowo właściwie wyszeptałem, ale on i tak mnie usłyszał.

–Dlaczego? Jakim to rodzajem pustogłowego, idiotycznego, poronionego, wszechklutzystycznego tyłka zapchlonego wielbłąda dwugarbnego właściwie jesteś?

–Mówisz to w taki sposób, jakby było wiele rodzajów tego tyłka, Menandrze, a to nie ma przecież większego sensu. Czyż nie rozumiesz, iż dzieje się tak dlatego, ponieważ chcesz uratować świat?

–Nie, nie rozumiem. Wyjaśnij mi to i streszczaj się. Masz piętnaście sekund.

–Bądźże rozsądny! Ludzkość stoi w obliczu komputerowej ekspansji. Komputery stają się coraz bardziej uniwersalne, coraz bardziej pojemne i inteligentne. Ludzie stają się od nich coraz bardziej zależni. A w końcu zbudowany zostanie taki komputer, który przejmie władzę nad światem, a ludzkość nie będzie w stanie nic na to poradzić. Może postanowić też zniszczyć całą ludzkość, jako do niczego mu nie przydatną. Oczywiście, wmawiamy sobie, że zawsze możemy "wyciągnąć wtyczkę", ale sam wiesz, że nie będziemy mogli tego zrobić. Komputer wystarczająco inteligentny aby kierować światem bez nas, będzie w stanie bronić swojej wtyczki, a co gorsza – znajdzie swoje własne źródło elektryczności.

Stanie się niepokonany, a ludzkość skazana zostanie na zagładę. I tutaj właśnie zaczyna się twoja rola, przyjacielu. Podejdiesz do niego, a może tylko przespacerujesz się w odległości kilku mil od miejsca, w którym będzie się znajdował, a rozsypie się momentalnie i ludzkość będzie uratowana! Ludzkość będzie uratowana! Pomyśl o tym!

Menander zamyślił się, ale mimo wszystko nie wyglądał na uszczęśliwionego.

–A do tego czasu – zauważył – nie będę mógł się nawet zbliżyć do komputerów.

–No cóż, ten komputerowy klutyzm musi być czymś absolutnie starym, tak abyśmy

mogli być pewni, że kiedy nadejdzie wreszcie właściwy czas wszystko pójdzie jak z płatka, że komputer w jakiś sposób nie obroni się przed tobą. To cena, jaką płacisz za ten olbrzymi dar, o jaki sam prosiłeś, a za który będziesz honorowany w całej przyszłej historii.

–Naprawdę? – zapytał. – A kiedy ma nadejść ten rachunek?

–Zgodnie z Aza... z moimi źródłami, za jakieś sześćdziesiąt lat. Ale spójrz na to z innej strony. Teraz już wiesz, że będziesz żył co najmniej dziewięćdziesiąt lat.

–A tymczasem – mówił podniesionym głosem Menander nieświadom, iż co niektórzy ludzie odwracają głowy, aby na nas popatrzeć – cały świat będzie się bardziej i bardziej komputeryzował, a ja nie będę mógł się zbliżyć do coraz większej liczby miejsc. Będę mógł robić coraz mniej rzeczy, aż w końcu stanę się absolutnym więźniem swojej własnej...

–Ale ostatecznie uratujesz przecież ludzkość! Sam tego chciałeś!

–Do diabła z ludzkością! – wrzasnął Menander i zerwawszy się na równe nogi gwałtownie ruszył w moją stronę.

Udało mi się uciec tylko dlatego, iż znajdujący się w pobliżu ludzie w porę powstrzymali tego biedaka.

Dzisiaj Menander poddawany jest głębokiej kuracji hipnotycznej przez pewnego niezwykle stanowczego w metodach freudystę. Z pewnością kosztuje go to fortunę, no i oczywiście nie przyniesie mu to wiele dobrego.

Zakończywszy swoją opowieść George zapatrzył się ponuro w swój kufel, za który, jak wiedziałem, będę musiał zapłacić.

–Wiesz, z tej historii wynika jednak pewien morał – powiedział.

–A mianowicie?

–Ludzie zupełnie pozbawieni są uczucia wdzięczności!

SPRAWA ZASADY

George spojrział smętnym wzrokiem w głąb szklanki, zawierającej mojego drinka (mojego w tym sensie, że bez wątpienia przypadnie mi za niego zapłacić) i powiedział:

–Wiesz, jedynie sprawa zasady sprawia, że jestem dzisiaj człowiekiem ubogim.

Wydał z siebie potężne westchnienie, które wydawało się brać swój początek gdzieś w okolicach pępka i kontynuował:

–Wspominając o zasadzie muszę tu oczywiście prosić cię o wybaczenie, że używam terminu, którego nie jesteś w pełni świadomy, a kojarzącego ci się jedynie być może z dyrektorem szkoły podstawowej, którą zaledwie skończyłeś.[gra słów: principle – zasada; principal – pryncypał, dyrektor.] Ale ja, musisz wiedzieć, jestem człowiekiem zasad.

–Naprawdę? – zapytałem. – Zakładam więc, że zostałeś obdarowany tą cechą przez Azazela i to zaledwie dwie minuty temu, ponieważ – o ile komukolwiek wiadomo – nigdy jej dotąd nie przejawiałeś.

George spojrział na mnie z wyrzutem w oczach. Azazel jest dwucentymetrowym demonem obdarzonym niezwykłymi umiejętnościami magicznymi – jedynie George zdolny jest przywołać go na każde żądanie.

–Nie bardzo mogę sobie wyobrazić – powiedział – jakimże to sposobem dowiedziałeś się o Azazelu.

–Dla mnie to także kompletna tajemnica – przyznałem ugodowo. – A raczej byłaby nią, gdyby od kilku dni Azazel nie pojawiał się jako główny temat twoich opowieści.

–Nie bądź śmieszny – parsknął George. – Nigdy nie rozprawiam o Azazelu.

Gottlieb Jones (powiedział George) był także człowiekiem zasad. Mógłbyś pomyśleć o tym jako o zupełnej niemożliwości zważywszy, iż jego zajęciem było pisanie ogłoszeń, ale on wznosił się na wyżyny swojego nędznego fachu z żarliwością, na którą miło było patrzeć.

leż to razy mawiał mi, pochylony nad hamburgerem i talerzem francuskich frytek:

–George, żadne słowa nie mogą opisać koszmaru mojej pracy lub rozpacz, jaka ogarnia mnie na myśl, że wynajdywać muszę przekonujące sposoby na sprzedawanie produktów, o których wiem, iż człowiek mógłby się doskonale bez nich obejść. Zaledwie wczoraj musiałem pomóc w sprzedaży nowego środka przeciwko

owadom, który, jak stwierdzono podczas testów, u każdego spryskanego nim komara wywoływał ultradźwiękowe okrzyki rozkoszy. "Nie bądźcie żerem dla komarów" – napisałem w swoim sloganie reklamowym. – "Używajcie Mordercy Moskitów".

–Mordercy Moskitów? – powtórzyłem wzdrygając się silnie.

Gottlieb zakrył oczy dłonią. Jestem pewny, że użyłby do tego celu obydwu, ale drugą wkładał sobie właśnie do ust frytkę.

–Żyję w ciągłym wstydzie, George, i prędzej czy później będę musiał porzucić tę pracę. Pogwałca ona zasady mojej etyki zawodowej moich literackich ideałów, a ja jestem człowiekiem zasad.

–Tylko że praca ta przynosi ci pięćdziesiąt tysięcy rocznego zysku – zauważyłem uprzejmie – masz młodą i piękną żonę oraz małe dziecko, o które musisz dbać.

–Pieniądze – powiedział gwałtownie Gottlieb – to marność! To bezwartościowa łapówka, za którą człowiek gotów jest sprzedać własną duszę. Odrzucam je, George; odsuwam je od siebie z pogardą; nigdy nie będę miał nic z nimi wspólnego.

–Drogi Gottlieb, z pewnością nie zrobisz niczego tak nierozsądnego. Przecież pobierasz swoje wynagrodzenie, prawda? – przyznaję, że przez nieprzyjemną chwilę pomyślałem o nim jako człowieku bez grosza przy duszy oraz o sporej liczbie obiadków, których przez swoje cnotliwe zasady nie będzie w stanie dla nas dwóch kupić.

–No cóż, oczywiście, że przyjmuję. Moja droga żona Marylin ma niepokojący zwyczaj wtrącania kwestii funduszu domowego do rozmów o skądinąd wysoce intelektualnej naturze, nie wspominając już o jej irytującej skłonności do czynienia najprzeróżniejszych nierozsądnych zakupów u modystek i w domach towarowych. Ma to krępujący wpływ na moje plany działania. Co się zaś tyczy młodego Gottlieba Juniora, to ma on teraz dopiero sześć miesięcy i niezupełnie jest jeszcze gotowy, aby zrozumieć całkowitą błahość pieniędzy – chociaż muszę oddać mu sprawiedliwość i przyznać, że jak do tej pory nie poprosił mnie jeszcze choćby o złamanego centa.

Westchnął, a ja westchnąłem razem z nim. Często słyszałem o niechętniej do współpracy naturze żon i dzieci tam, gdzie w grę wchodzi finanse i jest to, oczywiście, główny powód, dla którego przez całe moje życie pozostaję w wolnym stanie, chociaż mój niewątpliwy urok powodował, iż często bywałem obiektem żarliwych zalotów ze strony całej plejady pięknych kobiet.

Gottlieb Jones mimo woli przerwał łańcuch przyjemnych wspomnień, którym sobie akurat niewinnie folgowałem, pytając:

–Czy znasz moje sekretne marzenie, George? Przez chwilę ogień lubieżności w jego oczach zapłonął tak wyraźnie, iż zaskoczony pomyślałem, że w jakiś sposób potrafi czytać w moich myślach. On mówił jednakże dalej:

–Moim marzeniem jest zostać powieściopisarzem, pisać ostre w tonie dzieła o wstrząsających głębiach ludzkiej duszy; prawić ludzkości, iż w swojej cudownej złożoności stanu człowieczego jest zarazem zachwycająca, jak i przyprawiająca o dreszcz zgrozy, wypisać swoje nazwisko dużymi, nieścieralnymi literami na obliczu współczesnej literatury klasycznej; i maszerować wreszcie poprzez generacje w pełnej chwały kompanii takich mężczyzn i kobiet, jak Ajschylos, Szekspir i Ellison.

Skończyliśmy już posiłek, a ja z napięciem oczekiwałem na rachunek, finezyjnie dając wszystkim do zrozumienia, iż moja uwaga nie może być w tej chwili niczym rozproszona. Z typową dla swojej profesji spostrzegawczością kelner prawidłowo ocenił sytuację i wręczył rachunek Gottliebowi.

Odprężyłem się i powiedziałem:

–Ale zważ, mój drogi Gottlieb, na przerażające konsekwencje, jakie mogą się z tym wiązać. Niedawno czytałem w pewnej bardzo wiarygodnej gazecie, którą – jak się szczęśliwie składa – prenumeruje mieszkający obok mnie gentleman, że w Stanach Zjednoczonych jest trzydzieści pięć tysięcy powieściopisarzy; że zaledwie siedmiuset utrzymuje się ze swojej sztuki, a jedynie pięćdziesięciu – tylko pięćdziesięciu, mój przyjacielu – jest rzeczywiście bogatych. Biorąc więc pod uwagę twoje obecne zarobki...

–Ba – westchnął Gottlieb. – Jest dla mnie mało ważne czy zarabiam, czy też nie, byle tylko uzyskać nieśmiertelność i obdarzyć bezcennym podarunkiem wnikliwości i zrozumienia wszystkie przyszłe generacje. Z łatwością zniosłbym niedogodną konieczność podjęcia przez |

Marylin pracy jako kelnerki czy kierowcy autobusu, lub też innego, równie mało wymagającego zajęcia. Jestem zupełnie pewny, iż poczytywałyby za zaszczyt pracować dniami, a opiekować się Gottliebem Juniorem nocami tak, by mój artyzm rozkwitać mógł w całej pełni. Tylko... – zająknął się i zamilkł.

–Tylko? – powtórzyłem zachęcająco.

–No cóż, nie wiem, jak to określić, George – powiedział z leciutką nutą rozdrażnienia w głosie – ale na drodze ku temu stoi pewna błażostka. W moim mózgu aż roi się od wspaniałych i niezwykłych zarazem pomysłów. Sceny, fragmenty dialogów, sytuacje o nadzwyczajnej żywotności kłębią się tam bez chwili przerwy. Jednakże najmniej ważna sprawa ubrania tego wszystkiego w odpowiednie słowa wydaje mi się jakoś umykać. Z pewnością jest to drugorzędny problem, jako że każdy niekompetentny

pismak – jak na przykład ten twój przyjaciel o dziwnym nazwisku – wydają się nie mieć żadnych kłopotów z płodzeniem książek całymi setkami, natomiast ja nie mogę jakoś odkryć sekretu tej sztuczki.

(Z pewnością miał na myśli ciebie, wspomniawszy o "niekompetentnym pismaku", ponieważ wyrażenie to wydaje się być wyjątkowo trafne, drogi przyjacielu. Broniłbym cię, oczywiście, ale czułem, iż byłoby to kompletną stratą czasu.)

–A może – zasugerowałem – nie próbowałaś dostatecznie intensywnie.

–Nie próbowałem? Zapiłem setki arkuszy papieru, z których każdy zawiera pierwszy ustęp cudownej powieści – pierwszy ustęp i nic więcej. Setki różnych pierwszych ustępów dla setek różnych powieści. Jednakże drugi ustęp jest za każdym razem barierą nie do przewyciężenia.

Nagle zaświtał mi wspaniały pomysł, co zresztą nie zdziwiło mnie specjalnie. Mój umysł jest niewyczerpaną składnicą wspaniałych pomysłów.

–Gottliebie – powiedziałem. – Mogę rozwiązać dla ciebie ten problem. Mogę zrobić z ciebie powieściopisarza. Mogę sprawić, że zostaniesz bogaty.

Spojrzał na mnie z niemiłym błyskiem sceptycyzmu w oczach.

–Ty możesz? – zapytał kładąc irytująco niepochlebny dla mnie nacisk na zaimku.

Wyszliśmy z restauracji na ulicę. Zauważyłem, że Gottlieb zapomniał pozostawić napiwku, wyczułem jednak, iż byłoby to mało politycznie z mojej strony wspominać mu o tym teraz, jako że mógłby uczynić przerażającą sugestię, abym sam to naprawił.

–Przyjacielu – powiedziałem zamiast tego. – Znam sekret drugiego ustępu, stąd więc mogę uczynić cię sławnym i bogatym.

–Ha! Co to za sekret?

Delikatnie (i tutaj dochodzimy do mojego wspaniałego pomysłu) zasugerowałem:

–Gottliebie, każdy pracownik zasługuje na wynagrodzenie.

Gottlieb roześmiał się krótko.

–Pokładam w tobie takie zaufanie, George, iż bez obawy mogę cię zapewnić, że jeżeli uczynisz mnie bogatym i sławnym powieściopisarzem, będziesz otrzymywał połowę moich zarobków – oczywiście po odliczeniu podatku.

–Wiem, że jesteś człowiekiem zasad, Gottliebie – powiedziałem bardziej nawet

delikatnie – i twoje słowo jest równie wiążące, jak obręcz z najlepszej stali, ale wyłącznie dla śmiechu – ha, ha – czy zechciałbyś złożyć takie oświadczenie, podpisać go i – aby było to jeszcze bardziej śmieszne – ha, ha – potwierdzić notarialnie? Potem każdy zatrzyma po jednej kopii.

Cała transakcja nie zajęła nam więcej niż pół godziny, ponieważ wymagała ona jedynie notariusza, który pisał także na maszynie i był moim przyjacielem.

Włożyłem moją cenną kopię do portfela i powiedziałem:

–Nie mogę zdradzić ci tego sekretu natychmiast, ale jak tylko poczynię odpowiednie przygotowania, zaraz cię o wszystkim zawiadomię. Zasiądziesz wtedy do pisania powieści i przekonasz się, że nie będziesz miał żadnych kłopotów z drugim ustępem – czy z dwutysięcznym drugim. Oczywiście nie będziesz mi niczego winien aż do chwili, kiedy otrzymasz pierwszą zaliczkę – a będzie ona ogromna, za co ręczę.

–Lepiej sam w to uwierz – odparł złośliwie Gottlieb.

Jeszcze tego samego wieczora odbyłem cały rytuał przyzywający Azazela. Ma tylko dwa centymetry wysokości i w swoim świecie jest osobistością pozbawioną jakiegoś większego znaczenia. To właśnie jest jedynym powodem, dla którego tak chętnie pomaga mi na różne trywialne sposoby tutaj. Sprawia to bowiem, iż czuje się kimś ważnym.

Nigdy nie udało mi się go namówić, aby zrobił cokolwiek, co w bezpośredni sposób uczyniłoby mnie bogatym. Ten mały stworek upiera się, iż byłoby to haniebną komercjalizacją jego sztuki. Nie wydaje się także dawać wiary swoim zapewnieniom, że cokolwiek dla mnie zrobi, spożytkowane zostanie całkowicie bezinteresownie z mojej strony dla dobra całego świata. Kiedy mu o tym mówię, wydaje z siebie dziwny dźwięk, którego znaczenia niestety nie rozumiem, a o którym twierdzi, iż nauczył się go od rdzennych mieszkańców Bronxu.

Z tego właśnie powodu nie wyjawilem mu prawdziwej natury mojego porozumienia z Gottliebem Jonesem. To nie Azazel miał być tym, który uczyni mnie bogatym. Zrobi to Gottlieb po tym, jak Azazel uczyni bogatym jego – obawiałem się jednak, iż Azazel mógłby nie zrozumieć tej subtelnej różnicy.

Azazel był -jak zwykle zresztą – zirytowany kolejnym wezwaniem. Jego maleńka główka udekorowana była czymś, co przypominało wieniec z mikroskopijnych liści wodorostu i sądząc po jego odrobinę chaotycznych wyjaśnieniach był w trakcie jakiejś akademickiej ceremonii, podczas której przyznawano mu jakiś tytuł czy coś takiego. Nie będąc w swoim świecie żadną ważną figurą, jak wspominałem już o tym wcześniej, wydawał się przywiązywać do tej ceremonii nadmierną zgoła uwagę i zalał mnie potokiem gorzkich wyrzutów. Ja jednak zbyłem je wzruszeniem ramion.

–Możesz przecież – powiedziałem – zająć się moją drobną prośbą, a potem powrócić w tym samym momencie ceremonii, w jakim ją opuściłeś. Nikt nie zauważy nawet, że zniknąłeś na chwilę.

Pomruczał odrobinę, lecz w końcu musiał chyba przyznać, że mam rację, bowiem wraz z błyskiem małej błyskawicy powietrze w jego najbliższym sąsiedztwie przestało wreszcie trzeszczeć.

–Czego więc chcesz? – zapytał. Wytłumaczyłem mu.

–A więc jego profesją – powiedział Azazel – jest przekazywanie innym własnych idei? Tłumaczenie idei na słowa, tak jak w przypadku tego twojego przyjaciela o dziwnym nazwisku?

–Właśnie, ale on pragnie zrobić to ze wzmożoną efektywnością i uradować tych, którzy są mu najbliżsi osiągając duży rozgłos – no i bogactwo, oczywiście, ale traktując je wyłącznie jako namacalny dowód uznania, bowiem pieniądze same w sobie są dla niego niczym.

–Rozumiem. W moim świecie także mamy kowali słowa, a wszyscy oni cenią jedynie uznanie i nie przyjęliby najmniejszej choćby gratyfikacji finansowej gdyby nie to, iż muszą je otrzymywać jako namacalny dowód uznania.

–Słabostka profesji – roześmiałem się pobłażliwie. – Ty i ja jesteśmy na szczęście ponad takimi rzeczami.

–No cóż – powiedział Azazel. – Nie mogę być tutaj przez resztę roku, bo będę miał kłopoty z określeniem precyzyjnego czasu powrotu. Czy ten twój przyjaciel znajduje się gdzieś w zasięgu myśli?

Mieliśmy jednak pewne kłopoty z odnalezieniem go, nawet pomimo tego, że wskazałem na mapie dokładną lokalizację jego firmy reklamowej oraz opisałem go Azazelowi w sposób jak zwykle elokwentny i dokładny, no ale nie chcę cię tu zanudzać nieistotnymi szczegółami.

W końcu odnaleźliśmy go, a Azazel po krótkich oględzinach rzekł:

–Specyficzny umysł powszechny w typie dla waszego mało sympatycznego gatunku. Gumowaty, a równocześnie kruchy. Widzę, że jego obwód odpowiedzialny za materię słowa jest nierówny i miejscami nawet zapętlony. Nic dziwnego, że ma kłopoty. Mogę usunąć niepotrzebny fragment, ale to mogłoby z kolei narazić na szwank stabilność jego umysłu. Nie sądzę, aby do tego doszło, o ile zrobię to dostatecznie zręcznie, niemniej jednak zawsze istnieje możliwość jakiegoś wypadku. Czy sądzisz, że on zechciałby podjąć takie ryzyko?

–Och, bez wątpienia – odparłem. – Jest zdecydowany pozyskać sławę i służyć światu swoją sztuką. Z pewnością nie zawahałby się przed takim ryzykiem.

–Tak, ale jak zgaduję jesteś jego oddanym przyjacielem. On może być zaślepiony swoimi ambicjami i pragnieniem czynienia dobra, ale ty widzisz być może lepiej. A więc czy ty pozwoliłbyś mu na podjęcie takiego ryzyka?

–Moim jedynym celem – powiedziałem – jest uczynienie go szczęśliwym. No dalej, wycinaj ostrożnie co trzeba, a jeśli coś się nie uda – no cóż, przynajmniej próbowaliśmy w imię szczytnego celu. (A cel był zaiste szczytny, jako że otrzymywać miałem połowę z finansowych konsekwencji jego sukcesu, naturalnie o ile wszystko się uda).

Tak więc dobry uczynek został zrobiony. Azazel – jak to miał w swoim zwyczaju – zrobił z tego prawdziwe przedstawienie. Przez chwilę leżał i ciężko dyszał, mrużąc pod nosem coś o nierozsądnych prośbach, ja zaś mówiłem mu, aby myślał o szczęściu, jakie w wyniku jego interwencji spłynie na miliony ludzi i nalegałem, by unikał niepoehlebnej cechy samolubstwa. Pokrzepiony moimi rozsądnymi słowami zamilkł wreszcie, aby dopilnować zakończenia czegokolwiek, co wydane zostało na jego mizerną cześć.

Dopiero po upływie tygodnia postanowiłem spotkać się z Gottliebem Jonesem. Nie podejmowałem żadnych wcześniejszych prób skontaktowania się z nim, ponieważ czułem, że na przyzwyczajenie się do nowego mózgu będzie potrzebował odrobiny czasu. Prócz tego wolałem odczekać trochę i dyskretnie zasięgnąć o nim kilku informacji. Chciałem się upewnić, czy jego umysł nie został w trakcie procesu poprawczego w jakiś sposób uszkodzony, bowiem jeżeli tak, to nasze spotkanie nie miałoby wtedy sensu. Moja strata – no i przypuszczam, że jego także – uczyniłaby je zbyt gorzkim.

Nie słyzałem jednak o nim niczego niepokojącego i z pewnością wydawał się całkiem normalny, kiedy spotkałem go wychodzącego z gmachu, w którym mieściła się jego firma. Natychmiast wyczułem emanującą od niego aurę melancholii. Nie zwróciłem na to większej uwagi, bowiem pisarze – co zauważyłem już dawno – skłonni są do poddawania się temu uczuciu. Sądzę, że ma to coś wspólnego z ich profesją. Być może stały kontakt z wydawcami.

–Och, George – powitał mnie apatycznie.

–Gottlieb – odparłem. – Dobrze, że cię widzę. Wyglądasz dziś przystojniej niż kiedykolwiek. (Właściwie tak jak wszyscy pisarze był całkiem brzydki, ale należy przecież zachować uprzejmość). Czy próbowałeś ostatnio napisać jakąś powieść?

–Nie, nie próbowałem – a potem, jakby sobie coś nagle przypominając, dorzucił. –

Dlaczego pytasz? Czyżbyś był gotów zdradzić mi ten sekret dotyczący drugiego ustępu?

Byłem zachwycony, że o tym pamięta, bowiem odebrałem to jako jeszcze jedną wskazówkę, iż jego umysł jest tak samo bystry, jak zawsze. – Ależ to już załatwione, drogi przyjacielu – powiedziałem. – Nie muszę już niczego wyjaśniać – dysponuję teraz o wiele subtelniejszą metodą. Jedyne, co musisz teraz zrobić, to pójść do domu i zasiąść przy maszynie do pisania, a sam się przekonasz, że będziesz pisał jak anioł. Co do reszty zapewniam, że twoje kłopoty już się skończyły i powieści będą opuszczały twoją maszynę jedna po drugiej. Napisz tylko dwa rozdziały i konspekt reszty, a jestem absolutnie pewny, że każdy wydawca, któremu je zaprezentujesz, będzie krzyczał z radości i wystawi ci ogromny czek, z którego połowa każdego centa będzie należała wyłącznie do ciebie.

–Akurat! – parsknął Gottlieb.

–Masz na to moje słowo – zapewnilem go kładąc rękę na sercu, które, jak doskonale wiesz, jest wystarczająco duże – oczywiście w znaczeniu metaforycznym – aby wypełnić moją całą klatkę piersiową. – Tak naprawdę to czuję nawet, iż bez zwłoki powinieneś porzucić tę swoją głupią pracę, aby w żaden sposób nie kalała czystego tworzywa, które od teraz będzie opuszczało twoją maszynę do pisania. Musisz jedynie spróbować, Gottliebie, a bez wątpienia zgodzisz się ze mną, że uczciwie zarobiłem na swoją połowę.

–Czyli chcesz, abym zwolnił się z pracy?

–Właśnie.

–Nie mogę tego zrobić.

–Ależ oczywiście, że możesz. Odwróć się plecami od tego haniebnego zajęcia. Odrzuć z pogardą to niegodne ciebie wymyślanie komercyjnych reklam.

–Mówię ci, że nie mogę zwolnić się z pracy, bowiem akurat zostałem z niej wyrzucony.

–Wyrzucony?

–Właśnie. I to z takimi wyrazami braku zachwyty, których z pewnością nigdy nie zapomnę.

Skręciliśmy w stronę niewielkiego i niedrogo zarazem miejsca, w którym zazwyczaj jadaliśmy obiady.

–Co się właściwie stało? – zapytałem. Opowiedział mi o wszystkim wyraźnie

przybity, od czasu do czasu zagryzając kanapkę z pastrami.

–Redagowałem tekst reklamówki do nowego odświeżacza powietrza, będąc przytłoczony narzuconą nam odgórnie oględnością wypowiedzi. Chodziło o odpowiednie użycie słowa "smród". Nagle zapragnąłem wypowiedzieć się zupełnie niezależnie. Jeżeli już mamy promować ten przeklęty śmieć, to dlaczego nie robić tego dobrze? Tak więc za nagłówek mojego tekstu posłużyło mi hasło Koniec z odorkiem, u dołu dorzuciłem jeszcze slogan Precz z fetorkiem i nie zwracając sobie głowy konsultowaniem się z kimkolwiek posłałem przez posłańca gotowy tekst do zatwierdzenia.

Jednakże kiedy posłaniec już wyszedł, pomyślałem: "Dlaczego nie?" i posłałem kopię reklamówki do szefa, który przeczytawszy ją dostał nagłego i niezwykle gwałtownego ataku apopleksji. Wezwał mnie do siebie i z miejsca oświadczył, że mnie zwalnia, używając przy tym takiego słownictwa, którego z pewnością nie słyszał siedząc na kolanach swojej matki – chyba że była to bardzo niezwykła matka.

Spojrzał na mnie z gniewną miną i dorzucił:

–Przypuszczam, że zaraz powiesz, iż to wszystko twoja robota.

–Oczywiście, że tak – odparłem. – Zrobiłeś tylko to, co podświadomie czułeś, że jest słuszne. Rozmyślnie pozwoliłeś się zwolnić, tak, abyś cały swój czas mógł poświęcić prawdziwej sztuce. Gottliebie, mój przyjacielu, idź teraz do domu. Zasiądź do pisania powieści i dopilnuj, by twoja pierwsza zaliczka była nie mniejsza, jak sto tysięcy dolarów. A ponieważ nie będziesz miał żadnych poważniejszych kosztów, o jakich warto by tu wspominać, być może za wyjątkiem kilku groszy na papier, nie będziesz musiał niczego potrać i będziesz mógł zatrzymać pięćdziesiąt tysięcy.

–Jesteś szalony – podsumował.

–Jestem po prostu pewny – odparłem – i aby to udowodnić, zapłacę nawet za lunch.

–Jesteś szalony – powtórzył głosem, w którym czaił się cień lęku i szybko wyszedł pozostawiając mi do zapłaty rachunek, chociaż musiał z pewnością wiedzieć, iż moja propozycja była natury jedynie retorycznej.

Zadzwoiłem do niego już następnego wieczora. Normalnie czekałbym dłużej i z pewnością nie popędzałbym go. Jednakże teraz stanowił on moją inwestycję finansową. Lunch kosztował mnie jedenaście dolarów, nie wspominając już o napiwku, więc to naturalne, że byłem dla niego bezlitosny. Chyba sam to rozumiesz.

–Gottliebie – powiedziałem – jak idzie pisanie powieści?

–Wspaniale – odparł z roztargnieniem. – Bez problemu. Napisałem dwadzieścia

stron, całkiem niezłych, nawiasem mówiąc.

Jego głos jednak był mało przekonujący, nieomal zdawkowy, zupełnie jakby jego uwaga zaprzątnięta była czymś innym.

–Dlaczego nie skaczesz więc z radości? – zapytałem zdziwiony.

Z powodu powieści? Nie wygłupiaj się. Dzwonili Feinberg, Saltzberg i Rosenberg.

–Z twojego biura... to znaczy z twojego ex-biura reklamowego?

–Tak. Oczywiście nie wszyscy; tylko Feinberg. Chce przyjąć mnie z powrotem.

–Ufam, Gottlieb, iż powiedziałeś mu dokładnie, gdzie może sobie schować...

Gottlieb nie pozwolił mi dokończyć.

–Najwyraźniej – powiedział – ocena mojej reklamy odświeżacza powietrza była niezwykle pozytywna. Chcą ją wykorzystać, a także wystąpić ze zleceniem na całą grupę reklam, dla telewizji i dla gazet, a jako tego, który poprowadziłby tę kompanię chcą jedynie autora pierwszej reklamówki. Powiedzieli, że to, co zrobiłem, było śmiałe, mocno zaakcentowane i że dokładnie odpowiada dekadzie lat osiemdziesiątych. Oświadczyli, iż pragną tworzyć reklamy, które będą bezprecedensowe gwałtowne i że potrzebują do tego mnie. Naturalnie odparłem, że się zastanowię.

–To błąd, Gottlieb.

–Powinienem zażądać teraz podwyżki – dużej podwyżki. Nie zapomniałem słów, jakimi obrzucał mnie Feinberg wykopując za drzwi – część była zresztą po hebrajsku.

–Pieniądze to marność, Gottlieb.

–Oczywiście, George, ale chcę zobaczyć, o jak wielką marność tu chodzi.

Nie przejąłem się tym zbyt. Wiedziałem, jak bardzo pisanie reklam negatywnie wpływa na wrażliwą duszę Gottlieba, wiedziałem także, jaką atrakcją stanowi łatwość, z jaką będzie mógł płodzić swoje powieści. Teraz należało tylko czekać i (kując nowe powiedzenie) pozwolić, by prawdziwa natura obrała własny kurs.

Ale wtedy właśnie reklama odświeżacza powietrza pojawiła się w środkach masowego przekazu i z miejsca stała się rynkowym hitem. Slogan Precz z fetorkiem stał się powszechnym powiedzeniem wśród amerykańskiej młodzieży i każdorazowe jego użycie, chcąc nie chcąc, stanowiło dodatkową reklamę dla jakiegoś produktu.

Sądzę, iż sam pamiętasz tę chwilową fanaberię – oczywiście, że pamiętasz,

ponieważ jak rozumiem wstawki z tym sloganem stały się de rigueur w periodykach, dla których usiłujesz pisać, więc niejednokrotnie musiałeś się na nie natknąć.

Potem ukazały się inne reklamy podobnego typu, wszystkie odnosząc podobny sukces, jak pierwsza.

I nagle zrozumiałem. Azazel przestroił umysł Gottlieba w sposób umożliwiający mu zaspokajanie gustów czytelników, ale – będąc małym i bez większego znaczenia – nie był w stanie dostroić jego umysłu tak, aby ów dar miał zastosowanie jedynie przy pisaniu powieści. Równie dobrze mogło być i tak, iż Azazel sam nie wiedział, co to takiego powieść.

A czy to zresztą ważne?

Nie mogę powiedzieć, żeby Gottlieb był szczerze zadowolony, kiedy wróciwszy do domu zastał mnie pod drzwiami swego mieszkania. Nie był jednak zupełnie pozbawiony uczucia wstydu, bowiem zaprosił mnie do środka. Jak z satysfakcją zauważyłem, nie mógł odmówić zaproszenia mnie na obiad, chociaż równocześnie wynalazł sposób (celowo, jak sądzę) na popsucie mi tej przyjemności prosząc, abym przez dość długi czas zajmował się Gottliebem Juniorem. Było to przerażające przeżycie.

Później, kiedy byliśmy już w jego jadalni sami, zapytałem:

–I jak wielka marność przypadła ci w udziale, Gottliebie?

Spojrzał na mnie z wyrzutem.

–Nie nazywaj tego marnością, George. To brak poszanowania. Pięćdziesiąt tysięcy rocznie rzeczywiście jest marnością, przyznaję, ale sto tysięcy rocznie plus całkiem niezłe dochody uboczne stanowią już o pewnym statusie.

Co więcej, wkrótce założę własną firmę i zostanę multimilionerem, a na tym poziomie pieniądze stają się cnotą – albo władzą, co jest zresztą jednym i tym samym, oczywiście. Posiadając taką władzę, będę mógł na przykład zniszczyć Feinberga. To oduczy go obrzucania mnie zwrotami, dla których w rozmowie pomiędzy dwoma gentlemanami nie powinno być miejsca. A tak przy okazji – wiesz może, co znaczy "szmondak"?

Niestety, tu akurat nie mogłem mu pomóc. Potrafię się rozmówić w wielu językach, ale Urdu, z pewnością nie jest jednym z nich.

–A więc stałeś się bogaty – stwierdziłem jedynie.

–I planuję stać się jeszcze bogatszym.

–W takim razie, Gottlieb, czy mogę ci przypomnieć, iż stało się to jedynie na skutek mojej obietnicy uczynienia cię bogatym, podczas gdy ty z kolei obiecałeś mi za to połowę swoich zarobków?

Brwi Gottlieba zbiegły się w pojedynczą linię.

–Doprawdy? Rzeczywiście obiecałem ci coś podobnego?

–Ależ oczywiście. Przyznaję, że jest to rzecz z gatunku tych, o których bardzo łatwo się zapomina, ale na szczęście uczyniona została w formie pisemnej – w zamian za oddaną usługę – podpisana – poświadczona notarialnie, wszystkie tego typu rzeczy. I tak się składa, że mam przy sobie fotokopię tej umowy.

–Aha. Czy mogę ją więc zobaczyć?

–Oczywiście, ale zaznaczam, że jest to jedynie fotokopia, więc jeżeli w trakcie oglądania przypadkowo podrzesz ją na drobne kawałeczki, to w moim posiadaniu w dalszym ciągu znajdował się będzie oryginał.

–Mądre posunięcie, George, ale nie musisz się niczego obawiać. Jeżeli jest tak, jak mówisz, to żadna suma – choćby jeden cent – nie zostanie ci odmówiona. Jestem człowiekiem zasad i honoruję wszystkie umowy co do litery.

Wręczyłem mu fotokopię, a on obejrzał ją dokładnie i powiedział:

–Ach tak. Teraz sobie przypominam. Rzeczywiście. Jest tylko jedna mała rzecz...

–Co takiego? – zapytałem z niepokojem.

–No cóż, mowa tu o zarobkach, jakie uzyskiwałem jako powieściopisarz. Ale ja nie jestem powieściopisarzem, George.

–Ale przecież zamierzasz nim być i możesz nim zostać w każdej chwili, kiedy tylko zasiądziesz do maszyny do pisania.

–Już nie zamierzam, George, i nie sądzę bym chciał zasiadać przy maszynie.

–Ależ wspaniałe powieści oznaczają nieśmiertelną sławę. Co mogą ci dać te twoje idiotyczne slogany?

–Całe mnóstwo pieniędzy, George, oraz ogromną i własną firmę, w której będę zatrudniał wielu marnych pisarzy, utrzymując ich przy życiu i trzymając równocześnie mocno w garści. Czy Tolstoj miał kiedykolwiek coś takiego? Albo del Rey?

Nie wierzyłem własnym uszom.

–Więc po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem odmawiasz mi choćby centa, tylko ze względu na jedno słowo w naszej uroczystej umowie?

–Dlaczego sam nie spróbujesz pisać, George? Mówię to dlatego, iż nawet ja sam nie spisałem tej umowy w bardziej jednoznaczny i przejrzysty sposób. Moje zasady nakazują mi dotrzymywać warunków umowy, a ja jestem wszak człowiekiem zasad.

Postawiwszy w ten sposób sprawę nie chciałem ustąpić nawet o włos, a ja doszedłem do przekonania, że podnoszenie teraz sprawy jedenastu dolarów, jakie zapłaciłem za nasz ostatni wspólny lunch nie przyniesie niczego dobrego. Nie wspominając już o ćwierćdolarowym napiwku.

George podniósł się i wyszedł. Zrobił to z tak teatralną rozpaczą, że nie mogłem zmusić się do zaproponowania, aby zapłacił za swoje drinki. Poprosiwszy o rachunek zauważyłem, iż opiewał on na sumę dwudziestu dwóch dolarów.

Podziwiając drobiazgową arytmetykę George'a w potrącaniu sobie wydatków, poczułem się przymuszony do pozostawienia półdolarowego napiwku.

CZĘSTE PICIE ZMIENIA ŻYCIE

–Wyrządzone przez alkohol zło – skonstatował George z ciężkim pijackim westchnieniem – byłoby trudne do oszacowania.

–Nie wtedy, gdy byłbyś trzeźwy – odparłem. Spojrzenie jego niebieskich oczu spoczęło na mojej twarzy z wyrazem wyrzutu i obrażonej niewinności zarazem.

–A kiedyż to nie byłem trzeźwy?

–Od dnia, w którym się urodziłeś – powiedziałem, lecz uświadomiwszy sobie, że wyrządzam mu tym niesprawiedliwość, pośpiesznie sprostowałem: – To znaczy od chwili, gdy odstawiono cię od piersi.

–Uważam to – ocenił George – za jeden z przejawów twojego mało subtelnego poczucia humoru – i z uroczym roztargnieniem podniósł do ust mojego drinka, pociągnął serdeczny łyk, a odstawivszy szklaneczkę z powrotem na stół zamknął ją w stalowym uścisku palców.

Postanowiłem pozostawić ją tam, gdzie jest. Odbieranie George'owi drinka w dużym stopniu przypominało próbę zabrania kości głodnemu buldogowi.

–Czyniąc tę uwagę – powiedział George – miałem na myśli pewną młodą kobietę, którą niegdyś – ale wyłącznie jako dobrotliwy przyjaciel – bardzo się interesowałem. Nazywała się Isztar Mistik.

–Cóż to za niezwykle imię – zauważyłem,

–Ale wyjątkowo dla niej odpowiednie, jako że Isztar jest imieniem babilońskiej bogini miłości, a zaiste taką właśnie boginią była Isztar Mistik – przynajmniej potencjalnie.

Isztar Mistik (powiedział George) była tym, co można by nazwać wspaniałym okazem kobiety, o ile ktoś miałby wrodzoną skłonność do posługiwania się niedomówieniami. Jej twarz – klasycznie piękną, o doskonałych rysach – otaczała aureola złocistych włosów, które były tak jedwabiste i błyszczące, iż wydawały się tworzyć świetliste halo. Kształtów ciała natomiast pozazdrościć jej mogła sama Afrodyta. Smukłe i zgrabne, stanowiło perfekcyjną i niepokojącą mieszankę jędrnych krągłości i miękkich wklęsłości.

W swoim sprośnym umyśle zastanawiasz się bez wątpienia, czy o jej urokach przekonałem się niejako namacalnie, ale zapewniam cię, iż oszacowań takich jestem w stanie dokonać z daleka i już na pierwszy rzut oka, co wynika z moich generalnych doświadczeń w tego typu sprawach, a nie z żadnych bezpośrednich obserwacji tego akurat przypadku.

W pełni ubrana, prezentowała by się o wiele lepiej od którejkolwiek z modelek, jakie znaleźć możesz na rozkładówkach magazynów poświęconych podobno artystycznemu spojrzeniu na tego typu rzeczy. Wąska talia, góra i dół o równej bujności i o tak doskonałych proporcjach, iż nie widząc jej nigdy byś w to nie uwierzył; długie nogi, pełne gracji ramiona – jej każdy ruch wywoływał jedynie zachwyt.

I chociaż mógłby znaleźć się ktoś na tyle prostacki, by nie oczekiwać już po takiej fizycznej perfekcji niczego więcej, to jednak Isztar posiadała także bystry i chłonny umysł, który pozwolił jej ukończyć studia na uniwersytecie Columbia z magna cum laude – chociaż ktoś mógłby słusznie przypuszczać, iż przeciętny profesor uniwersytecki stawiając stopnie Isztar mógłby czuć się zmuszony w sytuacji wątpliwej odpowiedzi przechylić szalę na jej korzyść. Ponieważ ty także jesteś profesorem, drogi przyjacielu (a mówię to bez zamiaru urażenia twoich uczuć), stąd moja ogólna opinia o profesorach jest raczej mizerna.

Po takim opisie ktoś mógłby także przypuszczać, że Isztar dane jest przebierać i wybierać w mężczyznach, w dodatku czyniąc to codziennie od nowa. Czasami przemykało mi nawet przez głowę, że gdyby wybrała mnie, to spróbowałbym podjąć takie wezwanie nawet pomimo mojego honorowego stosunku do spraw czystego seksu, muszę jednak przyznać, iż wahałem się okazywać jej ten fakt dostatecznie wyraźnie.

Bo jeżeli Isztar miała jakąś niewielką skazę, to chyba tylko tę, że była raczej groźną osobą. Nie miała więcej jak cal powyżej sześciu stóp wzrostu, za to jej głos, kiedy była czymś poruszona, przypominał trąbę i znana była z tego, iż kiedyś napadła na pewnego całkiem dużego chuligana, który nieostroźnie spróbował się do niej przyczepić. Nie uwierzysz, ale podniosła go i przerzuciła przez ulicę – całkiem szeroką, nawiasem mówiąc – aż biedak grzmotnął o stojącą po drugiej stronie latarnię. Próba ta kosztowała go potem sześć miesięcy szpitala.

Nic dziwnego, że męska populacja wykazywała pewną niechęć do nawiązywania z nią jakichkolwiek kontaktów, nawet tych najbardziej niewinnych. Niezaprzeczalny impuls zawsze powstrzymywany był długim namysłem, czy aby próba taka zakończy się bezpiecznie. Nawet ja, chociaż odważny niczym lew – wszelako znasz mnie z tej strony – przyłapywałem się na tym, iż poważnie rozważam możliwość połamania kości. Jak mówi stare przysłowie: sumienie zaprawdę z wszystkich nas robi tchórzy.

Isztar doskonale rozumiała tę sytuację i gorzko na nią narzekała. Szczególnie dobrze pamiętam jedną z takich okazji. Był przepiękny, wiosenny dzień, a my siedzieliśmy na ławce w Central Parku. Tam to właśnie, jak sobie przypominam, trójka biegaczy odwróciwszy głowy aby popatrzeć na Isztar źle obliczyła kolejny zakręt i wylądowała nosami na pobliskim drzewie.

–Chyba do końca życia pozostanę już dziewicą – powiedziała, a jej cudownie zarysowana dolna warga wyraźnie zadrżała. – Nikt nie wydaje się mną interesować, absolutnie nikt. A wkrótce będę miała dwadzieścia pięć lat.

–Zrozum, moja droga – odparłem wyciągając ostrożnie rękę, aby poklepać ją delikatnie po dłoni – że młodzi mężczyźni odczuwają lęk przed twoją fizyczną doskonałością i czują, iż nie są ciebie warci.

–To śmieszne – powiedziała na tyle głośno, by odlegli przechodnie zaczęli posyłać w naszą stronę zaciekawione spojrzenia. – Chcesz przez to powiedzieć, że po prostu głupio się mnie boją. Jest coś w sposobie, w jakim te durne stworzenia patrzą na mnie, kiedy jesteśmy sobie przedstawieni i jak po uścisku naszych dłoni rozcierają sobie kostki, co daje do zrozumienia, że nic się nie wydarzy. Po prostu mówią: "Miło mi panią poznać" i szybko zmykają.

–Musisz ich zachęcić, kochanie. Musisz patrzeć na mężczyznę jak na kruchy kwiatusek, który może prawidłowo rozkwitnąć jedynie w promiennym cieple twojego uśmiechu. Musisz mu dać jakoś do zrozumienia, iż jesteś podatna na jego awanse, a powstrzymać się przed próbą pochwycenia go za kołnierz i pasek od spodni i grzmotnięcia jego głową o mur.

–Przecież nigdy tego nie zrobiłam – zaprotestowała oburzona. – No, może raz. I co u licha ma właściwie znaczyć, że mam dawać do zrozumienia? Przecież uśmiecham się i mówię: "Miło mi pana poznać", a także "Jaki piękny dzień" nawet wtedy, kiedy wcale nie jest piękny.

–To nie wystarczy, moja droga. Powinnaś ująć ramię mężczyzny i delikatnie wsunąć je pod swoje własne. Mogłabyś uszczypnąć mężczyznę w policzek, potarłosić go po włosach, ugryźć delikatnie w koniuszek palca. Takie właśnie maleńkie rzeczy wskazują o pewnym zainteresowaniu, o pewnej chęci z twojej strony do przyjacielskich pieszczot i pocałunków.

Isztar sprawiała wrażenie przerażonej.

–Nie mogłabym zrobić czegoś takiego. Po prostu nie mogłabym. Wychowywana byłam w najsurowszym z możliwych sposobów. Nie mogę zachowywać się inaczej, jak tylko w sposób najbardziej formalny. To mężczyzna musi zrobić pierwszy krok, a ja nawet wtedy muszę ze wszystkich sił opierać się jego zalotom. Tak zawsze uczyła mnie matka.

–Ależ Isztar, zrób to więc wtedy, kiedy twoja matka nie patrzy.

–Nie mogłabym. Jestem zbyt... zbyt nieśmiała. Dlaczego mężczyzna nie może... nie może się po prostu do mnie dobrać? – zaczerwieniła się na samą myśl, jaką niosły ze sobą te słowa, przyciskając równocześnie dużą lecz zachwycająco kształtną dłoń do

serca. (Patrząc na to pomyślałem, czy ona zdaje sobie sprawę, jak bardzo jej dłoń jest w tej chwili uprzywilejowana).

Sądzę, że to właśnie słowo "nieśmiała" podsunęło mi ten pomysł.

–Isztar, dziecko moje, już wiem. Musisz spróbować dobroczynnego działania napojów alkoholowych. Istnieje całkiem spora liczba takich, które są przyjemne w smaku i dodają ożywczego wigoru. Gdybyś zaprosiła swojego wielbiciela na margaritę bądź grasshoppera, czy na jakiegokolwiek z kilkunastu innych drinków, jakie mógłbym ci polecić, to szybko przekonałabyś się, że twoja początkowa nieśmiałość wkrótce by zniknęła, a i jego zresztą także. On nabrałby na tyle odwagi, by poczynić ci pewne sugestie, których normalnie gentleman nie powinien raczej czynić damie, ty zaś będąc już rozluźnioną zachichotałabyś i zaproponowała, że odwiedzisz go w jego hotelowym apartamencie, gdzie twoja mama z pewnością by was nie znalazła. Isztar westchnęła głęboko i powiedziała:

–Tak, to z pewnością byłoby cudowne. Szkoda tylko, iż nigdy się nie uda.

–Ależ uda się bez wątpienia! Prawie każdy mężczyzna byłby szczęśliwy, mogąc pójść z tobą na drinka. Gdyby się wahał, zaproponuj, że zapłacisz rachunek. Żaden mężczyzna jakiegokolwiek klasy nigdy nie odmówi drinka, gdy dama zaoferuje...

–Nie chodzi o to – przerwała. – Problem jest raczej ze mną. Nie mogę pić.

Przyznam, iż o czymś takim jeszcze nie slyszalem.

–Otwierasz po prostu usta, moja droga...

–Wiem o tym. Nie mogę pić – to znaczy owszem, mogę przełknąć alkohol. Chodzi o sposób, w jaki na mnie działa. Czuję się potem zupełnie zamroczone.

–Ale nie musisz przecież pić aż tak dużo, po prostu...

–Już po jednym drinku jestem zamroczone, a potem bardzo ciężko choruję. Próbowalam mnóstwo razy, ale naprawdę mogę wypić tylko jednego drinka, a kiedy już go wypiję, nie jestem w nastroju – sam wiesz do czego. To jakiś defekt w moim metabolizmie, jak mi się wydaje, ale moja matka mówi, że jest to dar niebios, mający powstrzymać mnie przed zakusami niecných mężczyzn, którzy próbowaliby pozbawić mnie mej czystości.

Muszę przyznać, iż przez chwilę zaniemówilem na myśl o kimś, kto odnajdywałby zaletę w niemożności smakowania rozkoszy, jakie oferują spreparowane odpowiednio winogrona. Lecz równocześnie ta sama myśl o owej perwersji wzmocniła jeszcze moje postanowienie i wtrąciła w taki stan zubożnienia na niebezpieczeństwo, iż uściskałem lekko sprężyste ramię Isztar i powiedziałem: –

Pozostaw to mnie, drogie dziecko. Już ja to załatwię.

Wiedziałem dokładnie, co muszę zrobić.

Bez wątpienia nigdy nie wspominałem ci o moim przyjacielu Azazelu, bowiem na jego temat jestem absolutnie dyskretny – widzę że masz zamiar zaprotestować i powiedzieć, że go znasz, ale zważywszy na twoją ogólnie znaną tendencję do rozmijania się z prawdą (nie mówię tego w intencji obrażenia się), wcale nie jestem tym zdziwiony.

Azazel jest demonem obdarzonym magicznymi zdolnościami. Małym demonem. Po prawdzie, ma tylko dwa centymetry wzrostu. To nawet dobrze, czyni go bowiem szczególnie chętnym do podkreślania własnej wartości i demonstrowania umiejętności osobie – w tym wypadku mnie – którą łaskawie uważa za istotę pośledniejszego rodzaju.

Jak zwykle przybył na moje wezwanie, ale nie powinieneś się spodziewać, iż podam ci szczegóły metody, jaką stosuję, aby go przywołać. Twój mózdek jest zbyt ograniczony (bez obrazy), byś mógł go potem kontrolować.

Pojawił się raczej bez humoru. Najwyraźniej obserwował właśnie coś w rodzaju jakiegoś wydarzenia sportowego, o rezultat którego założył się i prawie sto tysięcy zikinis i sprawiał wrażenie odrobinę rozdrażnionego, że nie może śledzić ich do końca. Wykazałem mu, że pieniądze to marność i że został przywołany do tego wszechświata, aby nieść pomoc braciom w rozumie, a nie gromadzić sterty bezwartościowych zikinis, które gdyby nawet wygrał, co było wątpliwe, to i tak niechybnie straci skutek następnego zakładu.

Nieodparta logika mej wypowiedzi początkowo wcale nie trafiała do tego upartego stwora, którego jedyną z cech głównych jest nieprzyjemna skłonność do egoizmu, więc podarowałem mu ćwierćdolarówkę. Aluminium jest, jak sądzę, w jego świecie środkiem walutowych i chociaż nie miałem zamiaru zachęcać go do oczekiwań, iż jego zaiste drobna pomoc, jaką czasami mi wyświadczał będzie przeze mnie materialnie wynagradzana, to doszedłem jednak do przekonania, że owe ćwierć dolara stanowić będzie całkiem odpowiednią rekompensatę za jego sto tysięcy zikinis. Nie pomyliłem się, bowiem wspaniałomyślnie przyznał, że jego sprawy mogą tym razem zaczekać. Jak często mawiam, siła argumentowania sama w sobie staje się w końcu odczuwalna.

Wyłuszczyłem problem Isztar Azazelowi, on zaś wysłuchawszy mnie rzekł:

–Chociaż raz przedstawiłeś mi rzeczywiście rozsądny problem.

–Oczywiście – odparłem. – Ostatecznie nie jestem, jak sam o tym doskonale wiesz, człowiekiem nierozsądnym. Chcę jedynie, aby stanęło na moim.

–Wasze nędzne organizmy nie potrafią prawidłowo przyswajać alkoholu – stwierdził Azazel – w wyniku czego substancje pośrednie przedostają się do krwi, wywołując przez to różne nieprzyjemne symptomy mające związek z intoksykacją – określenie to, o czym upewniło mnie przeglądanie waszych słowników, wywodzi się od greckiego słowa, oznaczającego "zatrucie od wewnątrz".

Uśmiechnąłem się szyderczo. Współcześni Grecy, jak sam zapewne wiesz, mieszają wino z żywicą, a starożytni Grecy mieszały je z wodą. Nic dziwnego, że mówili "zatrucie od wewnątrz", skoro sami zatrawali wino, zanim je jeszcze wypili.

Azazel tymczasem kontynuował:

–Koniecznym będzie jedynie takie przestrojenie enzymów, aby jej organizm szybko i bezbłędnie rozkładał alkohol na fragmenty dwuwęgłowe, które są metabolicznym rozdrożem, na tłuszcze, węglowodany i białka nie wywołujące przy tym żadnej intoksykacji. W ten sposób alkohol stanie się dla niej w całości pożywieniem.

–Ale my musimy zachować pewną intoksykację, Azazelu – wystarczającą do wywołania zdrowej obojętności na głupie nauki pobierane na kolanach matki.

Wydawał się od razu zrozumieć w czym rzecz.

–Ach tak. Wiem coś o matkach. Pamiętam, jak moja trzecia matka powtarzała bez przerwy: "Pamiętaj Azazelu, że nigdy nie wolno ci kłapać swoimi błonami mrużnymi tuż przed młodym malobe, kiedy jeszcze możesz..."

Zmuszony byłem przerwać mu ponownie.

–Czy możesz tak ułożyć sprawy, aby choć trochę tych fragmentów pośrednich jednak pozostało, wywołując tym samym odrobinę ożywienia?

–Z łatwością – odparł Azazel i wykazując przy tym niezdrową zachłanność pogłaskał otrzymaną ode mnie monetę, która postawiona na krawędzi była wyższa niż on.

Dopiero w tydzień później miałem szansę przetestować Iszta. Było to w barze śródmiejskiego hotelu, ona zaś rozjaśniała to miejsce do tego stopnia, iż kilku spośród stałych bywalców musiało założyć ciemne okulary i wpatrywało się w nią bez słowa.

–Co my tu właściwie robimy? – zachichotała. – Wiesz przecież, że nie mogę pić drinków.

–To nie będzie picie, moja droga, a przynajmniej nie drinków. To tylko likier miętowy. Z pewnością będzie ci smakował – wszystko ułożyłem odpowiednio wcześniej, więc kelner na mój znak podał nam grasshoppera.

Spróbowała go ostrożnie i powiedziała:

–Och, to rzeczywiście dobre – i odchylając głowę do tyłu pozwoliła, aby cała zawartość szklaneczki gładko spłynęła w dół jej przelyku. Potem koniuszkiem swego przepięknego języka oblizała równie przepiękne wargi i powiedziała:

–Czy mogę wypić jeszcze jeden?

–Oczywiście – odparłem dobrotliwie. – A raczej mogłabyś wypić, gdyby nie fakt, iż w głupi sposób zapomniałem wyjąć portfel z...

–Och, ja zapłacę. Mam mnóstwo pieniędzy. Piękna kobieta, jak zawsze to mówiłem, nigdy nie staje tak wysoko, jak wtedy, kiedy nachyla się by z torebki u swych stóp wyjąć portfel.

W tych okolicznościach ochoczo oddaliśmy się rozkoszom picia. A przynajmniej ona. Wypiła jeszcze jednego grasshoppera, potem wódkę, potem podwójną whisky i kilka innych trunków, nie wykazując przy tym żadnego śladu zatrucia, być może za wyjątkiem olśniewającego uśmiechu, który stał się o wiele bardziej zniewalający niż wszystko, co do tej pory w siebie wlała.

–Jest mi tak ciepło i miło – oświadczyła – i jestem już gotowa – jeżeli wiesz, co mam na myśli.

Chyba wiedziałem, ale wolałem nie wyskakiwać z żadnymi konkluzjami.

–Nie sądzę, że spodobałoby się to twojej mamie. (Badanie, badanie!)

–A co moja matka o tym wie? Nic! A co będzie o tym wiedziała? Także nic! – obrzuciła mnie taksującym spojrzeniem, po czym nachyliwszy się ku mnie podniosła dłoń do swych doskonałych warg.

–A więc gdzie pójdziemy?

No cóż, mój przyjacielu, wiesz chyba, jaki żywię stosunek do tego typu spraw. Odmowa młodej kobiecie, która tak tęsknie prosi o zwykłą przysługę nie należy do rzeczy, które czynię chętnie. Ostatecznie wychowano mnie tak, abym w każdej sytuacji zachowywał się jak gentleman. Ale przy tej okazji, w mojej głowie zaświtało kilka nieprzyjemnych myśli.

Po pierwsze, choć z pewnością trudno by ci było to przyznać, ale moje najlepsze dni mam już raczej za sobą, a kobieta tak młoda i silna jak Ishtar mogłaby potrzebować trochę czasu, aby osiągnąć pełną satysfakcję – rozumiesz chyba, co mam na myśli. Po drugie, jeżeli potem przypominałaby sobie, co się właściwie wydarzyło i czując się tym dotknięta pomyślałaby, iż ją wykorzystałem,

konsekwencje tego mogłyby być mało pociągające. Jako stworzenie impulsywne była w stanie połamać mi kilka kości, zanim zdołałbym jej wszystko wytłumaczyć.

Rozważając to zaproponowałem długą przechadzkę do mojego mieszkania. Świeże powietrze oczyściło jej umysł z niepotrzebnych myśli i byłem bezpieczny.

Inni nie mieli tyle szczęścia. Nierzadko któryś z młodzieńców przychodził do mnie zaliczyć się na Isztar, ponieważ – jak zapewne sam to już zauważyłeś – jest w mojej postawie coś szlachetnego i dobrotliwego, co zezwala innym na pokładanie we mnie pełnego zaufania. Na całe nieszczęście nie spotykaliśmy się w barze, ponieważ młodzieńcy, o których mowa, wydawali się unikać barów, przynajmniej na jakiś czas. Zazwyczaj usiłowali bowiem dotrzymać w picciu Isztar, co nieodmiennie kończyło się fatalnymi rezultatami.

–Jestem absolutnie przekonany – powiedział jeden z nich – że ma ukrytą rurkę prowadzącą od kącika jej ust do stojącej pod stołem beczułki, chociaż szczerze mówiąc nie potrafiłem jej dostrzec. Ale jeżeli myślisz, że to już było coś, to powinieneś zobaczyć, co działo się później.

Biedny chłopiec sprawiał wrażenie przeraźliwie wycieńczonego tym doświadczeniem. Próbował mi o tym powiedzieć, ale jego relacja była zupełnie chaotyczna.

–Te żądania – powtarzał w kółko. – Nienasycona! Absolutnie nienasycona!

Po kilku tego typu rozmowach byłem szczerze zadowolony, że miałem na tyle rozsądku, aby unikać czegoś, z czego mężczyźni w sile wieku z ledwością uchodzili z życiem.

W tamtym okresie nie widywałem jej często, rozumiesz. Była bardzo zajęta – wiedziałem jednak, jak konsumowała dojrziałych mężczyzn w zatrważającym tempie. Prędzej czy później musiała rozszerzyć obszar swych łowów. Okazało się, że prędzej.

Spotkała mnie pewnego ranka w drodze na lotnisko. Była bardziej rozkwitła niż kiedykolwiek, bardziej pneumatyczna, bardziej wstrząsająca we wszystkich możliwych wymiarach. Nic z tego, przez co przeszła nie wydawało się na nią wpływać, chyba że na korzyść.

–Rum – oświadczyła wyciągając z torebki butelkę. – Pasjami piją to na Karaibach. Rzeczywiście bardzo przyjemny i bardzo łagodny trunek.

–Wybierasz się więc na Wyspy Karaibskie, moja droga?

–Tak, a także do wielu innych miejsc. Mężczyźni tutaj wydają się być mało wytrzymali i słabi duchem. Jestem nimi bardzo rozczarowana, chociaż muszę

przyznać, że miałam kilka chwil znakomitej zabawy. Jestem ci bardzo wdzięczna, George, że mi to umożliwiłeś. Wszystko to zaczęło się chyba wtedy, kiedy po raz pierwszy poczęstowałeś mnie tym likierem miętowym. Wiesz, właściwie szkoda, że ty i ja...

–Nonsens, drogie dziecko. Wiesz przecież, że pracuję dla ludzkości. O sobie nie myślę nigdy.

Wycisnęła na mym policzku pocałunek, który sparzył mnie, niczym kwas siarkowy i zniknęła. Z uczuciem niewyobrażalnej ulgi otarłem zroszone potem czoło, lecz równocześnie nie omieszkałem pogratulować sobie w myśli, że chociaż raz moja interwencja poprzez Azazela spowodowała coś, co zakończyło się szczęśliwie, ponieważ Isztar, niezwykle zamożna dzięki odziedziczonemu niedawno spadkowi, mogła teraz oddawać się bez końca i bez żadnej dla siebie szkody urokowi picia i kobiecym przyjemnościom.

Albo tak mi się przynajmniej wydawało.

Wiadomość od niej otrzymałem dopiero po upływie całego roku. Powróciła do miasta i po prostu do mnie zatelefonowała. Dobrą chwilę trwało, zanim wreszcie uświadomiłem sobie, kto właściwie do mnie dzwoni. Jej głos był histerycznym wrzaskiem.

–Moje życie jest skończone! – grzmiała do słuchawki. – Nawet moja matka już mnie nie kocha. Nie rozumiem, jak do tego doszło, ale jestem pewna, że to twoja wina. Gdybyś nie zaprosił mnie wtedy na ten likier miętowy, to po prostu wiem, że nic takiego nigdy by się nie wydarzyło.

–Ale cóż takiego się stało, moja droga? – zapytałem drżąc na całym ciele. Isztar kiedy jest wściekła, nie jest tą Isztar, z którą chciałoby się mieć cokolwiek wspólnego.

–Przyjdź do mnie. Pokażę ci.

Moja ciekawość pewnego dnia doprowadzi mnie do zguby. Nieomal tak stało się właśnie owego dnia. Nie byłem w stanie oprzeć się przed złożeniem wizyty w jej dworcu, leżącym na obrzeżach miasta. Byłem jednak na tyle mądry, iż drzwi wejściowe pozostawiłem otwarte. Kiedy zbliżała się do mnie z nożem rzeźnickim w dłoni, odwróciłem się i uciekłem z taką szybkością, z której byłbym dumny nawet w moich latach młodości. Na szczęście nie ścigała mnie, co zważywszy na jej stan wcale nie było czymś zaskakującym.

Wkrótce potem ponownie opuściła miasto i, o ile mi wiadomo, jeszcze nie powróciła. Od tamtej chwili żyję w strachu, że kiedyś jednak powróci. Kobiety tego świata nigdy nie zapominają.

Sądząc po zamilknięciu George'a odniosłem wrażenie, iż dobiegł już do końca swojej opowieści.

–Ale co się właściwie stało? – zapytałem.

–Nie rozumiesz? Chemia jej ciała została zmieniona w taki sposób, że bardzo wydajnie przekształcała alkohol na dwuwęgłowe składniki, stanowiące metaboliczne rozdroże dla węglowodanów, tłuszczu i białek. Alkohol był dla niej pełnowartościową żywnością. A ona piła przecież jak gąbka – to niewiarygodne, ale jednak to prawda. Cały alkohol rozkładał się na dwuwęgłowe składniki, a dalej przekształcał się w tłuszcz. Jednym słowem stała się tęga, a w dwóch słowach straszliwie otyła. Całe jej piękno zniknęło, zastąpione narastającymi warstwą po warstwie pokładami słoniny.

George pokręcił w przerażeniu głową i z żalem powiedział:

–Zło wyrządzane przez alkohol rzeczywiście byłoby trudne do oszacowania.

CZAS NA PISANIE

–Znałem kiedyś kogoś, kto był trochę do ciebie podobny – powiedział George.

Siedzieliśmy przy oknie w niewielkiej restauracji, do której wstąpiliśmy na lunch. George z melancholijną miną spozierał na ulicę.

–To zadziwiające – odparłem. – Zawsze myślałem, że jestem unikatem.

–Bo jesteś – przyznał George. – Ale mężczyzna, o którym mówię był tylko trochę do ciebie podobny. Bo jeśli chodzi o umiejętności gryzmolenia bezwartościowych szmir przy równoczesnym i zupełnym braku koncentracji, to w tym akurat nie masz sobie równych.

–Tak się składa, że posługuję się procesorem słów.

–Użyłem słowa "gryzmolić" – powiedział wyniośle George – w sensie, który każdy prawdziwy pisarz rozpoznałby z miejsca jako metafizyczny – zamilkł, a z jego piersi wyrwało się dramatyczne westchnienie.

Wiedziałem już, co to oznacza.

–Zapewne zamierzasz opowiedzieć mi kolejną fantazję o Azazelu, czyż nie tak, George?

Spojrzał na mnie z pogardą w oczach.

–Pisujesz swoje własne fantazje już tak długo i tak kiepsko, że nie rozpoznasz brzmienia prawdy nawet wtedy, kiedy ją usłyszysz. Ale to i tak nieważne. To zbyt smutna historia, aby ci ją opowiedzieć.

–Ale i tak mi ją opowiesz, nieprawdaż? George westchnął ponownie.

To ten przystanek autobusowy po drugiej stronie (powiedział George) przypomniał mi Mordehaja Simsa, który wiódł samotne i powściągliwe życie przetwarzając niekończące się stosy papieru na kiczowate szmiry. Co prawda nie płodził tak dużo, jak ty i nie tak tandetnie, toteż mówię, że był tylko trochę do ciebie podobny. Muszę jednak oddać mu sprawiedliwość i przyznać, iż okazjonalnie czytywałem jego powieści. Niektóre z nich były całkiem, całkiem. Nie chcę cię urazić, ale ty nigdy nie osiągnąłeś takiego poziomu – przynajmniej po recenzjach sądząc – bowiem nie upadłem jeszcze tak nisko, by zacząć czytać cię osobiście.

Mordehaj różnił się od ciebie w jeszcze innym względzie: był potwornie niecierpliwy. Przyjrzyj się sobie w tym wiszącym na ścianie lustrze – zakładając oczywiście, iż nie

sprzeciwisz się przypomnieniu sobie, jak właściwie wyglądasz – i zauważ, jak niedbale siedzisz, z jednym ramieniem przerzuconym przez oparcie krzesła, podczas gdy reszta ciała osunęła się w dół w nieforemnym bezładzie. Patrząc na siebie nikt by nie pomyślał, że masz jakąkolwiek koncepcję, w jaki sposób zapisać swoją dzienną porcję papieru.

Mordehaj bynajmniej: zawsze świadom swoich nieprzekraczalnych terminów, był równocześnie w stałym niebezpieczeństwie ich przekroczenia.

W tamtych dniach regularnie co czwartek jadaliśmy razem, on zaś przez swoją bezustanną paplaninę sprawiał, iż były to mało przyjemne chwile.

–Muszę wysłać ten list najpóźniej do jutra – mawiał – ale przedtem poprawić muszę inny, a zupełnie nie mam na to czasu. Gdzie do diabła jest ten rachunek? Dlaczego nie przychodzi kelner? Co oni tam robią w tej kuchni? Zawody pływackie w sosie do pieczenia?

Szczególnie niecierpliwił się kiedy chodziło o rachunek, zatem zawsze obawiałem się, że powodowany brakiem czasu może niespodziewanie wyjść, pozostawiając nieprzyjemną kwestię płatności mnie. Co prawda nigdy tego nie zrobił, ale sama myśl, że to nastąpi w skuteczny sposób psuła mi posiłek.

Albo spójrz na ten przystanek autobusowy. Obserwuję go już od piętnastu minut. Zauważysz, że żaden autobus nie nadjeżdża, a jest przecież zimny dzień i wieje ostry wiatr. Wszystko, co tam widzimy to podniesione kołnierze, wciśnięte głęboko w kieszenie płaszczy dłonie, czerwone lub sine nosy, tupiące dla rozgrzewki stopy. Nie widzimy natomiast żadnej rebelii, żadnych wygrażających niebiosom pięści. Wszyscy w tej kolejce są wtrąceni w pasywność niesprawiedliwościami życia.

Ale nie Mordehaj Sims. Gdyby on stał w tym ogonku, to co rusz wybiegałby na środek ulicy i spoglądając w odległy horyzont wypatrywałby jakiegokolwiek znaku zbliżającego się autobusu; mruzczałby, warczał i wymachiwał ramionami; podburzał wszystkich do marszu na ratusz. Jednym słowem usuwałby nadmiar adrenaliny.

Wiele razy zwracał się ze swymi wyrzekaniami do mnie zachęcony, jak wielu innych, otaczając mnie aurą kompetencji i zrozumienia.

–Jestem bardzo zajęтым człowiekiem, George – mawiał gwałtownie. Zawsze mówił gwałtownie. – To wstyd, skandal i zbrodnia, że cały świat zmawia się, aby przeciwko "mnie konspirować. Niedawno musiałem wpaść do szpitala na jakieś rutynowe badania. Bóg jeden wie po co – chyba tylko dlatego, że mój lekarz głupio myśli, iż musi zarabiać na życie – i powiedziano mi, abym o 9.40 rano stawił się przed takim to a takim okienkiem.

Oczywiście przybyłem tam dokładnie o 9.40, a w okienku, gdzie miałem się zgłosić,

widniała tabliczka z napisem: "Otwarte od 9.30 rano". Tak było napisane, George – po angielsku, wszystkie litery na swoim miejscu. Jednakże za okienkiem nie było nikogo.

Sprawdziłem godzinę na zegarku i podszedłem do jakiegoś typa, którego łotrzykowaty wyraz twarzy wystarczająco jasno wykazywał, iż rekrutuje się z niższego personelu szpitala.

–Gdzie jest ten łajdak – zapytałem – który powinien być za tym okienkiem?

–Jeszcze go nie ma – odparł ten typek spod ciemnej gwiazdy.

–Tu jest napisane, iż miejsce to jest otwarte od 9.30 rano.

–Prędzej czy później ktoś tutaj przyjdzie – odparł z przyprawiającą mnie o białą gorączkę obojętnością.

Ostatecznie byłem przecież w szpitalu. Mogłem być umierający. Czy kogoś to obchodziło? Wcale! Zagrażało mi niedotrzymanie terminu czegoś, w co włożyłem ostatnio połowę mojej energii, a co przyniosłoby mi dostateczną ilość pieniędzy, abym mógł opłacić rachunek za lekarza. Czy kogoś to obchodziło? Akurat! Dopiero o 10.40 ktoś się wreszcie tam zjawił, a kiedy pośpieszyłem do okienka, ten spóźniony drań spojrzał na mnie wrogo i powiedział:

–Musi pan poczekać na swoją kolej.

Mordehaj mógł opowiadać historyjki tego typu właściwie bez końca: a to o windach w banku, z których każda sunęła powoli w górę, podczas gdy on czekał niecierpliwie w hallu, a to o ludziach którzy mieli przerwy na lunch od dwunastej do trzeciej trzydzieści i którzy od środy zaczynali swój czterodniowy weekend, podczas gdy on musiał się z nimi skontaktować.

–Doprawdy nie rozumiem, dlaczego ktoś zawracał sobie głowę wynajdywaniem czasu, George – mawiał.

–To jedynie urządzenie, umożliwiające powstawanie nowych sposobów marnotrawstwa. Czy zdajesz sobie sprawę, że gdybym mógł zamienić godziny, jakie muszę spędzać oczekując na spotkanie z różnymi beczelnymi typkami w dogodnym dla nich terminie, w czas przeznaczony wyłącznie na pisanie, to mógłbym podwyższyć mój przerób co najmniej od dziesięciu do dwudziestu procent? A czy zdajesz sobie sprawę także i z tego, iż nawet mimo wołającego o pomstę do nieba skąpstwa wydawców oznaczałoby to podobny wzrost moich dochodów?... Gdzie jest ten przeklęty rachunek?

Oczywiście pomyślałem, że byłoby dobrym uczynkiem wspomnienie go w

podniesieniu jego dochodów, jako że miał miły zwyczaj wydawać część z tych dochodów na mnie. Co więcej, cechowała go rzadko spotykana umiejętność wybierania znakomitych miejsc, w których jadał, co miłym ciepłem ogrzewało me serce. – Nie, nie takich, jak to, mój drogi. Twój gust jest poniżej wszelkiej krytyki, co, jak mi powiedziano, łatwo można wywnioskować po lekturze twoich książek.

Zacząłem więc szukać w mym prężnym umyśle sposobu, dzięki któremu mógłbym mu pomóc.

Myśl o Azazelu nie od razu przyszła mi do głowy. W tamtych dniach nie byłem jeszcze przyzwyczajony do niego w pełni. Ostatecznie demon – choćby tylko dwucentymetrowy – nie jest czymś zwyczajnym.

W końcu zacząłem się zastanawiać, czy Azazel rzeczywiście potrafiłby poradzić cokolwiek w kwestii stworzenia komuś czasu na pisanie. Nie wydawało się to prawdopodobne i mogło być po prostu marnowaniem jego czasu, ale czymże jest właściwie czas dla istoty nie z tego świata?

Odmówiłem więc całą niezbędną litanię starożytnych zaklęć, mających za zadanie przywołać go z miejsca, w którym się aktualnie znajdował. Rzeczywiście przybył, ale pogrążony w głębokim śnie. Jego niewielkie oczy były zamknięte, zaś spoza warg wydobywało się wysokie w tonie burczenie, które przybierało na sile i cichło w nieregularny i bardzo nieprzyjemny sposób. Być może był to odpowiednik ludzkiego chrapania.

Nie bardzo wiedziałem, jak należy go budzić, więc ostatecznie postanowiłem upuścić na jego brzuch kropelkę wody. Musisz wiedzieć, że jego brzuch jest doskonale sferyczny, zupełnie jakby połączył łożysko kulkowe. Nie miałem najmniejszego pojęcia, czy jest to w jego świecie normą, ale kiedyś, kiedy o tym wspominałem natychmiast zażądał, abym mu wytłumaczył, co to właściwie jest to łożysko kulkowe, a gdy to uczyniłem zagroził, że mnie zapulnikluje. Nie wiem, co miał na myśli, ale z tonu jego głosu wywnioskowałem, że było to raczej coś mało przyjemnego.

Kropla wody rzeczywiście go obudziła, wprawiając przy tym w stan absurdalnego zirygowania. Bez przerwy powtarzał, że o mało nie utonął, po czym z nudnymi detalami zaczął opisywać prawidłowe metody budzenia kogoś w jego świecie. Było tam coś o tańczeniu, płatkach kwiatów, delikatnych instrumentach muzycznych i miękkich dotknięciach palców cudownie tańczących dziewczyc. Powiedziałem mu, że w naszym świecie często oblewamy się dla zabawy wodą z węża ogrodowego, on zaś wymamrotał kilka uwag o ignoranckich barbarzyńcach i w końcu uspokoił się na tyle, że mogłem porozmawiać z nim sensownie.

Przedstawiłem mu cały problem właściwie oczekując, że powie parę słów w swoim

żargonie i to wszystko.

Nic podobnego. Zamiast tego spojrział na mnie zaskakująco poważnie i powiedział:

–Nie wiem czy zdajesz sobie sprawę, ale właśnie prosisz mnie, abym ingerował w reguły prawdopodobieństwa.

Ucieszyło mnie, że tak szybko utrafił w samo sedno.

–Właśnie – potwierdziłem.

–Ale to niełatwe – odparł.

–Oczywiście, że nie. Czyż prosiłbym, abyś to zrobił, gdyby było łatwe? Gdyby było łatwe, wtedy sam bym to zrobił. Jedynie wtedy, kiedy coś jest niełatwe, zmuszony jestem prosić o pomoc kogoś tak ogromnie niepospolitego, jak ty.

To przyprawia o mdłości, oczywiście, ale jest niezbędne w rozmowie z demonem, który jest tak samo przesadnie wrażliwy na temat swojego wzrostu, jak na temat brzucha.

Wydawał się zadowolony moją logiką, bowiem powiedział:

–No cóż, nie powiedziałem, że jest to niemożliwe.

–Również odniosłem takie wrażenie.

–Będzie wymagało poprawy kontinuum Jinwhippera w waszym świecie.

–No właśnie. Po prostu wyjąłeś mi to z ust.

–Wszystko, co muszę zrobić, to wprowadzić kilka węzłów w połączeniu kontinuum z twoim przyjacielem, w tym dotyczących nieprzekraczalnych terminów. A tak przy okazji: co to właściwie są te "nieprzekraczalne terminy"?

Wysłuchawszy moich wyjaśnień odparł z donośnym westchnieniem:

–Ach tak, my też mamy takie rzeczy w naszych bardziej eterycznych wyznaniach uczuć. Pozwolisz takiej granicy upłynąć, a te małe słodkie stworzonka nigdy nie pozwolą ci wysłuchać końca. Pamiętam kiedyś...

Ale oszczędzę ci tu wstrętnych szczegółów jego nieistotnego pożycia seksualnego.

–Jedyna trudność polega na tym – powiedział na zakończenie – że gdy wprowadzę już te węzły, nie będę ich mógł później usunąć.

–Dlaczego nie?

–Obawiam się, że to teoretycznie niemożliwe – odparł z przesadną obojętnością.

Wcale w to nie uwierzyłem. Najprawdopodobniej chodziło o to, że ten mały nieudacznik po prostu nie wiedział, jak się do tego zabrać. Ale ponieważ był kompetentny na tyle, by uniemożliwić mi dalsze życie, to nie chcąc by zorientował się, że przejrzałem jego szaradę, powiedziałem jedynie:

–Nie musisz ich usuwać. Mordehaj pragnie po prostu dodatkowego czasu na pisanie, a kiedy będzie już go miał, pozostanie szczęśliwy do końca życia.

–W takim razie nie widzę przeszkód.

Przez długą chwilę wykonywał tajemnicze ruchy dłońmi. Przypominało to przedstawienie, jakie urządza w cyrku każdy magik, być może za wyjątkiem tego, iż jego dłonie wydawały się jarzyć i przez krótsze bądź dłuższe okresy stawały się niewidoczne. Po prawdzie są one lak małe, że nawet w normalnych warunkach trudno z całą pewnością stwierdzić, czy są widoczne, czy też nie.

–Co robisz? – zapytałem, lecz Azazel pokręcił jedynie głową, a jego wargi poruszyły się zupełnie jakby coś liczył.

Potem, najwidoczniej skończywszy, położył się na stole i zaczął ciężko dyszeć.

–Zrobione? – zapytałem. Skinął głową i powiedział:

–Chyba zdajesz sobie sprawę, że musiałem obniżyć iloraz jego entropii mniej lub bardziej stale.

–Co to znaczy?

–To znaczy, że rzeczy w jego otoczeniu będą odrobinę bardziej uporządkowane, niż należałoby tego oczekiwać.

–Nie widzę niczego złego w byciu uporządkowanym – odparłem. (Możesz w to nie wierzyć, chłopie, ale zawsze byłem zwolennikiem porządku. Prowadzę dokładną listę z zaznaczeniem każdego centa, jakiego jestem ci winien. Szczegóły przepisywane są na niezliczonych skrawkach papieru, walających się tu i tam po całym moim domu. Możesz otrzymać je do sprawdzenia kiedy tylko zechcesz).

–Oczywiście, w byciu uporządkowanym nie ma niczego złego – potwierdził Azazel. – Chodzi tylko o to, że nie możesz bezkarnie manipulować drugim prawem termodynamiki. A oznacza to, że rzeczy gdzie indziej będą odrobinę mniej uporządkowane, w celu przywrócenia niezbędnej równowagi.

–W jaki sposób? – zapytałem sprawdzając mój zamek błyskawiczny. (Nigdy dość ostrożności).

–Na różne sposoby, ale przeważnie niedostrzegalne gołym okiem. Rozszerzyłem efekt na cały system słoneczny, tak więc dojdzie do kilku więcej kolizji asteroidów niż zazwyczaj, erupcje wulkaniczne na Jo staną się częstsze i tak dalej. Jednakże największy wpływ będzie to miało na słońce.

–Jaki?

–Obliczyłem, że stanie się wystarczająco gorące, by uniemożliwić dalsze życie na Ziemi o około dwa i pół miliona lat wcześniej niż wtedy, gdybym nie zawęzał kontinuum.

Wzruszyłem ramionami. Cóż znaczy kilka milionów lat w porównaniu z kimś, kto płaci za moje obiady z tak uroczą dyspozycyjnością, którą chciałoby się widzieć wszędzie?

Jednakże nasz następny wspólny obiad odbył się dopiero w tydzień później. Mordehaj wydawał się niezwykle podniecony, a kiedy zdjął już płaszcz i podszedł do stolika, przy którym oczekiwałem go niecierpliwie popijając drinka, zauważyłem na jego twardej płomienny uśmiech.

–George – powiedział – nie uwierzysz, jaki miałem niezwykły tydzień.

Nie patrząc uniósł dłoń do góry i wcale nie sprawiał wrażenia zdziwionego, gdy umieszczono w niej menu. A musisz wiedzieć, że była to restauracja, w której kelnerzy, harde i wyniosłe typy, nie podadzą ci menu bez potrójnego podania, podpisanego uprzednio przez kierownika sali.

–To szczerą prawdą, ale wszystko szło jak w zegarku – mówił dalej Mordehaj.

–Doprawdy? – zapytałem tłumiąc z trudnością śmiech.

–Kiedy poszedłem do banku, znalazłem wolne okienko i uśmiechniętego kasjera. Kiedy poszedłem na pocztę, tam także było wolne okienko i cóż, trudno wyobrazić sobie uśmiech na twarzy urzędnika pocztowego, ale przynajmniej przyjął mój list bez żadnych grymasów i uwag. Autobusy podjeżdżały, kiedy tylko stawałem na przystanku, a podczas wczorajszych godzin szczytu wyciągnąłem jedynie rękę, a już zatrzymała się wolna taksówka. Kiedy poprosiłem kierowcę, aby zawiózł mnie na skrzyżowanie Piątej i Czterdziestej dziewiątej, zrobił to jadąc najkrótszą drogą, co świadczy o jego znajomości miasta. Mówił nawet po angielsku – co zamawiasz, George?

Jedno spojrzenie na menu wystarczyło w zupełności. Najwidoczniej wszystko

zostało tak ułożone, abym nawet ja nie był w stanie go opóźnić. Mordehaj cisnął swe menu na stół i gwałtownie przystąpił do wydawania dyspozycji w imieniu nas obu. Zauważyłem, że nawet się nie upewnił, czy u jego boku stoi kelner. Przyzwyczaił się już zakładać, że musi tam stać.

I rzeczywiście stał.

Wysłuchawszy polecenia kelner zatarł ręce, uklonił się i przystąpił do obsługi, czyniąc to w sposób szybki, wdzięczny i efektywny.

–Wydaje się – powiedziałem – że twoim udziałem stał się zadziwiający łańcuch szczęścia, Mordehaju, mój przyjacielu. Jak to sobie właściwie tłumaczysz? (Muszę przyznać, że przez głowę przemknęła mi myśl, aby uświadomić go, iż to ja jestem za to odpowiedzialny. Bo gdyby o tym wiedział, to czyż nie obsypał by mnie złotem, albo – co w dzisiejszych czasach bardziej prawdopodobne – jakimiś papierami o wysokim nominale?)

–To proste – odparł utykając za kołnierz koszuli chusteczkę i ujmując w śmiertelnym chwycie sztucę, jako że Mordehaj ze wszystkimi swoimi cnotami, nie był wykwintnym w stylu smakoszem. – To żadne szczęście. To jedynie nieunikniony rezultat działań przypadku.

–Przypadku? – zapytałem oburzony.

–Oczywiście – odparł Mordehaj. – Całe moje dotychczasowe życie było okropną serią przypadkowych spóźnień, jakich świat jeszcze nie widział. Prawa przypadku czynią natomiast koniecznym, aby taki niekończący się łańcuch nieszczęść został w jakiś sposób zrekompensowany. I to właśnie dzieje się teraz i zapewne dzieć się będzie aż do końca mojego życia. A przynajmniej tego się właśnie spodziewam. I nawet jestem pewny. Wszystko utrzymywane jest w równowadze – pochylił się w moją stronę i w bardzo nieprzyjemny sposób uderzył mnie palcem w pierś. – Uwierz mi. Nie możesz manipulować prawami prawdopodobieństwa.

Przez cały posiłek pouczał mnie o tych prawach, o których – jestem tego pewien – wiedział tak samo mało, jak ja.

–Więc z pewnością wszystko to pozostawia ci więcej czasu na pisanie? – zapytałem w końcu.

–Raczej tak – odparł. – Obliczyłem, że mój czas na pisanie wzrósł o około dwadzieścia procent.

–Zakładam więc, że równie odpowiednio wzrósł twój przerób?

–No cóż – powiedział z dość nieszczęśliwą miną. – Obawiam się, że jeszcze nie.

Naturalnie, muszę do tego wszystkiego przywyknąć. Nie jestem przyzwyczajony, aby rzeczy działały się tak szybko. Było to dla mnie prawdziwym zaskoczeniem.

Mówiąc szczerze, wcale nie wyglądał na zaskoczonego. Uniósł rękę i nawet nie patrząc wyjął z palców kelnera – który w tej samej chwili zmaterializował się przy naszym stoliku – rachunek. Spojrzał na niego przelotnie i wręczył go z powrotem, łącznie z kartą kredytową, zaś kelner uklonił się i szybko odszedł.

Cały obiad trwał niewiele dłużej ponad trzydzieści minut. Nie będę ukrywał przed tobą faktu, że preferowałbym cywilizowane dwie i pół godziny, z szampanem przed głównym daniem i brandy po, z odpowiednim winem pośrodku oraz kulturalnymi rozmowami, wypełniającymi wszelkie przerwy. Jednakże jaśniejszą stroną tego wszystkiego był fakt, iż Mordehaj zaoszczędził dwie godziny, które mógłby spędzić na zarabianiu pieniędzy dla siebie, oraz – w pewnym sensie – dla mnie.

Tak się złożyło, że po tym ostatnim obiedzie nie widziałem się z Mordehajem przeszło trzy tygodnie. Nie pamiętam już konkretnie dlaczego, ale podejrzewam, że była to jedna z tych okazji, podczas których zmienialiśmy się kolejno w podróży poza miasto.

Tak czy inaczej pewnego ranka wychodziłem właśnie z kawiarenki, do której wstępowałem czasami na bułkę i sadzone jajka, gdy pół bloku dalej dostrzegłem oczekującego na rogu Mordehaja,

Pamiętam, że owego dnia była bardzo nieprzyjemna pogoda – padał mianowicie deszcz ze śniegiem. Był to jeden z tych dni, kiedy to puste taksówki zbliżają się w twoją stronę wyłącznie po to, aby opryskać ci spodnie brudno-szarą mazią, po czym odjeżdżają błyskając prowokująco tabliczką z napisem "wolny".

Mordehaj stał odwrócony do mnie plecami i unosił właśnie rękę, gdy w jego stronę podjechała ostrożnie pusta taksówka. Ku memu zdziwieniu, Mordehaj odwrócił się w drugą stronę. Taksówka zatrzymała się na chwilę, po czym odjechała z wymalowanym na przedniej szybie wyraźnym wyrazem rozczarowania.

Mordehaj ponownie podniósł rękę i dosłownie znikąd pojawiła się druga taksówka. Wsiadł do niej ale – co słyszałem wyraźnie nawet z odległości czterdziestu jardów – uczynił to przy wtórze zestawu wyrażen zdecydowanie nie pasującego do osoby dobrze wychowanej, oczywiście zakładając, iż osoba taka jeszcze się w naszym mieście uchowała.

Zadzwońtem do niego później i umówiłem się z nim na kilka drinków w pewnym dobrze znanym nam barze słynącym z tego, iż serwowano tam jedną "Szczęśliwą Godzinę" po drugiej od rana aż do zmierzchu. Z niecierpliwością oczekiwałem, by udzielił mi pewnych informacji.

Pragnąłem bowiem dowiedzieć się znaczenia użytych przez niego wyrażeń. – Nie, mój drogi, nie chodziło mi o słownikowe znaczenie tych słów, chociaż wątpię, byś mógł je znaleźć w jakimkolwiek leksykonie. Chciałem się po prostu dowiedzieć, dlaczego ich w ogóle użył. Przecież powinien być raczej ekstatycznie wprost szczęśliwy.

Jednakże kiedy wszedł do baru, wcale nie sprawiał wrażenia szczęśliwego. Właściwie to wyglądał na zupełnie wytrąconego z równowagi.

–Czy mógłbyś przywołać kelnerkę, George? – zapytał. Był to jeden z tych barów, w których kelnerki w uroczy sposób poubierane były bez przesadnej dbałości o zachowanie ciepła, co, oczywiście, pomagało zachować ciepło mnie. Z przyjemnością skinąłem na jedną z nich dłonią, chociaż doskonale wiedziałem, że zinterpretuje mój gest jedynie jako wyrażający pragnienie zamówienia drinków. Mówiąc szczerze to nie zinterpretowała go wcale, ponieważ zignorowawszy mnie zupełnie odwróciła się do mnie swymi prawie nagimi plecami.

–Doprawdy, przyjacielu – powiedziałem. – Jeżeli chcesz być obsłużony, to sam będziesz musiał ją przywołać. Prawa prawdopodobieństwa z mego powodu nawet jeszcze nie drgnęły. A szkoda, bo jest już długo po czasie, w którym mój bogaty wujek powinien umrzeć i wydziedziczyć swojego syna na moją korzyść.

Masz bogatego wujka? – zapytał z nagłym zainteresowaniem Mordehaj.

–Nie! Ale to jedynie czyni tę sprawę bardziej nawet niesprawiedliwą. Zamów drinka, dobrze?

–Do diabła z tym! – mruknął w dalszym ciągu nie w humorze Mordehaj. – Mogą poczekać.

Oczywiście martwiło mnie nie to, że one mogą poczekać, ale ostatecznie moja ciekawość przewyciężyła pragnienie.

–Mordehaj – powiedziałem – sprawiasz wrażenie nieszczęśliwego. Widziałem cię dziś rano, lecz ty mnie nie zauważyłeś. Zignorowałeś pustą taksówkę, chociaż w taki dzień jak dzisiejszy warta jest swojej wagi w złocie. A zaraz potem, kiedy podjechała następna, zachowałeś się niezwykle opryskliwie.

–Doprawdy? – zdziwił się Mordehaj. – No cóż, jestem już zmęczony tymi draniami. Taksówki mnie prześladowają. Podążają za mną długimi liniami. Wystarczy, że tylko zerknę na ulicę, a już jakaś się zatrzymuje. Jestem okrążony tłumem kelnerów. Na mój widok sprzedawcy otwierają zamknięte przed chwilą sklepy. Kiedy wchodzę do budynku, wszystkie windy otwierają się zapraszająco i zawsze co najmniej jedna czeka cierpliwie na piętrze, na którym akurat jestem. W każdym możliwym do wyobrażenia biurze natychmiast zapraszany jestem do środka przez hordy

uśmiechniętych sekretarek. Urzędnicy wszelkich szczebli wydają się istnieć wyłącznie po to...

Przyznaję, że na chwilę zaparło mi dech. Ale tylko na chwilę.

–Ależ przyjacielu – przerwałem. – Przecież to prawdziwe szczęście. Prawa prawdopodobieństwa...

To, co zaproponowałem, abym zrobił z tymi prawami, było oczywiście zupełnie niemożliwe, ponieważ jako abstrakcje nie dysponują żadnymi cielesnymi częściami.

–A czyż nie zwiększa to wszystko czasu, jaki przeznaczyć możesz na pisanie? – zapytałem z lekką wymówką w głosie.

–Akurat! – prychnął wściekle Mordehaj. – Teraz wcale nie mogę pisać.

–Dlaczego, na litość boską?

–Ponieważ utraciłem czas na myślenie.

–Co takiego? – zapytałem ze zdumieniem.

–Chwile, w których musiałem czekać – na przystankach, na rogach ulic, w poczekalniach – były okresami, w których myślałem; kiedy zastanawiałem się, o czym będę pisał. Było to dla mnie niezwykle ważne.

–Nie wiedziałem.

–Ja także nie, ale wiem teraz.

–A ja sądziłem – powiedziałem – że spędzałeś ten czas gotując się ze złości, klnąc w żywy kamień i zamartwiając się do nieprzytomności.

–Część tego czasu rzeczywiście spędzałem w ten sposób. Resztę jednak wypełniało mi myślenie. Lecz nawet czas, w trakcie którego uskarżałem się na niesprawiedliwość Wszechświata był użyteczny, ponieważ podkreślał mi niejako i sprawiał, iż hormony w moim krwiobiegu pieniły się niczym szampan, więc kiedy rzeczywiście siadałem już do maszyny, cała moja złość i frustracja znajdowały ujście we wspaniałym i długotrwałym ataku na klawisze. Myślenie dostarczało mi motywacji intelektualnej, gniew zaś motywacji emocjonalnej. Rezultatem były wyśmienite literacko dzieła, wylewające się z mroków i wewnętrznych ogni mojej duszy. A teraz co mam? Patrz!

Złączył na chwilę kciuk z palcem środkowym i tuż obok niego pojawiła się kusząco rozdzielona kelnerka, pytając:

–Czy mogę pana obsłużyć, sir?

Oczywiście, że mogła, ale zrozpaczony Mordehaj zamówił dla nas jedynie po drinku.

–Początkowo myślałem – mówił dalej – że to wyłącznie kwestia dostosowania się do nowej sytuacji, ale teraz już wiem, że o żadnym dostosowaniu się nie może być mowy.

–A jednak nie możesz chyba zaprzeczyć, iż sytuacja, w jakiej się obecnie znajdujesz przynosi ci jednak pewne korzyści.

–Tak uważasz? Widziałeś mnie dziś rano. Jeżeli nie skorzystam z jednej taksówki, to zaraz pojawia się następna. Mogę odmówić pięćdziesiąt razy, ale i tak zawsze zjawi się pięćdziesiąta pierwsza, która tylko czeka na taką okazję. Doprowadzają mnie do szaleństwa.

–No cóż, dlaczego w takim razie nie zarezerwujesz sobie godziny, lub dwóch dziennie, aby spokojnie poro-zmyślać w zaciszu swojego gabinetu?

–Otóż to! W zaciszu mojego gabinetu! Myśli mi się dobrze wyłącznie wtedy, kiedy stoję na jakimś przystanku przestępując z nogi na nogę, siedzę na piekielnie niewygodnym krześle z jakiejś poczekalni lub przymieram głodem w jakiejś restauracji sprawiającej wrażenie, iż wszyscy kelnerzy dostali akurat wychodne. Potrzebuję bodźcu do oburzenia.

–A czyż nie jesteś oburzony teraz?

–To nie to samo. Można być oburzonym na niesprawiedliwość, ale jak możesz się oburzać, kiedy wszyscy wokoło ciebie są mili i troskliwi – nawet nieczułe zazwyczaj gbury? Nie, teraz nie jestem oburzony. Jestem jedynie smutny, a niestety wcale nie potrafię pisać, kiedy jestem w takim właśnie stanie ducha.

Spędziliśmy w ten sposób najbardziej nieszczęśliwą Szczęśliwą Godzinę, jaka kiedykolwiek była moim udziałem.

–Przysięgam ci, George – powiedział Mordehaj – ale wydaje mi się, że ciąży nade mną jakieś przekleństwo. Może jakaś czarodziejska matka chrzestna, wściekła, iż nie została zaproszona na moje chrzciny, obdarowała mnie jedyną rzeczą, która jest jeszcze gorsza od ustawicznych i niezamierzonych spóźnień. Wymyśliła mianowicie przekleństwo absolutnej służalczości na każde życzenie.

Na widok jego nieszczęścia w moim oku zakręciła się niemęska łza. Przecież to nikt inny, tylko ja byłem tą czarodziejską matką chrzestną, o której wspominał, a myśl, że mógłby się jakoś o tym dowiedzieć nie była szczególnie przyjemna. W rozpaczy mógłby próbować się zabić, lub – co gorsza – spróbować zabić mnie.

Potem zaczął się jeszcze większy horror. Poprosiwszy o rachunek, który oczywiście wręczony mu został natychmiast, przestudiował go przygasłym okiem, wyciągnął w moją stronę i powiedział, śmiejąc się pustym, niemiłym śmiechem'

–Masz, zapłać za to wszystko. Ja idę do domu.

Zapłaciłem. Czyż miałem zresztą inny wybór? Pozostawiło to jednak ranę, która wciąż jeszcze odczuwam w takie dni, jak dzisiejszy. Ostatecznie nie skróciłem przecież żywotności słońca o dwa i pół miliona lat wyłącznie po to, aby płacić za czyjeś drinki. Czy to sprawiedliwe?

Od tamtej pory nie widziałem już Mordehaja. Od kogoś słyszałem, że opuścił miasto, zamieszkał na jednej z wysp Mózr Południowych i żyje wyłącznie z tego, co wyrzuci na brzeg morze.

Podejrzewam, że nie opływa w ten sposób w jakieś szczególne dostatki. Z drugiej strony jestem jednak zupełnie pewny, że jeżeli jest na brzegu i chce, aby pojawiła się fala, to natychmiast jego życzeniu staje się zadość.

Rachunek przyniesiony przez uśmiechniętego drwiąco kelnera jeszcze w trakcie opowieści George'a, wciąż spoczywał pomiędzy nami na stole. George ignorował go z podziwu godnym mistrzostwem, jakie zawsze zresztą przejawiał w tego typu sytuacjach.

–George – zapytałem – nie myślisz prosić chyba Azazela, aby zrobił cokolwiek dla mnie?

–Raczej nie – odparł. – Wiesz, stary druhu, na nieszczęście nie jesteś typem człowieka, o którym myślałoby się w połączeniu z dobrymi uczynkami.

–Więc nie zrobisz dla mnie niczego?

–Ani mi się śni,

–To dobrze powiedziałem uspokojony. – W takim razie zapłacę rachunek.

–Przynajmniej to możesz zrobić – przyznał George.

ŚMIAŁO PRZEZ ŚNIEGI

George i ja siedzieliśmy przy oknie w La Bohemę, francuskiej restauracji, której George od czasu do czasu patronował, oczywiście na mój koszt. W pewnej chwili, wyjrawszy przez okno powiedziałem:

–Zanosi się na śnieżycę.

Nie była to szczególnie odkrywczą uwaga. Dzień od rana był ciemny i pochmurny, temperatura wahała się w okolicach dziewięciu stopni, a synoptycy zapowiadali śnieg. Niemniej jednak zabolął mnie fakt, iż George całkowicie zignorował moje słowa.

–Weźmy pod uwagę mojego przyjaciela Septimusa Johnsona – powiedział.

–Dlaczego? – zapytałem. – Co on ma wspólnego z tym, że zanoszą się na śnieg?

–Naturalna progresja myśli – odparł ostro George. – Jest to proces, o którym musiałeś słyszeć od innych, nawet jeżeli nigdy nie doświadczyłeś go samemu.

Mój przyjaciel Septimus (powiedział George) był srogim młodym mężczyzną, o twarzy bezustannie zmarszczonej w gniewnym grymasie i o rozdętych nadmiernie bicepsach. Był siódmym dzieckiem w rodzinie, stąd jego imię. Miał jeszcze młodszego brata o imieniu Oktawiusz i młodszą siostrę o imieniu Nina.

Nie wiem, jak daleko zaszła ta progresja ale wydaje mi się, że to właśnie te dość tłoczne lata jego dzieciństwa sprawiły, iż w latach późniejszych stał się ogromnym wprost miłośnikiem ciszy i odosobnienia.

Po osiągnięciu wieku dojrzałego i sukcesie, jakim było opublikowanie kilku książek (jak ty, stary druhu, tyle że o jego książkach krytycy mówili raczej pochlebne rzeczy) stwierdził, że posiada wystarczający zasób pieniędzy, aby oddać się swoim perwersjom w pełni. Mówiąc pokrótce kupił stojący na uboczu dom, gdzieś w zapomnianym zakątku stanu Nowy Jork, i przeniósł się tam na krótsze bądź dłuższe okresy, aby pisać dalsze książki. Dom ów nie znajdował się w jakimś straszliwym oddaleniu od cywilizacji, lecz jak daleko mogłeś sięgnąć okiem, otaczała go pustka.

Sądzę, że byłem jedyną osobą, którą z własnej nieprzymuszonej woli zapraszał by dzieliła z nim pobyt w jego ustroniu. Bez wątpienia pociągała go moja pełna spokojnej godności postawa oraz fascynujący różnorodność naszych konwersacji. Co prawda nie wyraził tego nigdy takimi właśnie słowami, ale wręcz trudno sobie nawet wyobrazić, aby chodziło o coś innego.

Oczywiście należało postępować z nim bardzo ostrożnie. Każdy, kto choć raz doświadczył przyjacielskiego klepnięcia w plecy, co jest ulubioną formą powitania Septimusa, wie, co to poprzestawiane kręgi. Jednakże jego nieobliczalne stosowanie siły fizycznej wyjątkowo przydało się podczas naszego pierwszego spotkania.

Pewnego razu opadło mnie bowiem z tuzin lub więcej opryszków, którzy zmyleni moim dostojnym wyglądem i niesioną paczką błędnie założyli, że mam przy sobie znaczną sumę w gotówce i kosztownościach. Ja zaś nie miałem tego dnia nawet pensa, wiedziałem zaś, że przekonawszy się o tym moi napastnicy w przystępie naturalnego rozczarowania bez wątpienia dadzą upust swoim barbarzyńskim

instynktom.

Wtedy właśnie pojawił się Septimus, zatopiony w myślach nad czymś, co właśnie pisał. Horda opryszków znajdowała się na jego drodze, a ponieważ on był zbyt zamyślony, żeby iść inaczej jak tylko w linii prostej, w roztargnieniu porozrzucił ich po dwóch lub trzech w obie strony okolicy. Tak się złożyło, że kiedy dotarł do mnie, rozciągniętego na samym spodzie sterty ciał, doznał niespodziewanego olśnienia i ujrzał rozwiązanie swojego literackiego dylematu, na czymkolwiek polegał. Uważając mnie za sprawcę tego szczęśliwego trafu zaprosił mnie na obiad. Ja zaś, uważając obiad na koszt kogoś innego za traf bodaj szczęśliwszy, bez wahania przyjąłem zaproszenie.

Nim posiłek dobiegł końca, zapanowałem już nad nim tak bardzo, że zaprosił mnie do swego wiejskiego domku. Zaproszenia takie często ponawiał, bowiem – jak sam to kiedyś powiedział – przebywanie ze mną było tak bliskie samotności, jak to tylko możliwe. Ja zaś, wiedząc jak bardzo kochał samotność, uważałem te słowa za olbrzymi komplement.

Początkowo spodziewałem się jakiejś nędznej rudery, ale rychło okazało się, że byłem w błędzie. Książki Septimusa najwyraźniej cieszyły się sporym wzięciem i dzięki temu nie musiał oglądać się na koszty. (Wiem, że mówić w twojej obecności o książkach, które odniosły sukces jest pewnym nietaktem, mój drogi, ale jak wiesz zawsze trzymam się faktów.)

Tak więc dom ten, chociaż położony na odludziu przyprawiającym mnie o gęsią skórę, był w pełni zelektryfikowany, z generatorem na naftę w piwnicy i bateriami słonecznymi na dachu. Jadaliśmy wyśmienicie i pod ręką mieliśmy doskonałą piwniczkę z winami. Żyliśmy w pełnym luksusie, a więc w czymś, do czego zważywszy mój brak praktyki adoptuję się ze zdumiewającą wręcz łatwością.

Nie można było jednakże uniknąć wyglądania przez okna, a kompletny brak jakiegokolwiek scenerii okazał się niezwykle przytłaczający. Co prawda były tam, o ile w tym gustujesz, wzgórza i pola, niewielkie jeziorko oraz niewiarygodna różnorodność żółto-zielonej roślinności, ale ani śladu ludzkiej sadyby, autostrady czy czegokolwiek innego wartego oglądania – może za wyjątkiem rzędu słupów telefonicznych.

Pewnego razu, po dobrym obiedzie zakropionym jeszcze lepszym winem, Septimus powiedział wylewnie:

–George, jest dla mnie prawdziwą przyjemnością gościć cię tutaj. Po wysłuchaniu tego, co masz do powiedzenia zasiadam do komputera z taką ulgą, iż moje dzieła znacznie zyskują przez to na wartości. Przyjeżdżaj, kiedy tylko zechcesz. Tutaj – ruchem dłoni objął całe pomieszczenie – znajdziesz ucieczkę od wszelkich trosk i

niedogodności, jakie mogą cię prześladować. A kiedy pracuję nad kolejną powieścią, masz wolny dostęp do moich książek, telewizora, lodówki i – już się z nią zapoznałeś, jak sądzę – do piwniczki z winem.

Ponieważ dał mi wolną rękę, korzystałem z jego gościnności w całej pełni. Narysowałem sobie nawet niewielką mapkę, na której naniósłem wyraźne X, oznaczające lokalizację piwniczki z winem oraz kilka oddzielnych tras, umożliwiających mi dotarcie tam z każdego miejsca w domu.

–Muszę cię jednakże uprzedzić – powiedział Septimus – że to moje miejsce ucieczki przed nieszczęściami świata zewnętrzno zamknięte jest od 1 grudnia do 31 marca. W tym okresie nie będę ci mógł zaoferować gościny.

Muszę przyznać, że był to dla mnie spory zawód. Zima nie należy do moich najulubieńszych pór roku. Ostatecznie, mój drogi przyjacielu, w tym to właśnie okresie moi wierzyciele stają się najbardziej natrętni. Ci zachłanni ludzie są – o czym wszyscy wiedzą – wystarczająco bogaci by móc zignorować tych kilka nędznych pensów, które jestem im być może winien, ale wydają się czerpać dziwną rozkosz na myśl, iż mogą zostać wyrzucony na śnieg.

Inspiruje ich ona do nowych napadów wilczej chciwości, więc takie miejsce zimowego odosobnienia byłoby dla mnie czymś bardzo pożądanym.

–Dlaczego właściwie nie wykorzystujesz tego domku zimą, Septimusię? – zapytałem. – Przy wtórze trzaskającego ognia w twym wspaniałym kominku, mądrze współpracującego z twoim równie wspaniałym systemem centralnego ogrzewania, mógłbyś śmiać się nawet z mrozów całej Arktyki.

–Istotnie mógłbym – przyznał Septimus – ale wydaje się, że każdej zimy wszystkie wyjące demony zawiei i zamieci śnieżnych zbiegają się w to właśnie miejsce, aby pokryć mój prywatny raj nieprzejezdną warstwą śniegu. Wtedy dom, zagubiony w samotności, którą tak bardzo uwielbiam, jest całkowicie odcięty od świata.

–To świat jest odcięty od ciebie – zauważyłem.

–Masz absolutną rację – zgodził się Septimus. – Lecz moje wszystkie dostawy i zapasy pochodzą z zewnątrz – jedzenie, picie, paliwo, pranie. To upokarzające, lecz zarazem prawdziwe, ale nie mogę tu przetrwać bez pomocy świata zewnętrznego – a przynajmniej ja nie mógłbym prowadzić takiego rodzaju sybaryckiego życia, jakie każda przyzwoita istota ludzka chciałaby prowadzić.

–Wiesz, Septimusię – powiedziałem – być może będę w stanie wymyślić jakiś sposób, aby tego uniknąć.

–Myśl do woli – odparł – ale wątpię, byś wymyślił coś sensownego. Niemniej jednak

dom ten jest twój przez osiem miesięcy w roku, a przynajmniej zawsze wtedy, kiedy ja tu jestem podczas tych ośmiu miesięcy.

Była to prawda, ale jak rozsądny człowiek mógłby osiadać gdzieś na osiem miesięcy, kiedy istnieje ich dwanaście? Jeszcze tego samego wieczora wezwałem Azazela

Nie sądzę, byś wiedział cokolwiek o Azazelu. Jest demonem, magiczną istotą dwucentymetrowej wielkości obdarzoną niezwykłą mocą, którą tutaj popisuje się niezwykle chętnie, ponieważ w swym własnym świecie, gdziekolwiek może się on znajdować, nie cieszy się nadmiernym poważaniem. Wskutek tego...

Och, słyszałeś już o nim? Doprawdy, stary druhu, jak mogę opowiedzieć ci tę historię w jakiś rozsądny sposób, jeżeli czujesz się powołany do bezustannego wtrącania własnych uwag? Czyż nie zdajesz sobie sprawy, że sztuka prawdziwego rozmówcy polega na uważnym słuchaniu i powstrzymaniu się przed przerywaniem pod takimi zwodniczymi wymówkami, jak ta na przykład, że słyszał o tym wcześniej? A przynajmniej...

Azazel był, jak zwykle, wściekły z powodu mojego wezwania. Najwyraźniej znajdował się w trakcie czegoś, co nazywał uroczystym obrzędem religijnym. Z trudem powstrzymałem wybuch złości. Kiedy go przywołuję, zawsze wydaje się być uwikłany w coś, co uważa za ważne i nigdy mu nie przychodzi do głowy, że to, z czym się do niego zwracam, jest akurat ważniejsze.

Odczekałem cierpliwie do końca jego bełkotliwej przemowy, po czym spokojnie wyjaśniłem zaistniałą sytuację. Wysłuchał mnie z naburmuszoną miną, a potem zapytał:

–Co to takiego śnieg? Westchnąłem i wyjaśniłem.

–Chcesz przez to powiedzieć, że u was z nieba spada zestalona woda? Kawałki zestalonej wody? I życie jest w stanie to przetrwać?

Nie zwracając sobie głowy opowiadaniem mu o gradzie odparłem:

–Woda ta spada w postaci miękkich, puszystych płatków, o Przepotęźny (zawsze schlebiało mu nazywanie go głupimi imionami). Lecz jest to kłopotliwe, jeżeli pada w nadmiarze.

–Jeżeli chcesz mnie poprosić o zmianę warunków klimatycznych na tym świecie – powiedział Azazel – to będę zmuszony stanowczo temu odmówić Oznaczałoby to manipulowanie całą planetą, co jest przeciwne etyce mojego wysoce etycznego ludu. A ja nie mani najmniejszego zamiaru postępować nieetycznie, nie wspominając już o tym, że gdyby mnie na tym przyłapano, stałbym się pokarmem dla straszliwego

Lamella Birda, niezwykle plugawej kreatury o okropnych zwyczajach przy stole. Nawet nie będę ci opowiadał, czym by mnie przyprawił do smaku,

–Ależ nawet mi się nie śni prosić cię o manipulowanie całą planetą, o Wspaniały. Chciałbym prosić cię o coś o wiele prostszego. Widzisz, padający śnieg jest tak miękki i puszysty, że nie jest w stanie utrzymać ciężaru człowieka.

–To wasza wina, że jesteście tacy masywni – stwierdził szyderczo Azazel.

–Bez wątpienia – odparłem – ale masa ta sprawia, że chodzenie po śniegu jest niezwykle utrudnione. Chciałbym, abyś sprawił, żeby mój przyjaciel ważył o wiele mniej, kiedy będzie chodził po śniegu,

Z wielkim trudem usiłowałem skupić uwagę Azazela albowiem w denerwujący sposób bez przerwy powtarzał:

–Zestaloną wodą...- wszędzie – pokrywająca lądy – i kręcił przy tym głową, zupełnie jakby nie mógł tego pojąć.

–Czy potrafisz sprawić, aby mój przyjaciel ważył mniej? – powtórzyłem, starając się skierować rozmowę na interesujący mnie temat.

–Oczywiście – obruszył się. – Wszystko, co należy zrobić, to po prostu zastosować zasadę antygravitacji, aktywowaną w odpowiednich warunkach cząstkami wody. To niełatwe, ale da się zrobić.

–Poczekaj chwilę – przerwałem mu pełen niepokoju. Pomyślałem o niebezpieczeństwie nieelastyczności, – Chyba dobrze by było, aby możliwość regulowania stopnia tej antygravitacji znajdowała się pod kontrolą mojego przyjaciela. Nie wątpię, że przy pewnych okazjach wolałby poruszać się normalnie.

–Dopasować ją do waszego prymitywnego systemu autonomicznego? Jeszcze czego! Nie znasz żadnej miary w swoich bezczelnościach.

–Proszę o to wyłącznie ciebie – odparłem. – Nie byłbym na tyle głupi, aby z podobną prośbą zwracać się do kogokolwiek innego z twojego gatunku.

Ta dyplomatyczna nieprawda osiągnęła swój zamierzony efekt. Azazel wypiął pierś na pełne dwa milimetry i dostojnym piśnięciem oznajmił:

–Zostanie zrobione.

Zakładałem, że Septimus posiadał już tę umiejętność, nie byłem jednak tego pewny. Trwał jeszcze sierpień, więc brakowało śniegu, na którym można by poeksperymentować – a poza tym nie znajdowałem się w nastroju, który w

poszukiwaniu odpowiedniego materiału podpowiadałby krótką wycieczkę do Antarktyki, Patagonii czy nawet Grenlandii.

Nie widziałem także większego sensu w wyjaśnianiu tego Septimusowi bez praktycznej demonstracji na śniegu. Z pewnością by mi nie uwierzył, a mógłby dojść nawet do śmiesznego wniosku, że ja – ja – jestem pijany.

Los był jednak dla mnie łaskawy. Pod koniec listopada znajdowałem się w wiejskim domku Septimusa, gdzie spędzaliśmy razem coś, co nazywał ostatnim pobytem sezonu, gdy nieoczekiwanie wystąpiły opady śniegu – w dodatku niezwykle obfite, jak na tę porę roku.

Septimus rozzłościł się nie na żarty i wypowiedział wszechświatowi wojnę za to, iż ten nie oszczędził mu owej ostatecznej zniewagi.

Dla mnie był to jednak błogosławiony dar niebios – dla niego także, chociaż on jeszcze o tym nie wiedział.

–Nie obawiaj się, Septimusię – powiedziałem. – Nadszedł czas, abys się przekonał, że nie musisz już bać się śniegu – po czym w prostych szczegółach wyjaśniałem mu całą sprawę.

Zakładałem oczywiście, że jego pierwszą reakcją będzie bezkrytyczna niewiara, on zaś dodatkowo poczynił kilka zupełnie niepotrzebnych aluzji co do stanu mojego umysłu.

Ja miałem jednakże miesiące na wypracowanie odpowiedniej strategii.

–Z pewnością nie raz zastanawiałeś się, Septimusię – przystąpiłem do wyjaśnień – w jaki właściwie sposób zarabiam na życie. Nie będziesz zaskoczony moją małomównością gdy ci powiem, że jestem kluczową postacią w rządowym programie badawczym nad zjawiskami antygravitacji. Nie mogę powiedzieć już niczego więcej, być może za wyjątkiem tego, iż ty właśnie jestem obiektem niezwykle ważnego eksperymentu, który ma za zadanie posunąć nasz program o milowy krok do przodu. Ma to ogromne znaczenie dla sprawy bezpieczeństwa narodowego.

Gdy zagwizdałem pod nosem kilka taktów "Gwiazdzistego Sztandaru", jego oczy rozszerzyły się w zdumieniu.

–Mówisz poważnie? – zapytał.

–Czyż wykręcałbym się prawdą? – odpowiedziałem pytaniem i ryzykując naturalną replikę dodałem: – Czyż tak postępowałyby CIA?

Przełknął to, pokonany aurą prawdomówności, która towarzyszy wszystkim moim

twierdzeniom.

–Co mam robić?

–Na ziemi jest zaledwie sześć cali śniegu – odparłem.

–Wyobraź sobie, że nic nie ważysz i wyjdź na zewnątrz.

–Mam to sobie po prostu wyobrazić?

–W taki sposób to właśnie działa.

–Ależ przemoczę nogi.

–A więc załóż wysokie buty – doradziłem mu z sarkazmem w głosie.

Zawahał się na chwilę, po czym wyjął buty i z wysiłkiem naciągnął je na nogi. Tak jawny przejaw braku wiary w moje słowa uraził mnie głęboko. W dodatku nałożył jeszcze podbite futrem palto i jeszcze cieplejszą czapkę.

–Jeżeli jesteś już gotowy... – powiedziałem zimno.

–Jeszcze nie – przerwał.

Otworzyłem drzwi i wyszedł na zewnątrz. Pod zadaszeniem werandy nie było śniegu, ale gdy tylko postawił stopy na schodkach, te wydawały się spod niego wyslizgiwać. W desperackim uścisku objął balustradkę ramionami.

W jakiś sposób dotarł wreszcie do końca schodków, a potem silnym pchnięciem spróbował się wyprostować. Podziałało, chociaż nie w sposób, jakiego oczekiwał. Machając chaotycznie ramionami zaczął ześlizgiwać się w dół. Przebył w ten sposób ładnych kilka metrów, gdy nagle jego stopy uniosły się powietrze. Runął na plecy i w dalszym ciągu sunął w dół, dopóki nie pochwycił się kurczowo mijanego właśnie młodego drzewka. Okręcił się wokół pnia trzy lub cztery razy i wreszcie zatrzymał.

–Co to za piekielnie śliski śnieg? – zawołał drżącym z oburzenia głosem.

Muszę przyznać, że pomimo mojej wiary w Azazela obserwowałem to wszystko w prawdziwym zdumieniu. Septimus nie pozostawił za sobą żadnych odcisków stóp, a jego zsuwające się w dół ciało nie wyryło w śniegu żadnej koleiny.

–Na śniegu nic nie ważysz – powiedziałem wreszcie.

–Wariat – skwitował krótko.

–Spójrz tylko na śnieg. Nie zostawiłeś żadnych śladów.

Spojrzał, po czym poczynił kilka tego rodzaju uwag, które jeszcze nie tak dawno uważano za niemożliwe do przytoczenia.

–A przecież tarcie – kontynuowałem – zależy po części od nacisku ślizgającego się ciała na powierzchnię, po której się ślizga. Im mniejszy nacisk, tym mniejsze tarcie. Ponieważ nic nie ważysz, twój nacisk na śnieg wynosi zero, tarcie jest również zerowe, stąd ślizgasz się po śniegu jak po najładszym lodzie.

–W takim razie co mam robić? Przecież nie będę mógł chodzić jeśli moje nogi co rusz będą rozjeżdżały się w przeciwne strony.

–Ale to nie boli, prawda? Jeżeli nic nie ważysz i wylądujesz na plecach, to nawet tego nie poczujesz.

–Co z tego. Brak potłuczeń nie jest dostateczną rekompensatą za konieczność spędzenia reszty życia plecami na śniegu.

–Dalejże, Septimucie. Pomyśl, że ponownie jesteś ciężki i wstań.

Wykrzywił się do mnie w swój zwykły sposób i powiedział:

–Po prostu sobie pomyśleć, tak?

Zrobił to jednak i w końcu niezdarnie dźwignął się na nogi. Jego stopy pograżyły się w śniegu na jakiś cal, a kiedy ostrożnie postąpił kilka kroków do przodu, nie miał większych trudności, niż ma się zazwyczaj w tego typu sytuacjach.

–Jak ty to robisz, George? – zapytał z respektem o wiele większym niż zazwyczaj udawało mi się wywoływać. – Nawet nie przypuszczałem, że jesteś tak wielkim naukowcem.

–CIA nalega, abym nie ujawniał swoich naukowych tajemnic – wyjaśniłem. – A teraz wyobraź sobie, że stajesz się lżejszy i lżejszy, idąc w dalszym ciągu do przodu. Twój ślad będzie coraz płytszy, za to śnieg będzie stawał się coraz bardziej śliski. Zatrzymaj się kiedy poczujesz, że jest za bardzo śliski.

Zrobił, jak mu powiedziałem ponieważ my, naukowcy, posiadamy silną intelektualną władzę nad pośledniejszymi śmiertelnikami.

–A teraz – poleciłem – spróbuj się trochę poślizgać. Kiedy będziesz chciał się zatrzymać, stań się po prostu cięższy – ale rób to stopniowo, bo inaczej skończysz z nosem w śniegu.

Jako typowy atleta, w lot pojawił w czym rzecz. Kiedyś powiedział mi, że może uprawiać wszystkie sporty za wyjątkiem pływania. Gdy miał trzy latka, jego ojciec

wepchnął go do wody próbując nauczyć w ten sposób pływania, lecz ponieważ zapomniał o uprzedniejszych instrukcjach, w rezultacie małego Septimusa poddano dziesięciominutowemu zabiegowi reanimacyjnemu metodą usta-usta. Do końca pozostawiło to u niego strach przed wodą i równą awersję do śniegu. "Śnieg jest jedynie zestaloną wodą" – powiedział, tak jak uprzednio Azazel.

Jednakże w nowych warunkach jego awersja do śniegu wyraźnie zbladła. Zaczął ślizgać się z rozdzierającym uszy: "Hopla!" i od czasu do czasu stawał się na zakrętach cięższy, co pozwalało wyrzucać mu spod stóp fontanny śniegu. W końcu zatrzymał się.

–Poczekaj! – wrzasnął i zniknął w domu, skąd po chwili wyłonił się – możesz w to wierzyć, lub nie – z przymocowanymi do butów łyżwami.

–Nauczyłem się jeździć na łyżwach na moim jeziorze – wyjaśnił schodząc ostrożnie po stopniach – ale tak naprawdę to nigdy nie czerpałem z tego przyjemności. Zawsze obawiałem się, że lód może się załamać. Teraz bez żadnego niebezpieczeństwa mogę jeździć na łyżwach po ziemi.

–Tylko pamiętaj – powiedziałem z lekkim niepokojem – że to działa tylko pod molekułami H₂O. Jeżeli wejdiesz na gołą ziemię, bądź odkryty fragment chodnika, twoja waga natychmiast powróci i możesz się solidnie potłuc.

–Nie martw się – odparł gotowy do jazdy. Obserwowałem, jak mknie przez co najmniej pół mili ponad zamrożonymi nieużytkami, a do moich uszu dobiegał cichnący w oddali ryk: "Śmiało przez śniegi / jednokonnymi saniami..."

Septimus, musisz zrozumieć, zgadywał wysokość każdej nuty i za każdym razem zgadywał źle. Zatkalem uszy dłońmi.

To, co nastąpiło potem, szczerze wierzę że było najszczęśliwszą zimą w moim życiu. Cały ten okres spędziłem w ciepłym zaciszu czterech ścian, jedząc i pijąc jak król, czytując wzbogacające duszę książki, w których próbowałem odgadnąć zamysły autora i zidentyfikować mordercę jako pierwszy, a także rozmyślając z ponurą satysfakcją o gniewie i frustracji moich kredytodawców w mieście. Przez okno obserwowałem często Septimusa, który oddawał się bezustannej ślizgawce na śniegu. Mawiał, że czuje się wtedy jak ptak, co daje mu trójwymiarową rozkosz, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczał. No cóż, każdy ma swojego bzika.

Ostrzegłem go jednak, że nie może pozwolić, aby go ktokolwiek zobaczył.

–Naraziłoby mnie to na poważne nieprzyjemności – powiedziałem. – Ponieważ CIA nie aprobuje moich prywatnych eksperymentów – ale nie dbam o moje osobiste bezpieczeństwo, ponieważ dla takiej osoby jak ja, nauka jest ponad wszystko. Jednakże gdyby ktokolwiek zobaczył, jak ślizgasz się po powierzchni śniegu,

natychmiast stałbyś się obiektem powszechnej ciekawości i opadłby cię rój reporterów. Dotarłoby to do uszu tych z CIA i dalsze eksperymenty musiałbyś prowadzić w obecności naukowców i wojskowych, wścibiających wszędzie swoje trzy grosze. Już nigdy nie zostałbyś sam choćby na minutę. Stałbyś się narodową sławą i przez cały czas byłbyś otoczony tysiącami interesujących się tobą ludzi.

Septimus zadrżał silnie na myśl o tak ponurej perspektywie, co zresztą zgodne było z moimi oczekiwaniami. Mówiłem ci przecież jaką estymą otaczał samotność. Potem powiedział:

–No dobrze, ale jak zdobędę zapasy, kiedy mnie zasypie? Przecież to właśnie było celem tego eksperymentu,

–Jestem pewien, że ciężarówki prawie zawsze będą w stanie do ciebie dotrzeć – odparłem – zatem zgromadzisz wystarczającą ilość produktów by przetrwać okresy, w których nie będą mogły dojechać. A jeżeli rzeczywiście będziesz wtedy czegoś potrzebował, to upewniając się, że nikt cię przy tym nie widzi podejdź po śniegu do miasta tak blisko, jak tylko to możliwe – a zresztą w takich okresach na otwartej przestrzeni z pewnością nie będzie dużo ludzi, prawdopodobnie nawet nikogo – potem przywróć swoją wagę i resztę drogi do miasta pokonaj brnąc ciężko w zaspach i sprawiaj wrażenie zmęczonego. Kup to, co potrzebujesz, oddal się o jakiś kilometr od miasta i ponownie zmniejsz wagę. Rozumiesz?

Na szczęście podczas tej zimy nie trzeba było podejmować tego rodzaju wypraw. Przez cały czas wiedziałem, że Septimus przesadza z niebezpieczeństwem zasypania. Nikt także nie zauważył, jak ślizgał się beztrąsko po śniegu.

Septimus bowiem nigdy nie miał dosyć. Powinieneś widzieć jego twarz, kiedy śnieg choćby na chwilę przestawał się utrzymywać lub temperatura wzrastała powyżej zamarzania. Nie mógłbyś sobie nawet wyobrazić, jak bardzo obawiał się wtedy o bezpieczeństwo pokrywy śniegu.

Cóż za cudowna zima! I cóż za tragedia, że była taka jedna jedyna!

Co się stało? Powiem ci, co się stało. Pamiętasz, co powiedział Romeo zanim pchnął Julię nożem? Prawdopodobnie nie pamiętasz, więc ci przypomnę. Powiedział: "Pozwól kobiecie wkroczyć w swe życie, a twój spokój przeminie,"

Następnej jesieni Septimus spotkał kobietę Mercedes Gumm. Spotykał już kobiety wcześniej; nie był anachoretą, lecz nigdy nie znaczyły one dla niego dużo. Krótki okres socjalizacji, romans,; żarliwe uniesienie, a potem on zapomniał o nich, a one o nim. Żadnej krzywdy dla nikogo. Ostatecznie, ja sam bywałem dziko ścigany przez wiele młodych kobiet i nie; widziałem w tym żadnego nieszczęścia, nawet wtedy, gdy przypierały mnie do muru i zmuszały do... ale to dygresja; odbiegam od dalszego

ciągu historii.

Pewnego razu Septimus pojawił się u mnie w nastroju pełnym przygnębienia.

– Kocham ją, George – wyznał. – Doprowadza mnie do szaleństwa. Jest prawdziwym magnesem mojej egzystencji.

– Bardzo ładnie – odrzekłem. – Masz więc moje pozwolenie na wychodzenie z nią co jakiś czas.

– Dziękuję, George – odparł ponuro Septimus. – Ale potrzebuję jeszcze jej: aprobaty. Nie wiem dlaczego tak się dzieje, ale ona nie wydaje się mnie specjalnie lubić.

Dziwne – stwierdziłem. – Przecież zazwyczaj nie miewasz kłopotów z kobietami. Jesteś ostatecznie bogaty, muskularny i nie brzydszy niż reszta.

Sądzę, że chodzi właśnie o tę muskularność – powiedział Septimus. – Uważa mnie za durnia.

Nie sposób było odmówić pannie Gumm zmysłu spostrzegawczości. Septimus bowiem, ujmując to tak delikatnie, jak tylko można, był durniem. Pomyślałem jednakże, wspominając jego prężące się pod rękami marynarki mięśnie, że najmądrzej będzie, jeśli zachowam to dla siebie.

– Powiedziała – ciągnął tymczasem Septimus – że nie podziwia mężczyzn dla ich siły fizycznej. Pragnie kogoś troskliwego, w typie intelektualisty, głęboko racjonalnego, filozoficznego – wymieniła cały zestaw podobnych określeń. Powiedziała, że we mnie nie ma nic z tych rzeczy.

– Czy powiedziałaś jej, że jesteś pisarzem?

– Oczywiście, że powiedziałem. Przeczytała także kilka moich książek. Ale sam wiesz, George, że w większości traktują o graczach w football, więc uznała je za odrażające.

– Zakładam więc, że sama nie jest typem atletki.

– Z pewnością nie. Pływa – i swoim zwyczajem wykrzywił twarz w ponurym grymasie, wspominając zapewne operację ratunkową metodą usta-usta, jakiej poddany został w bardzo niedojrzałym wieku lat trzech. – Ale to niewiele pomaga.

– W takim razie – postanowiłem go pocieszyć – zapomnij o niej, Septimusi. Kobiety są łatwe do zdobycia. Jedna odchodzi, druga przychodzi. Jest wiele ryb w oceanach i ptaków na niebie. A w ciemności wszystkie koty są szare. Ta kobieta czy inna, to naprawdę nie sprawia większej różnicy.

Mógłbym tak ciągnąć bez końca, on jednak słuchając tego stawał się dziwnie niecierpliwy, a durnia raczej nie należy niecierpliwić.

–George – powiedział – uraziłeś mnie głęboko tymi stwierdzeniami. Mercedes jest dla mnie jedyną dziewczyną na świecie. Nie mógłbym bez niej żyć. Jest nierozzerwalnie złączona z samym rdzeniem mego istnienia. Jest oddechem moich płuc, biciem mego serca, wizją moich oczu. Jest...

I ciągnął tak bez końca, w najmniejszym bodaj stopniu nie przejmując się, iż głęboko obraża tymi twierdzeniami mnie.

–Tak więc nie widzę innego rozwiązania, jak nalegać na małżeństwo – zakończył.

Słowa te zabrzmiały jak prawdziwe trąby Sądu Ostatecznego. Doskonale wiedziałem, jaki będzie tego rezultat. Gdy tylko się pobiorą, nastąpi koniec mojego raj. Nie wiem dlaczego tak się dzieje, ale jeżeli istnieje jakaś rzecz, przy której młode żony niezmiennie się upierają, to jest nią imperatyw, by przyjaciele pana młodego natychmiast opuścili jego dom. Wiedziałem, że nigdy już nie zostanę zaproszony do domku Septimusa.

–Nie możesz tego zrobić – powiedziałem zaalarmowany.

–Och, przyznaję, że wygląda to na ciężką sprawę, ale sądzę, iż uda mi się dopiąć swego. Obmyśliłem już pewien plan. Mercedes może i uważa mnie za durnia, ale przecież nie jestem zupełnie pozbawiony inteligencji. Z początkiem zimy zaproszę ją do mojego domku. Tutaj, w ciszy i spokoju mego prywatnego Edenu, poczuje się rozluźniona i ujrzy wreszcie prawdziwe piękno mej duszy.

Pomyślałem, że spodziewanie się czegoś podobnego nawet po Edenie jest przejawem stanowczo zbyt wielkiego optymizmu, lecz głośno zapytałem jedynie:

–Nie zamierzasz jej chyba pokazywać, jak ślizgasz się po lodzie, prawda?

–Och, nie – zaprzeczył. – A przynajmniej dopóki nie zostanie moją żoną.

–Nawet wtedy...

–Nonsens, George – powiedział surowo Septimus. – Żona jest drugą połową męża. Żonie można powierzyć najskrytsze skarby i sekrety duszy. Żona...

Jeszcze długo głądził w tym stylu, mnie zaś udało się wtrącić jedynie nieśmiało:

–CIA się to nie spodoba.

Jego krótki komentarz na temat CIA był typu tych, z którym Rosjanie zgodziliby się

ochoczo i całym sercem. Ci z Kuby z Nikaragui także.

–Jakoś ją przekonam, aby przyjechała tu ze mną na początku grudnia – powiedział.
– Ufam, że zrozumiesz, George, ale chcemy być w tym czasie tylko we dwoje. Wiem, że z pewnością nie chciałbyś mieszać się w romantyczne możliwości, jakie w ciszy i spokoju natury mogłyby pomiędzy nami narosnąć. Bez wątpienia pociągnie nas ku sobie magnetyzm ciszy i spowolnionego czasu.

Rozpoznałem ten cytat, oczywiście. Słowa te wypowiedział Makbet zanim pchnął nożem Duncana, ale ja po prostu wpatrywałem się w Septimusa chłodno i z wyrzutem w oczach. Tak więc w miesiąc później panna Gumm pojechała do domku Septimusa, a ja pozostałem w mieście.

Nie byłem świadkiem tego, co się tam wtedy zdarzyło. Wiem jedynie to, co opowiedział mi Septimus, więc nie mogę ręczyć za szczegóły.

Panna Gumm rzeczywiście była pływaczką, ale Septimus, czując niewymowną awersję do tego akurat hobby, nie zadawał jej na ten temat żadnych pytań. A i panna Gumm najwyraźniej nie odczuwała potrzeby silenia się na podanie ślepo w nią wpatrzonemu głupkowi bliższych szczegółów. Stąd też Septimus nie podejrzewał nawet, że panna Gumm jest jedną z tych szalonych kobiet, które w środku zimy ochoczo wskakują w strój kąpielowy i rozbijając lód na jeziorze oddają się zdrowemu, orzeźwiającemu pluskaniu w lodowatej wodzie.

Tak więc pewnego jasnego i mroźnego poranka, podczas gdy Septimus wciąż jeszcze pochrapywał w błogim śnie, panna Gumm wstała, nałożyła strój kąpielowy, na to narzuciła podbite aksamitem futro i wsunąwszy stopy w buty na gumowej podeszwie ruszyła pokrytą śniegiem ścieżką w stronę jeziora. Brzegi skute były lodem, lecz środek pozostał nie zamrznięty. Panna Gumm zdjęła więc futro oraz buty i rzuciła się w lodowatą toń z czymś, co musiało być objawem najwyższej uciechy.

Septimus obudził się w chwilę potem i wiedziony nieomylnym instynktem kochanka uświadomił sobie, że jego umiłowanej Mercedes nie ma w domu. Wstał i wykrzykując jej imię wyruszył na poszukiwania. Znalazłszy w zajmowanej przez nią sypialni jej rzeczy odetchnął z ulgą, nie uciekła bowiem sekretnie do miasta, co było jego pierwszą, przerażającą myślą. Musiała więc znajdować się gdzieś na zewnątrz.

Pośpiesznie wsunął na bosc stopy buty i narzuciwszy na pidżamę swe najgrubsze futro wybiegł przed dom, wciąż wykrzykując jej imię.

Panna Gumm usłyszała go, oczywiście. Gwałtownie pomachała w jego stronę ramionami i krzyknęła:

–Tutaj, Sęp. Jestem w jeziorze.

To, co nastąpiło potem, opowiem słowami Septimusa. Powiedział:

–Dla mnie zabrzmiało to jak "Tutaj, ratunku, tonę w jeziorze!" Doszedłem więc do naturalnego wniosku, że moja ukochana w przypiływie szaleństwa weszła na lód i wpadła do wody. Bo i czyż mogło mi przyjść do głowy, że ktokolwiek mógłby pływać w taki ziąb z własnej woli?

Tak wielka była moja miłość ku niej, że natychmiast postanowiłem stawić czoła wodzie, której zazwyczaj tchórzliwie się obawiam – szczególnie lodowato zimnej wody – i za wszelką cenę ją uratować. No cóż, może nie natychmiast, ale mówię szczerze, że podjęcie takiego postanowienia nie zajęło mi dłużej, jak dwie, trzy minuty. Krzyknąłem więc: "Już idę, moja ukochana. Trzymaj głowę nad wodą, najdroższa!" i wystartowałem. Nie zamierzałem jednak iść po śniegu. Czułem, że nie mam na to czasu. Zmniejszyłem swoją wagę i pobiegłem poprzez płytki śnieg w stronę jeziora, wspaniałym ślizgiem przemknąłem przez oblodzony brzeg i z donośnym pluskiem wylądowałem w wodzie.

Jak zapewne wiesz, nie umiem pływać i śmiertelnie boję się wody. Moje buty i ciężkie futro szybko zaczęły ściągać mnie w dół i bez wątpienia utonąłbym, gdyby nie pomoc Mercedes.

Można by pomyśleć, że romantyczność tego wydarzenia powinna zbliżyć nas do siebie, połączyć w jedną istotę, ale...

Septimus potrząsnął głową, a w jego oczach błysnęły łzy.

–Nic z tych rzeczy. Była naprawdę wściekła. "Ty durniu" – wrzasnęła. "Kto to widział, żeby wskakiwać do wody w futrze i butach nie potrafiąc nawet pływać. Co ty sobie właściwie wyobrażałeś? Czy wiesz, jak musiałam się namęczyć, aby wyciągnąć cię z tego jeziora? A ty wpadłeś w taką panikę, że aż uderzyłeś mnie w szczękę. Prawie mnie zamroczyło i przez to mogliśmy oboje utonąć. I wciąż jeszcze mnie boli."

Spakowała się i obrażona wyjechała jeszcze tego samego dnia, a ja musiałem pozostać z czymś, co szybko przerodziło się w bardzo nieprzyjemny chłód, którego do tej pory nie mogę się jeszcze pozbyć. Od tamtej pory już jej nie widziałem. Nie odpowiada na moje listy, nie podchodzi do telefonu. Moje życie jest skończone, George.

–Pytam jedynie z ciekawości, Septimusi: dlaczego właściwie rzuciłeś się do wody? Mogłeś pozostać przecież na łodzi przy brzegu i rzucić jej linę, czy nawet podać długą gałąź.

Septimus sprawiał wrażenie głęboko dotkniętego.

–Nie zamierzałem rzucać się do wody. Zamierzałem prześlizgnąć się po powierzchni.

–Prześlizgnąć się po powierzchni? Czyż nie mówiłem ci, że twoja waga maleje do zera jedynie nad lodem?

Septimus obrzucił mnie mało przyjaznym spojrzeniem.

–No właśnie. Powiedziałeś, że działa to jedynie nad H₂O. A dotyczy to także wody, prawda?

Miał rację. H₂O brzmiało bardziej naukowo, a ja musiałem przecież podtrzymać mój wizerunek poważnego naukowca.

–Ale ja miałem na myśli zestalone H₂O – odparłem.

–To dlaczego mi tego nie powiedziałeś? – syknął i zaczął powoli się unosić z oczywistym zamiarem, jak mi się wydawało, rozłożenia mnie na części.

Nie pozostałem, aby się przekonać czy moje domysły były słuszne. Od tamtej pory nigdy już go nie widziałem. Ani nie zostałem także zaproszony do jego domku. Wydaje mi się, że przebywa teraz na jednej z wysp Morza Południowego, ponieważ nigdy więcej nie chce oglądać śniegu czy lodu.

A więc, jak już powiedziałem: "Pozwól kobiecie wkroczyć w swe życie..." chociaż, zastanowiwszy się nad tym głębiej wydaje się, że mógł powiedzieć to Hamlet zanim pchnął nożem Ofelię.

George pozwolił sobie na głębokie, pijackie westchnienie z głębin czegoś, co uważał za swoją duszę i powiedział:

–Już zamykają, więc lepiej chodźmy stąd. Zapłaciłeś rachunek?

Na nieszczęście zapłaciłem.

–A czy mógłbyś pożyczyć mi piątaka, stary druhu, abym mógł dostać się jakoś do domu?

Na jeszcze większe nieszczęście, mogłem.

LOGIKA JEST LOGIKĄ

George nie był jedną z tych tchórzliwych dusz, które czują, iż fakt, że nie muszą płacić za posiłek pozbawia ich prawa do krytykowania. On jednakże wyrażał swe niezadowolenie z tak dużą dozą delikatności, na jaką go było stać – bądź też z tak dużą, na jaką uważał, że zasługuję, co oczywiście nie jest tym samym.

–Ten smorgasbard – orzekł – jest zdecydowanie słaby. Kulki mięsne są niedostatecznie gorące, śledź jest niedostatecznie słony, krewetki niedostatecznie kruche, ser niedostatecznie ostry, jajka niedostatecznie pieprzne, a...

–Ależ George, to już trzeci kopiasty talerz, jaki pochłaniasz – powiedziałem. – Jeszcze jeden kęs, a będziesz musiał poddać się operacji chirurgicznej, aby przywrócić prawidłowe ciśnienie żołądka. Jeżeli takie to niedobre, dlaczego właściwie jesz?

–Czyż nie byłoby to z mojej strony obrazą dla mojego gospodarza, gdybym nie skosztował jego potraw? – odparł wyniośle George.

–To nie są moje potrawy: przyrządzono je w tej restauracji.

–Toteż właściciel tej nędznej nory jest tym, o kim mówię. Powiedz mi, przyjacielu, dlaczego właściwie nie należysz do jakiegoś dobrego klubu?

–Ja? I płacić niebotyczne sumy za wątpliwej jakości usługi?

–Miałem na myśli dobry klub, który mógłbym zaszczycać jako twój gość w zamian za wystawny posiłek. Ale nie – dodał zrzędliwie – to marzenie ściętej głowy. Bo i jakiż dobry klub zgodziłby się na obniżenie swojej pozycji, zezwalając ci na członkostwo?

–Každy klub, który tolerowałby ciebie jako gościa bez wątpienia zezwoliłby mi... – zacząłem, ale George pogrążył się już we wspomnieniach.

–Pamiętam – powiedział z błyskiem w oku – jak jadłem co najmniej raz w miesiącu w klubie posiadającym najbardziej suty i różnorodny bufet od czasów uczt Lukullusa.

–Zakładam, że wchodziłeś tam za darmo jako czyjś gość.

–Nie uważam, aby założenie takie było czymś koniecznym, ale czystym przypadkiem masz akurat rację. Był to Alistair Tobago Crump VI, będący wtedy członkiem tego klubu, a co najważniejsze – moim sporadycznym gospodarzem.

–George – powiedziałem – czy ma to być kolejna historia, w której ty i Azazel łączycie się, aby w waszych źle skierowanych wysiłkach pomocy stoczyć jakąś

duszę w otchłań totalnej rozpacz?

–Nie rozumiem doprawdy, o co ci chodzi. Spełnialiśmy jego serdeczne pragnienie jedynie z powodu czystej uprzejmości i abstrakcyjnego uмиłowania ludzkości – no i może z mojego bardziej konkretnego uмиłowania bufetu. Ale pozwól, abym opowiedział ci tę historię od samego początku.

Alistair Tobago Crump VI był członkiem Edenu już od urodzenia, ponieważ jego ojciec Alistair Tobago Crump V wpisał syna na listę członków natychmiast po tym, jak jego osobista inspekcja upewniła go, iż wstępna ocena doktora co do płci niemowlęcia była prawidłowa. Alistair Tobago Crump V w podobny sposób wpisany został przez swego ojca, i tak dalej aż do dnia, w którym Bili Crump, śpiąc w pijackim odrętwieniu pojmany został przez łapaczy British Navy i obudziwszy się stwierdził, że jest przymusowym członkiem załogi jednego ze statków floty, która w 1664 r. zabrała Holendrom Nowy Amsterdam.

Tak się składa, że Eden jest najbardziej ekskluzywnym klubem na kontynencie północnoamerykańskim. Jest tak elitarny, że już samo jego istnienie znane jest jedynie jego członkom i bardzo nielicznym gościom. Nawet ja nie znam jego lokalizacji, ponieważ zawsze zawożony tam byłem dwukołową bryczką o zasłoniętych oknach i z opaską na oczach. Mogę ci tylko powiedzieć, że przez krótki czas na ostatnim odcinku drogi podkowy końskie stukają o brukową kostkę.

Członkiem Edenu nie mógł zostać ten, kogo przodkowie po obu stronach rodziny nie wywodzili się jeszcze z okresu kolonialnego. Zresztą sami przodkowie nie byli najważniejsi. Na tarczy herbowej nie mogła istnieć żadna plama. Dla tego właśnie powodu jednogłośnie odrzucona została kandydatura George'a Washintona, ponieważ niezaprzeczalnie wystąpił przeciwko swojemu legalnemu władcy.

Ten sam warunek wymagany był także od wszystkich gości, ja zaś spełniłem go na szczęście bez zastrzeżeń. W przeciwieństwie do ciebie nie jestem pierwszopokoleniowym emigrantem z Dobrudży, Hercegowiny, czy z jakiegoś równie niemiłego miejsca. Moje pochodzenie jest nieskazitelne, jako że wszyscy moi przodkowie roili się na terytorium tego kraju już od siedemnastego stulecia i ponieważ wszyscy co do jednego unikali grzechów rebelii, nielojalności oraz nieamerykańskości podczas Rewolucji i Wojny Secesyjnej, z równą bezstronnością witając obie armie, kiedy maszerowały przez ich terytoria.

Mój przyjaciel Alistair był niezwykle dumny ze swego członkostwa. Po wielokroć zwierzał mi się (był on bowiem klasycznym, często powtarzającym się nudziarzem):

–George, Eden jest kością i ścięgnem mojej istoty. Gdym miał wszystko, co bogactwo i władza mogą mi zapewnić, to nie mając Edenu i tak byłbym zerem.

Alistair oczywiście miał wszystko, co bogactwo i władza mogła mu zapewnić, bowiem kolejnym niezbędnym wymogiem co do członkostwa w Edenie było olbrzymie bogactwo. Imperatyw ów stanowiły chociażby same roczne opłaty. Ale i to ponownie, samo w sobie, było niewystarczające. Bogactwo miało zostać odziedziczone, a nie zarobione. Jakikolwiek ślad pracy zarobkowej automatycznie dyskredytował kogokolwiek jako członka. Tak więc jedynie fakt, że mój ojciec nierozważnie zapomniał pozostawić mi kilka milionów dolarów powstrzymywał mnie przed pełnym członkostwem, nawet pomimo tego, iż nigdy w życiu nie zhańbiłem się pracą dla...

Nie mów tylko "wiem o tym, stary druhu". Nie istnieje taka możliwość, abyś mógł o tym wiedzieć.

Naturalnie nie było żadnych sprzeciwów wobec powiększania dochodów interesującymi metodami, które nie wymagały pracy zarobkowej. Zawsze istniały takie rzeczy, jak manipulacje giełdowe, unikanie podatków, pośrednictwo w zamówieniach na dostawy rządowe i inne chytre sztuczki, które stały się drugą naturą bogatych.

Wszystko to członkowie Edenu traktowali nadzwyczaj poważnie. Znane były przypadki Edenitów, którzy utraciwszy pieniądze w niewytłumaczalnych atakach chwilowej uczciwości, woleli raczej umrzeć powoli z głodu niż zabrać się do jakiejś pracy i utracić w ten sposób członkostwo. Ich nazwiska wciąż jeszcze wymieniane są przyciszonymi głosami, a tablice ku ich pamięci wiszą na jednej ze ścian głównej sali klubu.

Nie, nie mogli pożyczyć pieniędzy od innych członków. Tylko osoba podobna do ciebie może coś takiego sugerować. Każdy członek Edenu wie, że nie pożyczają się od bogatych, kiedy istnieje niezliczona ilość biednych, oczekujących cierpliwie w ogonku na szansę, aby zostać oszukanymi. Biblia przypomina nam: "zawsze miejcie przy sobie biednych", zaś Edenici jako ludzie pobożni traktowali te słowa serio.

A jednak Alistair nie był do końca szczęśliwy. Wynikało to z faktu, że pozostali członkowie Edenu wydawali się go unikać. Powiedziałem ci już, że był nudziarzem. Nie miał żadnego daru konwersacji, żadnego dowcipu, żadnej własnej opinii. W istocie nawet wśród tych członków, których wiedza oraz oryginalność kształtowały się na poziomie czwartej klasy szkoły podstawowej, wybijał się jako zupełny nieudacznik.

Możesz więc wyobrazić sobie jego frustrację, kiedy przesiadywał tak noc po nocy w Edenie, samotny wśród tłumów. Ocean rozmów, jakie by one nie były, omywał go nie pozostawiając nań żadnego śladu. A jednak nie opuścił ani jednej nocy w klubie. Kazał tam się nawet zanieść w trakcie ostrego ataku dyzenterii po to jedynie, aby nie ucierpieć na tym jego przydomek "Żelaznego Crumpa", Było to w abstrakcyjny sposób podziwiane przez członków, ale dla pewnych powodów nie zdobyło

szczerego zrozumienia.

On to właśnie posiadał okazjonalny przywilej podejmowania mnie jako swego gościa w klubie. Moje pochodzenie było nieskazitelne, moje arystokratyczne świadectwo jako zaprzysięgłego nieroba budziło podziw wszystkich, a w zamian za wspaniałe potrawy i delikatną niczym pajęczka sieć atmosferę – wszystko to oczywiście na koszt Crumpa – podejmowałem ciężar prowadzenia rozmowy oraz wysłuchiwanie jego doskonale okropnych dowcipów. Wkrótce stwierdziłem, że współczuję temu biedakowi z samej głębi mego obszernego serca.

Powinien przecież istnieć jakiś sposób na uczynienie zeń duszy towarzystwa, kwiatu Edenu, człowieka, z którym wszyscy pozostali członkowie pragnęliby obcować. Okiem wyobraźni ujrzałem podstarzałych i szacownych Edenitów, szarpiących się z chaotyczną zawziętością o przywilej siedzenia obok niego podczas kolacji.

Ostatecznie Alistair był samym obrazem szacowności, jakim powinni być wszyscy Edenici. Wysoki, szczupły, o twarzy przerasowanego konia, miał proste włosy, bladoniebieskie oczy i posiadał charakterystyczny wyraz konserwatywnej ortodoksyjności człowieka, którego przodkowie mieli o sobie wystarczająco duże wyobrażenie, aby pobierać się wyłącznie wewnątrz własnego klanu. Jedyne, czego mu brakowało, to jakikolwiek ślad czegoś interesującego do powiedzenia lub zrobienia.

Ale to oczywiście można było naprawić. Wiedziałem, że jest to coś w sam raz dla Azazela.

Po raz pierwszy Azazel był zadowolony, że przywołałem go z jego mistycznego świata. Jak mi się wydaje był na czymś w rodzaju bankietu i akurat nadchodziła jego pora, aby uregulować rachunek, kiedy ja wyciągnąłem go stamtąd dosłownie na pięć minut przed sporządzeniem tegoż. Śmiał się swoim zawodzący falsetem ponieważ, jak wiesz, ma jedynie dwa centymetry wzrostu.

–Wrócę piętnaście minut później – powiedział – a do tego czasu, ktoś inny będzie musiał zobowiązać się do zapłacenia tego rachunku.

–A jak właściwie wytłumaczysz swoją nieobecność? – zapytałem.

Kręcąc ogonem wyprostował się dumnie na całą swoją mikrowysokość i nie bez wyższości w głosie odparł:

–Powiem im prawdę: że zostałem wezwany na konferencję z pozagalaktycznym potworem o niezwykłej głupocie, który w skrajnej potrzebie zapragnął skorzystać z pomocy mojej inteligencji. Czego chcesz tym razem?

Powiedziałem mu, a on wybuchnął łzami. A przynajmniej z jego oczu trysnęły

małeńkie, czerwone krople. Przypuszczam więc, że były to łyżki. Jedna wpadła mi do ust i smakowała okropnie – coś jak tanie czerwone wino, albo raczej jak smakowałoby tanie czerwone wino, o ile kiedykolwiek pozwoliłbym sobie go spróbować.

–Jakie to smutne – powiedział wreszcie. – Znam podobny przypadek wartościowej istoty, która także jest bezustannie poniżana przez innych, daleko późniejszych osobników. Stąd wiem, że nie ma większej tragedii.

–Kim jest ta istota? Ta poniżana, jeżeli chodzi o ścisłość.

–Ja – odparł uderzywszy się w swą małeńką pierś, aż zadudniło.

–Nie mogę sobie tego wyobrazić – powiedziałem. – Ty?

–Ja także nie mogę – powiedział – ale nie zmienia to jednak istoty rzeczy. Czy ten twój przyjaciel robi coś, co rokuje jakiegokolwiek nadzieje?

–No cóż, opowiada dowcipy, lub przynajmniej próbuje. Ale zawsze ze straszliwymi rezultatami. Recytuje je jednostajnie monotonnym głosem, bezsensownie krąży dookoła puenty, o której często zapomina. Nierzadko widywałem, jak jego dowcipy doprowadzały silnych mężczyzn do płaczu.

Azazel pokiwał głową.

–Niedobrze. Bardzo niedobrze. Ale tak się składa, że jestem doskonałym opowiadaczem dowcipów. Czy opowiadałem ci, jak raz plok i jinniram połączeni byli ze wzajemnym andesantoree, a jeden z nich powiedział...

–Tak, opowiadałeś – skłamałem – powróćmy jednak do sprawy Crumpa.

–Czy znasz jakąś prostą technikę, która w efektywny sposób poprawiłaby opowiadanie dowcipów? – zapytał Azazel.

–Pewna gładkość wystawiania się, oczywiście – odparłem.

–Oczywiście. Zwykle dostrojenie strun głosowych mogłoby w tym wypadku pomóc pod warunkiem że wy, barbarzyńcy, posiadacie coś takiego.

–Posiadamy. No i musi potrafić oczywiście posługiwać się akcentem.

–Akcentem?

–Niestandardowym angielskim. No wiesz, obcokrajowcy, którzy nie nauczyli się języka jako dzieci, lecz dopiero w późniejszym okresie życia, zawsze źle wymawiają samogłoski, zmieniają szyk wyrazów, łamią wszelkie zasady gramatyki i tak dalej.

Małeńka twarz Azazela wykrzywiła się w wyrazie przerażenia.

–Ależ to niespotykana obraza – pisnął.

–Nie na tym świecie – uspokoiłem go. – Powinno tak być, ale nie jest.

Azazel pokiwał ze smutkiem głową.

–Czy ten twój przyjaciel słyszał kiedykolwiek te okropności, które zwiesz akcentami?

–Bez wątpienia. Każdy, kto mieszka w Nowym Jorku słyszy akcent na każdym kroku. Za to prawidłowy angielski, taki jak mój, należy do rzadkości.

–Aha – mruknął Azazel – więc będzie to tylko kwestią odpowiedniego skapulatowania pamięci.

–Co pamięci?

–"Skapulatowanie" jest formą ostrzenia, a wywodzi się od słowa "skapos", odnoszącego się do zębów zumożernego dirigina.

–Ale będzie potem w stanie opowiadać dowcipy z odpowiednim akcentem?

–Jedynie z tymi akcentami, które słyszy w trakcie swego życia. Ostatecznie moje zdolności nie są nieograniczone.

–A więc skapulatuj.

W tydzień później, spotkawszy Alistaira Tobago Crumpa VI na skrzyżowaniu Piątej alei i Pięćdziesiątej Trzeciej ulicy, spojrzałem na jego twarz w bezskutecznym poszukiwaniu śladów ostatniego triumfu.

–Alistair – zapytałem – czy opowiadałeś ostatnio jakieś dowcipy?

–Nikt ich by nawet nie słuchał, George – odparł. – Czasami myślę, że wcale nie opowiadam dowcipów lepiej niż przeciętny człowiek.

–A więc powiem ci, co zrobimy. Pojedziesz ze mną do niewielkiego lokalu, do którego często zaglądam. Zaprezentuję cię w formie humorystycznego wprowadzenia, a potem ty wstaniesz i powiesz wszystko, co ci przyjdzie do głowy.

Zapewniam się, stary druhu, że nie było łatwe przekonać go, aby to zrobił. Musiałem wykorzystać do tego celu pełną siłę mojej magnetycznej osobowości. W końcu, jak zwykle zresztą, postawiłem na swoim.

Zabrałem go do raczej nędznej knajpy; tak się złożyło, że akurat ją znałem. Najlepiej mogę ją opisać mówiąc, iż w dużym stopniu przypominała to miejsce, do których zabierasz mnie na obiad.

Znałem także – co było wielkim atutem – właściciela tej knajpy i przekonałem go, aby pozwolił mi na niewielki eksperyment.

O jedenastej wieczorem, kiedy biesiada osiągnęła już swój szczyt wstałem i zastraszyłem całe audytorium moim niepodważalnym dostojeństwem. Co prawda na sali znajdowało się zaledwie jedenaście osób, uznałem jednak, że jak na pierwszy raz liczba ta będzie w zupełności wystarczająca.

–Panie i panowie – zacząłem – mamy tu pośród nas osobę o olbrzymim intelekcie, w mistrzowski sposób władającego naszym językiem, osobę, którą jak jestem o tym dogłębnie przekonany, wszyscy chcielibyście poznać. Osobą tą jest Alistair Tobago Crump VI. Emersoniański profesor języka angielskiego na uniwersytecie Columbia, a także autor książki "Jak mówić poprawnie po angielsku". Profesorze Crump, czy zechciałby pan wstać i wygłosić kilka słów do zgromadzonych na tej sali intelektualistów?

Crump wstał i sprawiając wrażenie zmieszanego powiedział:

–Ja dziękować wam wszystkim mocno bardzo.

Wiesz, stary druchu, słyszałem twoje dowcipy opowiadane z żydowskim ponoć akcentem, ale w porównaniu z Crumpem mógłbyś uchodzić za absolwenta Harvardu, Rzecz w tym, iż Crump wyglądał dokładnie tak, jak spodziewasz się tego po Emersoniańskim profesorze angielskiego. Stąd więc widok jego zbolalej, przerasowanej twarzy i nagle owo absurdalnie niepoprawne zdanie, wypowiedziane z równie niepoprawnym akcentem sprawiło, że wszystkim równocześnie wyrwał się dech z piersi. W powietrzu rozszedł się tak silny aromat przetrawionego alkoholu, że wprost nie do uwierzenia. W chwilę potem nastąpił gremialny wybuch śmiechu, przeradzający się miejscami w histerię.

Przez twarz Crumpa przemknął wyraz lekkiego zdziwienia. Spojrzał na mnie i powiedział z przepięknym szwedzkim zaśpiewem, którego nawet nie będę się starał powtórzyć:

–Zazwyczaj nie wywołuję aż tak silnej reakcji.

–Nic nie szkodzi – odparłem. – Mów dalej. Oznaczało to oczekanie dobrej chwili, póki śmiech nie ucichnie, po czym zaczął mówić dowcipy z akcentem irlandzkim, szkockim, środkowoeuropejskim, hiszpańskim, greckim, a nawet w cockney. Jednakże jego specjalnością był bez wątpienia dialekt brookliński – twój szlachetny, prawie rodzimy język, stary druho.

Od tamtej pory pozwalałem mu spędzać w Edenie po kilka godzin, a co wieczór po kolacji zabierałem go na podobne występy. Wieść o nim szybko się rozeszła. Tego pierwszego wieczora, jak już powiedziałem, widownia była dosyć mizerna, lecz wkrótce tłum na zewnątrz podnosił tumult, by wejść do środka – nadaremnie.

Crump przyjmował to wszystko raczej spokojnie. Właściwie to sprawiał nawet wrażenie przygnębionego. Pewnego razu powiedział:

–Wiesz, właściwie nie ma większego sensu marnowanie mojego wspaniałego talentu na zwykłych kmiotków. Chcę się zaprezentować przed moimi przyjaciółmi z Edenu. Nie słuchali moich dowcipów, ponieważ nigdy nie przyszło mi do głowy, aby opowiadać je w odpowiednim dialekcie. Właściwie to zdawałem sobie sprawę, że potrafię to robić, co jasno świadczy o niedocenianiu się, w jakie taki dowcipny i elokwentny człowiek jak ja może popaść. Tylko dlatego, że nie mam ochryplego głosu i nie wypycham się do przodu...

Mówił swoim najlepszym brooklińskim dialektem, który dla delikatnego ucha brzmi nieprzyjemnie zgrzytliwie – mam nadzieję, że cię tym nie urażę, przyjacielu – więc pośpiesznie zapewniłem go, iż zajmę się wszystkim osobiście.

Opowiedziałem właścicielowi lokalu o bogactwie członków Edenu, zapominając jednakże nadmienić, że byli równie skąpi, jak bogaci. Właściciel, śliniąc się odrobinę, wysłał w formie przynęty grzecznościowe zaproszenia. Uczynił to za moją radą, bowiem doskonale wiedziałem, że żaden prawdziwy Edenita nie oprze się pokusie bezpłatnego przedstawienia – szczególnie iż puściłem w obieg pogłoskę, jakoby pokazywać tu także miano filmy tylko dla dorosłych.

Członkowie pojawili się w pełnym składzie, a Crumpa widok ten wydawał się rozpierać.

–Teraz mogę to zrobić – powiedział. – Powiem coś z akcentem koreańskim, który zwali ich z nóg.

Mówił też z rozwlekłym akcentem Południa i nosowym z Maine czyniąc to tak doskonale, że aby w to uwierzyć, trzeba było go słyszeć.

Przez kilka minut Edenici zachowywali kamienne milczenie i zaczynałem odnosić już straszliwe wrażenie, że nie rozumieją po prostu subtelnego humoru Crumpa. Lecz oni sparaliżowani byli jedynie zdumieniem, a kiedy zdumienie minęło, wybuchnęli śmiechem.

Dostojne brzuchy trzęsły się konwulsyjnie, z oczu wypadały monokle, białe bokobrody falowały jak na wietrze. Wszystkie rodzaje obrzydliwych odgłosów – od suchego, wysokiego chichotu jednych do oleistego, basowego porykiwania drugich – które tak często zohydzają nam życie, wydawały prześcigać się w intensywności.

Crump słysząc te dowody zasłużonego uznania pęczniał z dumy, a właściciel lokalu, pewny, że oto znajduje się u przedsonka niewyobrażalnych bogactw, pobiegł w przerwie do Crumpa i powiedział:

–Mój chłopcze, wiem, że prosiłeś jedynie o sposobność zaprezentowania swojej sztuki i pozostajesz ponad takimi błahostkami, które ludzie zwią pieniądźmi, ale ja nie mogę tolerować tego dłużej. Nazwij mnie głupcem. Nazwij mnie szaleńcem. Ale proszę, chłopcze, przyjmij ten czek. Dobrze na niego zapracowałeś. Przeznacz go na co tylko zechcesz – i z hojnością typowego impresaria, który oczekuje w zamian milionów, wcisnął do ręki Crumpa czek na dwadzieścia pięć dolarów.

No cóż, taki był początek. Crump szybko pozyskał sławę i uznanie, stał się idolem nocnych klubów, obiektem adoracji całej rzeszy wielbicieli. Pieniądze płynęły ku niemu szeroką strugą, lecz ponieważ był bogaty ponad wszelkie wyobrażenia dzięki rozwiniętej przez jego przodków na skalę przemysłową technice ograbiania sierot, wcale ich nie potrzebował i przekazywał je wszystkie swemu menedżerowi – czyli mnie. W ciągu jednego roku zostałem milionerem, więc jak sam widzisz, że twoja teoria, jakobyśmy razem z Azazelem przynosili jedynie pecha, jest absolutnie idiotyczna.

Obrzuciłem George'a sardonicznym spojrzeniem

–A ponieważ do bycia prawdziwym milionerem brakuje ci jedynie kilku milionów dolarów, George, to zakładam, że teraz powiesz mi, że wszystko to było jedynie snem.

–Wcale nie – odparł wyniośle George. – Cała ta historia jest absolutnie prawdziwa, tak jak prawdziwe jest każde wypowiedziane tu przeze mnie słowo. A zakończenie także byłoby dokładnie takim, jak je tu jedynie zarysowałem, gdyby tylko Alistair Tobago Crump VI nie był takim głupcem.

–A był głupcem?

–Oczywiście, zresztą sam to osądzisz. Przejęty dumą z otrzymanego czeku, oprawił go w ramki, zaniósł do Edenu i jak przystało na głupca pokazał wszystkim tam obecnym. Jaki więc członkowie mieli wybór? Zarobił pieniądze. Zapłacono mu za pracę. Zmuszeni więc byli go wykluczyć. A Crump, pozbawiony swego klubu, w konsekwencji pozwolił sobie nieroztropnie na śmiertelny atak serca. Z pewnością nic z tych rzeczy nie było winą Azazela czy też moją.

–A jeżeli oprawił ten czek w ramki, to przecież nie podejmował z niego żadnych pieniędzy.

George w zapale mentorskim uniósł prawą dłoń w górę, lewą równocześnie przesuwając rachunek za dzisiejszą kolację w moją stronę.

–Chodzi o zasadę tego wszystkiego. Powiedziałem ci, że Edenici są ludźmi silnie religijnymi. Kiedy Adam wygnany został z Edenu, Bóg powiedział mu, że od tej pory będzie musiał pracować, aby zarabiać na swe utrzymanie. Wydaje mi się, że dokładnie słowa te brzmiały: "W pocie czoła na chleb swój pracował będziesz". Stąd, jako odwrotność, jeżeli pracujesz na swoje utrzymanie, musisz zostać wygnany z Edenu. Logika jest logiką.

MIŁOŚNIK PODRÓŻY

Wróciłem właśnie z podróży do Williamsburga w stanie Wirginia i ulga z powodu powrotu do mojej ukochanej maszyny do pisania i procesora słów mieszała się z resztkami złości, że w ogóle musiałem tam pojechać.

George jak zwykle nie zważał na fakt, że za moje ciężko zarobione pieniądze pożarł właśnie większość z oferowanych w całkiem niezłej restauracji potraw, co powinno być wystarczającym powodem do okazania mi swej sympatii.

Przez chwilę wydłubywał pracowicie spomiędzy zębów resztki steku, po czym powiedział:

–Doprawdy nie rozumiem, stary druhu, dlaczego tak bardzo krytykujesz fakt, że szacowne skądinąd organizacje wydają się skore do płacenia ci tysięcy dolarów jedynie za to, by przez godzinę posłuchać, co masz do powiedzenia. A wysłuchawszy cię rozprawiającego od czasu do czasu dochodzę do bardziej prawdopodobnego wniosku, że zaczynasz gadać za darmo i odmawiasz przestania, dopóki ci nie zapłacą. Przyznaję, iż tym drugim sposobem łatwiej wycisnąć pieniądze z ludzi – mówię to bez chęci urażenia twoich uczuć, zakładając oczywiście, że takowe posiadasz.

–A kiedyż to słyszałeś, aby mówił? – zareplikowałem. – Nieliczne pauzy w twoim własnym bełkocie nie zezwalają nikomu na wtrącenie więcej niż dwudziestu dwu słów.

(Naturalnie uważałem, aby wygłosić ten zarzut dokładnie w dwudziestu dwu słowach). George – jak zresztą przypuszczałem – zignorował mnie.

–Ukazuje to jedynie szczególnie niemiłą stronę twojej duszy – powiedział – że swojej szaleńczej pogoni za marnością zwaną "pieniędzmi" tak często i ochoczo podejmujesz trudy podróżowania, którego, jak twierdzisz, nie cierpisz. Przypomina mi to trochę historię Sofoklesa Moskowitza. Otóż przejawiał on podobny brak chęci do ruszania się z fotela, chyba że wyczuwał okazję do kolejnego powiększenia swojego konta bankowego, które i tak było już nadmiernie rozdęte. Niechęć tę także eufemizował, nazywając ją "awersją do podróży". Musiałem w końcu wezwać swego przyjaciela Azazela, aby to zmienił.

–Nawet nie waż się napuszczać tego twojego demona na mnie, bo jeszcze przytrafi mi się jakieś nieszczęście – powiedziałem z przerażeniem, które było tak samo prawdziwe, jakim byłoby, gdybym miał niezaprzeczalny powód przypuszczać, że ten wytwór jego zwichrowanej wyobraźni rzeczywiście istnieje.

George jednakże zignorował mnie ponownie.

Był to jeden z pierwszych przypadków (powiedział George), kiedy to wezwałem na pomoc Azazela, a zdarzył się prawie trzydzieści lat temu. Dopiero niedawno nauczyłem się, jak przyzywać tego małego stworka z jego własnej planety i nie byłem jeszcze w pełni świadom mocy, jakimi dysponuje.

Chełpił się nimi, a jakże, ale czyż istnieje jakieś stworzenie, oczywiście oprócz mnie, które konsekwentnie nie przesadzałoby w opisie swoich możliwości bądź uzdolnień?

W tamtych czasach pozostawałem w bliższych stosunkach ze wspaniałą młodą kobietą o imieniu Fifi, która rok wcześniej uznała, że bogactwo, które Sofokles Moskowitz mógłby na nią przeznaczyć, czyni z niego stosunkowo odpowiedniego kandydata na męża.

Po ślubie pozostała moim dobrym, choć z niewyjaśnionych przyczyn nadmiernie cnotliwym przyjacielem. Jednakże nawet pomimo jej cnotliwości, zawsze miło mi było na nią patrzeć, co z pewnością zrozumiesz jeśli ci powiem, iż jej figura była jedyną rzeczą, która nie mogła zostać przesadzona. Jej obecność powodowała, że z prawdziwą przyjemnością wspominałem pewne miłe chwile, które w przeszłości był naszym wspólnym udziałem.

–Bum-Bum – powiedziałem, ponieważ nigdy nie wyzbyłem się nawyku zwracania się do niej przydomkiem scenicznym, jakim jednogłośnie obdarzyli ją zafascynowani jej interesującym pokazem widzowie. – Wyglądasz świetnie.

Powiedziałem to bez żadnego wahania, ponieważ zawsze mówię, co myślę.

–Naprawdę? – odpowiedziała w beztroski sposób, przywodzący na myśl ulice Nowego Jorku w całym ich hałaśliwym splendorze. – Ale nie czuję się dobrze.

Nie wierzyłem w to ani przez chwilę, bowiem o ile na mojej pamięci można polegać, to musiała czuć się dobrze już od okresu wczesnego wieku młodzieńczego. Toteż głośno zapytałem jedynie:

–Jaki masz kłopot, moje sprężyste kochanie?

–To Sofokles, ten płaz,

–Nie jesteś chyba zirytowana swoim mężem, Bum-Bum. To przecież niemożliwe, aby tak bogaty człowiek mógł być irytujący?

–To ty tak mówisz. Co za oszust! Pamiętasz, jak mówiłaś mi, że Sofokles jest taki bogaty, jak ten facet o nazwisku Krezus, o którym nigdy nie słyszałam? No cóż, zapomniałaś mi jedynie powiedzieć, że ten Krezus musiał być nieprzeciętnym sknerą.

–Sofokles jest sknerą?

–I to jeszcze jaką! Czy możesz sobie wyobrazić jaki jest sens poślubienia faceta, który jest takim starym kutwą?

–Ależ Bum-Bum, na pewno możesz wyłudzić od niego trochę pieniędzy bałamucąc go wykrętną obietnicą nocnego Elizjum.[W mitologii greckiej wyspy szczęśliwości i spokoju.]

Czoło Fifi zmarszczyło się odrobinę.

–Nie bardzo wiem o czym mówisz, ale znam ciebie, więc nie gadaj świństw. A zresztą obiecałam mu, że nie dostanie tego, cokolwiek oznacza to, co powiedziałeś, jeżeli się trochę nie rozluźni, ale on woli ścisnąć swój portfel niż mnie, co, jeżeli się nad tym dobrze zastanowisz, jest cholernie obraźliwe – z tymi słowy ta biedna istotka załkała cichutko.

Poklepałem ją po dłoni w sposób, w jaki z pewnością nie uczyniłby tego brat, ale tylko tyle mogłem w tak krótkim czasie osiągnąć.

–Kiedy wychodziłam za tego łajzę – wybuchnęła gwałtownie – pomyślałam: "No cóż, Fifi, oto przed tobą podróże do Paryża i na Rivierę, do Bonus Airs i Casablanki". Akurat! Cienia szansy!

–Tylko mi nie mów, że ten łajdak nie zabierze cię do Paryża.

–On nie zabierze mnie nigdzie. Mówi, że nie chce opuszczać Manhattanu. Mówi, że tam mu się nie podoba. Mówi, że nie podobają mu się krzewy i drzewa, i zwierzęta, i trawa, i brud, i obcokrajowcy, i jakiegokolwiek budynki za wyjątkiem tych w Nowym Jorku. Ja mu na to: "A może jakaś niewielka podróż na zakupy", ale to mu się także nie podoba.

–Dlaczego nie pojedziesz bez niego, Bum-Bum?

–Pewnie, możesz się założyć, że byłoby to o wiele bardziej zabawne. Ale z czym? Ten facet ma wszystkie swoje karty kredytowe pozaszywane w kieszeniach swoich gaci. Muszę robić zakupy u Macy'ego – jej głos był już prawie wrzaskiem. – A nie wyszłam za tego bonzę po to, aby robić zakupy u Macy'ego!

Obrzuciłem spekulacyjnym spojrzeniem obfite przydatki tej paniutki żalując, że nie mogę sobie na nie pozwolić. Zanim wyszła za męża, czasami nawet chętnie oferowała swój wkład w pewną formę sztuki dla samej sztuki, teraz żywiłem jednak podejrzenie, iż jej poważniejszy status jako kobiety zamężnej usztywnił trochę jej profesjonalne spojrzenie na tego typu sprawy. Musisz zrozumieć, że w tamtych dniach posiadałem nawet więcej wigoru niż w chwili obecnej, ale tak samo nie orientowałem się w rzeczywistości, jak teraz.

–A przypuśćmy że przekonani go, aby polubił podróże? – powiedziałem.

–Och, kochany, tak bym chciała, żeby ktoś potrafił tego dokonać!

–Załóżmy, że mi się uda. Zakładam, że byłabyś mi za to wdzięczna.

W jej oczach, które spoczęły na mojej twarzy dostrzegłem błysk dawnych wspomnień.

–George – powiedziała miękko – tego dnia, kiedy powie mi, że zabiera mnie do Paryża, ty i ja powtórzymy numer z Ashbury Park. Pamiętasz Ashbury Park?

Czy pamiętam ten kurort na wybrzeżu New Jersey? Czy mógłbym zapomnieć o moich bolących mięśniach? Prawie każda część mojego ciała była potem przez dwa dni zupełnie sztywna.

Przedyskutowałem tę sprawę z Azazelem przy piwie, to znaczy kufel dla mnie, a kropelka dla niego. Po pierwszej próbie stwierdził, że chmiel ma właściwości zachwycająco stymulujące.

–Azazelu – zapytałem ostrożnie – czy rzeczywiście twoje magiczne zdolności mogłyby dokonać czegoś, co by mnie zadziwiło?

Spojrzał na mnie z wyrazem twarzy lekko wstawionego jegomościa.

–Po prostu powiedz, czego chcesz. Tylko powiedz, czego chcesz. Pokażę ci, czy jestem "starym partaczem", czy też nie. Pokażę im wszystkim.

Pewnego razu, w chwili oszołomienia wywołanego płynem do polerowania mebli o zapachu cytryny (stwierdził, że powoduje rozszerzenie horyzontów myślowych) powiedział mi, że w ten właśnie sposób obrażono go kiedyś w jego własnym świecie.

Zezwoliłem mu na jeszcze jedną kroplę piwa, po czym z udaną niedbałości powiedziałem:

–Mam przyjaciela, który nie lubi podróżować. Zakładam, że zmiana tej niechęci w gorączkę podróżowania, byłaby dla osoby tak utalentowanej i rozwiniętej umysłowo jak ty, zgoła niczym.

Muszę przyznać, że po tych słowach część jego pewności siebie zniknęła jak zdmuchnięta.

–Pytając, czego chcesz – powiedział bełkotliwie i w dodatku z dziwnym akcentem – miałem na myśli prośbę o coś sensownego – na przykład, aby wyprostować jedynie siłą mojego umysłu ten brzydki obraz.

I rzeczywiście, jeszcze w trakcie, kiedy to mówił obraz zaczął się poruszać i po chwili znieruchomiał, przekrzywiony na drugą stronę.

–Dlaczego właściwie miałbym chcieć prostować swoje obrazy? – zapytałem. – Zadaję sobie dużo kłopotu zmuszając je, aby wisiały pod dokładnie prawidłowymi kątami nieprostymi. Nie, ja chcę jedynie, żebyś zaszczerpił Sofokle-sowi manię podróźniczą, taką, która zmuszałaby go do ciągłych podróży, nawet bez żony, jeżeli zaszłaby taka potrzeba – to ostatnie dodałem, ponieważ nagle przyszło mi do głowy, że korzystnie byłoby mieć Fifi w mieście, podczas gdy on wojażowałaby gdzieś za granicą.

–To nie jest takie łatwe – odparł Azazel. – Wrodzona niechęć do podróży zależna być może od pewnych doświadczeń z dzieciństwa, powodujących trwale deformacje mózgu. Usunięcie czegoś takiego wymaga zastosowania niezwykle wyrafinowanej odmiany inżynierii umysłu. Nie mówię, że nie da się tego zrobić, ponieważ wasze prymitywne umysły nie ulegają łatwo uszkodzeniu, ale musiałbyś mi wskazać tę osobę, abym mógł zidentyfikować i przestudiować jej umysł.

To akurat było stosunkowo proste. Jako stary kolega ze studiów wymogłem na Fifi zaproszenie na kolację. (Kilka lat temu spędziła jakiś czas w uniwersyteckim kampusie, nie sądzę jednak, aby uczyła na wykłady. Zawsze preferowała indywidualny tok nauczania.)

Zabrałem Azazela ze sobą, ukrytego w kieszeni mojej marynarki i od czasu do czasu słyszałem, jak mruczy pod nosem jakieś wyszukane formuły matematyczne. Założyłem, że analizuje umysł Sofoklesa, a jeżeli tak, był to zaiste imponujący wyczyn, ponieważ nie podejmował ze mną na tyle wyczerpującej konwersacji abym doszedł do przekonania, że jego umysł jest wystarczająco głęboki, by dopuszczać odpowiednio dużą możliwość analizy.

Natychmiast po powrocie do domu zapytałem:

–No i jak?

Azazel niedbale machnął w powietrzu swą maleńką dłonią.

–Czy masz pod ręką multifazowy, mento-dynamiczny synaptometr?

–Niestety nie – odparłem. – Pożyczyłem go wczoraj przyjacielowi, który wyjeżdżał do Australii.

–Było to głupotą z twojej strony – burknął Azazel. – A to oznacza, że będę musiał wykonywać wszystkie obliczenia na obrusie.

Gderał tak przez dłuższy czas i nie przestał nawet wtedy, gdy (jak twierdził)

uwieńczył już swe dzieło sukcesem.

–Było to prawie niemożliwe – powiedział. – Tylko osoba o tak wspaniałych osiągnięciach jak moje, mogła temu podołać. Musiałem spiąć jego umysł do obecnej, poprawionej formy olbrzymimi hakami.

Przyjąłem, iż mówi to metaforycznie i powiedziałem mu to.

–No cóż, równie dobrze mogłyby to być duże haki. Po tej operacji nikt nie będzie w stanie choćby ruszyć jego umysłu. Będzie pragnął podróżować z tak przytłaczającą stanowczością, że wstrząśnie Wszechświatem jeśli okaże się to konieczne do umożliwienia mu podróży. A to pokaże tym...

Wyrzucił z siebie długi potok piskliwych sylab w swym własny języku. Oczywiście nie zrozumiałem, co powiedział, ale sądząc po fakcie, iż w stojącej w pokoju obok lodowce roztopiły się wszystkie kostki lodu, było to raczej mało pochlebne. Podejrzewam, że miotał słowa krytyki pod adresem tych w swoim świecie, którzy zarzucali mu brak zręczności

Nie minęło więcej jak trzy dni, kiedy zadzwoniła do mnie Fifi. Przez telefon nie jest tak efektowna, jak osobiście, i to z powodów, które są zupełnie oczywiste, chociaż być może dla ciebie, z twoją wrodzoną niezdolnością do postrzegania przyjemniejszych stron życia, wcale takimi nie są. Rozumiesz, jest się bardziej świadomym lekkiej twardości w jej głosie, jeżeli nie jest się w stanie bezpośrednio przypomnieć sobie równoważących to miękkości w innych miejscach.

–George – zachichotała – musisz być chyba magikiem. Nie mam pojęcia, co zrobiłeś wtedy podczas kolacji – ale udało się. Sofokles zabiera mnie do Paryża. To jego własny pomysł i jest z tego powodu strasznie podniecony. Czyż to nie wspaniałe?

–To więcej niż wspaniałe – odparłem z naturalnym przy takim obrocie rzeczy entuzjazmem. – To prawdziwy przełom. Możemy oddać się teraz spełnieniu obietnicy, jaką poczyniłaś. Powtórzmy Ashbury Park i sprawmy, że zatrzęsie się ziemia.

Kobiety jednakże, jak z pewnością sam to od czasu do czasu zauważyłeś, wykazują zadziwiający brak zrozumienia faktu, iż umowa jest rzeczą świętą. W tym względzie zupełnie różnią się od mężczyzn. Wydają się nie posiadać potrzeby dotrzymywania słowa, czy kierowania się honorem.

–Wyjeżdżamy jutro, George – odparła – więc teraz nie mam czasu. Zadzwonię po powrocie.

Odłożyła słuchawkę i to było wszystko. Ta kobieta miała dwadzieścia cztery godziny czasu, z czego ja wykorzystałbym zaledwie połowę – a jednak odmówiła.

Rzeczywiście odezwała się po powrocie, a było to w jakieś sześć miesięcy później.

Kiedy zadzwoniła do mnie, początkowo miałem trudności z rozpoznaniem jej głosu. Wyczuwało się w nim zmęczenie, jakby była kompletnie wyczerpana.

–Z kim rozmawiam? – zapytałem z moim zwyczajowym dostojeństwem.

–Mówi Fifi Laverne Moskowitz – odparła ze znużeniem.

–Bum-Bum! – wykrzyknąłem – Wróciłaś! To cudownie! Przyjeżdżaj do mnie i...

–Zamknij się George! – warknęła. – Jeżeli to ta twoja magia, to jesteś żalonym fuszerem i nie powtórzę z tobą Ashbury Park, nawet gdybyś potrafił wisieć zaczepiony palcami stóp dwukrotnie dłużej.

–Czyżby Sofokles nie zabrał cię do Paryża? – zapytałem ze zdumieniem.

–Owszem, zabrał. A teraz zapytaj, czy poczyniłam po drodze jakieś zakupy.

Byłem pełen dobrej woli.

–Czy poczyniłaś po drodze jakieś zakupy?

–Jak cholera! Nawet ich nie zaczęłam. Sofokles nigdy się nie zatrzymywał – jej głos stracił trochę na swym znużeniu i pod wpływem emocji przeszedł w pisk.

–Dotarliśmy do Paryża i bez przerwy gdzieś lataliśmy. Sofokles ciągle wskazywał na jakieś rzeczy, które mijaliśmy w pełnym biegu. "To wieża Eiffla", powiedział wskazując na brzydką konstrukcję w budowie. "To Notre Dame", dorzucił w chwilę potem. A w dodatku sam nie wiedział, o czym gada. Kiedyś dwaj gracze w football przemycili mnie do Notre Dame i stąd wiem, że to wcale nie jest w Paryżu, a w South Bend, w stanie Indiana.

A zresztą czy to nie wszystko jedno? Potem pojechaliśmy do Frankfurtu, Brna i Wiednia, który ci durni obcokrajowcy nazywają Veen. Czy jest taka miejscowość o nazwie Treest?

–Triest – poprawiłem. – Tak, jest taka miejscowość.

–Więc pojechaliśmy i tam także. I nigdy nie zatrzymywaliśmy się w hotelach. Nocowaliśmy po jakichś starych farmach. Sofokles powiedział, że tak właśnie należy podróżować. Powiedział, że widzisz wtedy ludzi i naturę. A kto chciałby oglądać ludzi i naturę. Za to prysznic nie widzieliśmy choćby jednego. Ani kanalizacji. Nie muszę ci chyba mówić, jak bardzo śmierdziałam. I miałam rzeczy we włosach! Pięć razy brałam już prysznic, ale wciąż jeszcze nie czuję się czysta!

–A więc weź pięć dalszych pryszniców w moim mieszkaniu – nalegałem w najbardziej umiarkowany sposób, na jaki było mnie wtedy stać. – A potem możemy powtórzyć Ashbury Park.

Wydawała się mnie nie słyszeć. To zadziwiające, jak bardzo kobiety potrafią być czasami głuche.

–Wyjeżdża ponownie już w przyszłym tygodniu – ciągnęła dalej. – Powiedział, że chce pokonać Pacyfik i dostać się do Hong-Kongu. Powiedział, że chce płynąć frachtowcem, bo tylko tak można podziwiać ocean. "Posłuchaj, ty poprany łajzo", powiedziałam. "Nie wsadzisz mnie na żaden statek do Chin, bo wolę zostać tu w pojedynkę i sama!"

–Bardzo poetycznie – przyznałem.

–A wiesz, co on na to? Powiedział: "Bardzo dobrze, moja droga. Pojadę bez ciebie". A potem dodał coś jeszcze dziwniejszego, co nie miało żadnego sensu. Powiedział: "Czy w dół ku Gehennie czy w górę po Tron, ten bieży najszybciej, kto samotny jak on". Co to ma znaczyć? Co to jest Gehenna? Co ma z tym wspólnego jakiś tron? Co on właściwie sobie wyobraża, że jest królową angielską?

–To Kipling – wtrąciłem.

–Nie opowiadaj głupstw. Ja nigdy nie kimałam, więc nie mów, że on to robi. Z trudnością zasypia nawet po prochach. Zagroziłam, że się z nim rozwiodę i puszcze go w skarpetkach. A on odparł: "Rób, jak uważasz, moje ty odmóżdżone kochanie, ale nie masz żadnej podstawy i niczego nie dostaniesz. Dla mnie jest ważne jedynie podróżowanie." Potrafisz to pojąć? No i ten kawałek z odmóżdżeniem. Wciąż jeszcze próbuje złapać mnie na piękne słówka.

Musisz zrozumieć, stary druhu, że była to jedna z pierwszych prac Azazela i nie nauczyłem się go jeszcze kontrolować. A rzeczywiście poprosiłem go, aby sprawił, żeby Sofokles czasem podróżował bez żony.

Wciąż jednak sytuacja taka przynosiła pewne korzyści, co przewidywałem zresztą od samego początku.

–Bum-Bum – powiedziałem – porozmawiajmy o tym rozwodzie wspólnie w przerwie pomiędzy Ashbury...

–Ty żaloszny bęcwale. Nie obchodzi mnie, co wtedy zrobiłeś, czy była to magia czy cokolwiek innego. Po prostu trzymaj się ode mnie z daleka, bo znam faceta, który robi z ciebie placek, jak tylko szepnę mu słówko. I kima także, ponieważ potrafi robić wszystko.

Niestety, Bum-Bum zmieniła się w Dum-Dum, chociaż nie w sposób, jaki bym sobie życzył lub, znając jej rozmiary i styl, jakiego bym po niej oczekiwał.

Wezwałem Azazela ponownie, lecz – chociaż się starał – nie potrafił przywrócić starego porządku rzeczy. I zdecydowanie odmówił podjęcia jakiegokolwiek próby sprawienia, by Bum-Bum stała się w stosunku do mnie bardziej łaskawa. Nie wiedzieć dlaczego powiedział, że byłoby to za dużo dla kogokolwiek.

Jednak śledził dla mnie dalsze wyczyny Sofoklesa. Mania tego człowieka rosła. Przemierzył Kontynentalny Dział Wód na rękach. Pokonał Nil na nartach wodnych, aż do Jeziora Wiktorii. Przeleciał ponad Antarktyką na lotni.

Kiedy w 1961 roku prezydent Kennedy zapowiedział, że do końca dekady wylądujemy na księżycu, Azazel stwierdził:

–A więc znowu daje o sobie znać moje przestrojenie.

–Chcesz przez to powiedzieć – zapytałem z niedowierzaniem – że cokolwiek zrobiłeś z jego mózgiem daje mu teraz taką siłę, aby wpływać na prezydenta i program lotów kosmicznych?

–Nie robi tego celowo – odparł Azazel. – Ale powiedziałem ci przecież, że to przestrojenie jest na tyle silne, że może wstrząsnąć Wszechświatem.

I rzeczywiście poleciał na Księżyc, przyjacielu. Pamiętasz Apollo 13, który w drodze na księżyc doznał rzekomo awarii w 1970 roku i jego załoga z trudnością powróciła na Ziemię? W rzeczywistości Sofokles zabrał się razem z nimi w charakterze pasażera na gapę, ukradł część statku i pozostawiwszy właściwej załodze tylko tyle, aby mogła powrócić do domu, wylądował na Księżycu.

Przebywa na nim do tej pory, wzdłuż i wszerz przemierzając jego powierzchnię. Nie ma powietrza, żywności ani wody, ale jego pragnienie do bezustannego podróżowania musi to w jakiś sposób korygować. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby do tej pory nie wydarzyło się coś, co umożliwiłoby mu podróż na Marsa – i jeszcze dalej.

George pokiwał ze smutkiem głową.

–Takie ironiczne. Takie ironiczne.

–Co takiego? – zapytałem.

–Nie rozumiesz? Biedny Sofokles Moskowitz! Jest nową i poprawioną wersją Żyda Wiecznego Tułacza, a cała ironia polega na tym, że nie jest nawet ortodoksyjny.

Uniósł lewą dłoń ku oczom, sięgając równocześnie prawą po serwetkę. W trakcie tej czynności przypadkowo podniósł dziesięciodolarowy banknot, jaki położyłem z boku stołu jako napiwek dla kelnera. Otarł oczy serwetką, ale nie zauważyłem, co stało się z banknotem. Kiedy wyszedł, pociągając serdecznie nosem, stół był już pusty.

Westchnąłem i sięgnąłem do portfela po następny dziesięciodolarowy banknot.

PRAWDZIWE PIĘKNO

Siedzieliśmy z George'em na jednej z ławek na deptaku i kontemplowaliśmy rozległy bezmiar plaży oraz połyskujące w oddali morze. Pochłonięty byłem niewinną przyjemnością podziwiania poubieranych jedynie w skąpe bikini młodych kobiet i zastanawianiem się, co mogłyby uzyskać od piękniejszych stron życia, żeby choć w połowie było to tak cenne jak to, co w nie wniosły.

Znając George'a podejrzewałem, iż jego własne myśli są raczej o wiele mniej nobliwe estetycznie niż moje. Byłem właściwie pewny, że rozmyśla nad bardziej praktycznymi aspektami tych samych młodych kobiet.

Przeżyłem więc ogromne zaskoczenie gdy w pewnej chwili powiedział:

–Oto siedzimy tu sobie i popijamy, otoczeni pięknem natury, które przybrało na tę chwilę formę boskich kształtów kobiet, a jednak bez wątpienia prawdziwe piękno nie jest – i nie może być – takie oczywiste. Ostatecznie prawdziwe piękno jest czymś tak cennym, że skrywane być winno przed oczyma trywialnych obserwatorów. Czy myślałeś o tym kiedykolwiek w ten sposób?

–Nie – odparłem. – Nigdy tak nie myślałem i nawet teraz, kiedy o tym wspomniałeś, też tak nie myślę. Co więcej, nie sądzę abyś ty sam myślał kiedykolwiek w ten sposób.

–Wiesz, przyjacielu – westchnął George – rozmowa z tobą przypomina pływanie w melasie: duży wysiłek i prawie żadnych efektów. Obserwowałem cię, jak spoglądałeś na tę wysoką boginkę, której za całe przybranie służy jedynie kilka cali kwadratowych materiału, mającego rzekomo coś skrywać. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że to, co z takim wdziękiem prezentuje, jest jedynie powierzchowne?

–Nigdy nie prosiłem o wiele od życia – odparłem skromnie – i jestem zadowolony z powierzchowności takiego akurat typu.

–Pomyśl, o ile piękniejszą byłaby młoda kobieta, nawet całkowicie niepociągająca dla tak niewyrobionego oka jak twoje, gdyby posiadała nieśmiertelny nimb dobroci, bezinteresowności, pogody ducha, cierpliwości i pracowitości, a także wykazywała troskę o innych – słowem te wszystkie cnoty, które przyozdabiają kobietę złotem i wdziękiem.

–Wiesz co, George – powiedziałem – zaczynam myśleć, że jesteś pijany. Co ty, u licha, możesz właściwie wiedzieć o takich cnotach jak te?

–Oczywiście, że nie są mi one obce – odparł wyniośle – ponieważ praktykuję je z całym zapamiętaniem i do najwyższych granic.

–Bez wątpienia – przytaknąłem z uśmiechem – tyle że czynisz to w zaciszu swojego własnego mieszkania i w ciemnościach.

Lekceważąc twoją nieprzystojną uwagę (powiedział George) muszę wyjaśnić, że nawet gdybym osobiście nie wiedział niczego o tych cnotach, to nauczyłbym się o nich poprzez moją znajomość z młodą kobietą o nazwisku Melisanda Ott, z domu Melisanda Renn, a znaną jej ukochanemu mężowi Oktawiuszowi Ottowi jako Maggie. Dla mnie także znana była jako Maggie, jako że była córką mojego drogiego przyjaciela – obecnie już świętej pamięci, niestety – i zawsze uważała mnie za swojego wujaszka George'a.

Muszę przyznać, że jest we mnie część, która – jak ty – docenia subtelną jakość tego, co nazywasz "powierzchnowością". – Tak, przyjacielu, wiem, iż pierwszy użyłeś tego terminu, ale dojdziemy donikąd, jeżeli co chwila będziesz mi przerywał swoimi banałami.

Właśnie z powodu tej niewielkiej słabostki muszę wyznać także i to, że kiedy piszcząc z radości na mój widok zarzucała mi ręce na szyję, mój zachwyt z tego powodu niezupełnie był tak wielki, jaki byłby, gdyby jej proporcje pozostawały zdecydowanie obfitsze. Była bowiem przeraźliwie chuda, o boleśnie sterczących kościach. Miała duży nos, anemiczną bródkę, proste włosy o typowo mysim kolorze i szaro-zielone oczy. Jej kości policzkowe były płaskie i szerokie, tak że przypominała raczej objedzoną orzeszkami wiewiórkę ziemną. Słowem, nie była typem młodej kobiety, której pojawienie się na jakimkolwiek przyjęciu przyprawiałoby obecnych tam mężczyzn o szybsze bicie serca i pokusę, by podejść bliżej.

Miała za to dobre serce. Nigdy nie traciła ducha i pełnym smutnej tęsknoty uśmiechem odpowiadała na bolesne skurcze, jakie wykrzywiały twarz przeciętnego młodego człowieka, który spotykał ją po raz pierwszy i w dodatku bez ostrzeżenia. Występowała jako druhna u wszystkich swoich przyjaciółek po kolei, ze świeżym zestawem tęsknych uśmiechów. Była matką chrzestną dla niezliczonej liczby dzieci, a niańką dla jeszcze innych, zaś jej zręczność w posługiwaniu się butelką ze smoczkiem nie miała sobie równych.

Zanosila gorącą zupę głodującym biedakom, a także tym, którzy na to nie zasługiwali, chociaż byli i tacy, co twierdzili, że to niezasłużona przysługa dla tych, którzy bardziej zasługiwali na pokaranie boskie. Pełniła różnorakie obowiązki w lokalnym kościele, czasami po kilka na raz – i to zarówno dla samej siebie jak i tych spośród jej przyjaciół, którzy przedkładali grzechy doczesne nad zbawienie duszy. Nauczała w szkółce niedzielnej i permanentnie rozśmieszała dzieciaki strojeniem (jak myślały) pociesznych min. Często też wskazywała im słuszną drogę życia czytając dziewięcioro przykazań. (Zarzuciła ten sam pomysł z dorosłymi, ponieważ doświadczenie nauczyło ją, że niezmiennie prowadzi to do niewygodnych pytań).

Naturalnie utraciła wszelką wiarę w zamęcie już w wieku gdzieś lat czterech. A zanim ukończyła lat dziesięć, nawet szansę przypadkowej randki z przedstawicielem płci przeciwnej wydawała się dla niej raczej niemożliwym do spełnienia marzeniem.

Ileż to razy mawiała:

–Nie jestem nieszczęśliwa, wujaszku George. To prawda, że świat mężczyzn jest dla mnie zamknięty, oczywiście za wyjątkiem ciebie i pamięci o moim drogim Papie, ale istnieje przecież prawdziwe szczęście w czynieniu dobra.

Odwiedzała więc więźniów namawiając ich do skruchy i nakłaniając do uczciwej pracy. Tylko jeden czy dwóch było na tyle bezdennie głupich, by zgłosić się na ochotnika do pojedynczych cel na czas jej spodziewanej wizyty.

Potem nieoczekiwanie spotkała Oktawiusza Otta, niedawno zamieszkałego w tej okolicy młodego inżyniera elektryka, piastującego wysokie stanowisko w spółce, dla której pracował. Był wartościowym, młodym mężczyzną – poważnym, przedsiębiorczym, wytrwałym, odważnym, uczciwym i wzbudzającym szacunek – jednakże nie należał do osób, którą ja lub ty określilibyśmy mianem przystojnej. I szczerze mówiąc wątpię, aby znalazł się ktoś, kto mógłby go za takiego uważać.

Linia jego włosów cofała się wyraźnie do tyłu – lub, aby być bardziej ścisłym, już się wycofała – miał bulwiaste czoło, zadarty nos, cienkie wargi, odstające w znaczny sposób uszy oraz wydatne jabłko Adama, które właściwie znajdowało się w ciągłym ruchu. To, co pozostało z jego włosów było wściekle rudego koloru, twarz zaś i ramiona pokryte miał w nieregularnych miejscach piegami.

Tak się złożyło, że byłem razem z Maggie, kiedy ona i Oktawiusz spotkali się na ulicy po raz pierwszy. Oboje byli do tego równie nieprzygotowani i oboje sprawiali wrażenie pary narowistych koni, przed którymi niespodziewanie pojawił się tuzin kłownów poprzebieranych w błazeńskie peruki i dmących w tuzin gwizdków. Przez moment spodziewałem się nawet, że zarówno Maggie jak i Oktawiusz staną dęba i zarżą.

Chwila ta jednak minęła i obojgu udało się jakoś zwalczyć panikę, jaka owładnęła nimi w pierwszej minucie spotkania. Ona nie zrobiła niczego więcej, prócz przyłożenia dłoni do serca, jakby powstrzymując je przed wyskoczeniem z klatki piersiowej w poszukiwaniu lepszego miejsca do ukrycia, on zaś otarł swe brwi, jakby zacierając jakieś straszliwe wspomnienia.

Spotkałem Oktawiusza kilka dni wcześniej, byłem więc w stanie przedstawić ich sobie wzajemnie. Każde z nich wyciągnęło z wahaniem dłoń, jakby nie mieli ochoty do wrażeń zmysłowych dodawać zmysłu dotyku.

Później tego samego popołudnia Maggie przerwała długie milczenie mówiąc:

–Cóż za dziwnym młodym mężczyzną wydaje się być ten pan Ott.

–Nie wolno ci osądzać książki po jej okładce, moja droga – odparłem z tą oryginalnością metafory, za co wszyscy moi przyjaciele tak bardzo mnie lubią.

–Ale ta okładka istnieje, wujaszku George – powiedziała z przejęciem – i musimy brać to pod uwagę. Ośmielę się twierdzić, że przeciętna młoda kobieta, frywolna i mało uczuciowa nie chciałaby mieć wiele do czynienia z panem Ottem. Stąd też byłoby dobrym uczynkiem pokazanie mu, iż nie wszystkie młode kobiety są zupełnie niedbałe i że przynajmniej jedna nie obróci się przeciwko młodemu mężczyźnie jedynie z powodu jego nieszczęśliwego podobieństwa do... do... – tu zająknęła się, jako że do głowy nie przyszedł jej żaden odpowiedni członek królestwa zwierząt, zakończyła więc kulawo, choć ciepło – czegokolwiek, co przypomina. Muszę być dla niego miła.

Nie wiem, czy Oktawiusz miał kogoś zaufanego, przed kim mógłby otworzyć w podobny sposób serce. Raczej nie, bowiem bardzo niewiele osób ma szczęście posiadać jako powiernika wujaszka George'a. Niemniej jednak, sądząc po późniejszych wydarzeniach jestem zupełnie pewny, że jego myśli musiały biec dokładnie takim samym torem – tyle że w przeciwnym kierunku, oczywiście.

W każdym bądź razie oboje starali się być dla siebie uprzejmi, początkowo niepewnie i z wahaniem, potem jednakże z coraz większą dawką ciepła, która przerodziła się w namiętność, To, co zaczęło się jako przypadkowe spotkania w bibliotece, stało się wizytami w zoo, wieczorami w kinie, jeszcze potem tańcami, aż w końcu to, co ostatecznie miało miejsce określić można jedynie – jeżeli wybaczysz mi mój język – schadzka.

Ludzie zaczęli oczekiwać widoku jednego, kiedy pojawiło się drugie, stali się bowiem nierozłączną parą. Niektórzy z sąsiedztwa wyrzekali co prawda gorzko, że podwójna dawka Oktawiusza i Maggie była czymś więcej, niż oko ludzkie mogło przypuszczalnie znieść, a niejeden z wyniosłych przedstawicieli elit towarzyskich zaczął nosić ciemne okulary.

Nie powiem, bym wykazywał absolutny brak sympatii dla tych ekstremalnych punktów widzenia, ale inni – bardziej tolerancyjni i, być może; bardziej rozsądni – wykazywali, że pewne cechy u jednego były dziwnym przypadkiem całkiem przeciwne do odpowiednich cech u drugiego.

Widok tej dwójki razem wywoływał efekt wzajemnego znoszenia się, stąd razem byli o wiele łatwiejsi do ścierpienia niż każde osobno. Przynajmniej niektórzy tak twierdzili.

W końcu nadszedł dzień, kiedy Maggie wtargnęła do mojego mieszkania i

powiedziała:

–Wujaszku George, Oktawiusz jest światłem i życiem całego mojego istnienia. Jest oddany, silny, poważny, stanowczy i stały. Jest wspaniałym mężczyzną.

–Wewnętrznie, moja droga – zauważyłem – jestem pewny, że istotnie przejawia wszystkie te cechy. Jednakże jego wygląd zewnętrzny jest...

–Cudowny – dokończyła z oddaniem, silnie, stanowczo i poważnie. – Wujaszku George, on czuje w stosunku do mnie to samo, co ja do niego, więc chcemy się pobrać.

–Ty i Otto? – zapytałem słabo. Przed oczyma przemknął mi wizerunek prawdopodobnego rezultatu takiego małżeństwa i poczułem, jak miękną mi kolana.

–Tak – powiedziała. – Powiedział mi, że jestem słońcem jego zachwyty i księżycem jego radości. Potem dodał jeszcze, że jestem wszystkimi gwiazdami jego szczęścia. Jest bardzo poetycki.

–Na to wygląda – odparłem powątpiewająco. – Kiedy zamierzacie się pobrać?

–Tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Tak więc nie pozostało mi nic innego do zrobienia, jak tylko zacisnąć zęby. Dano na zapowiedzi, poczyniono niezbędne przygotowania i odbył się ślub, na którym poprowadziłem pannę młodą do ołtarza. Byli też obecni, chociaż odbierają ów fakt z pewnym niedowierzaniem, wszyscy z najbliższego sąsiedztwa. Nawet pastor pozwolił, aby w pewnej chwili na jego twarzy zagościł wyraz zaskoczenia.

Jednakże nikt z obecnych nie wydawał się spoglądać prosto na młodą parę. Przez cały czas trwania ceremonii wszyscy rozglądali się w różne strony. Wyjątek stanowił pastor. Jego spojrzenie utkwione było sztywno w okno rozetowe nad głównym wejściem do kościoła.

W jakiś czas potem opuściłem tę okolicę, wynajmując nowe lokum w innej części miasta i raczej straciłem kontakt z Maggie. Powróciłem dopiero jedenaście lat później, w związku z lokatą kapitału w badania, jakie mój przyjaciel przeprowadził nad cechami właściwymi dla koni wyścigowych. Wykorzystałem tę okazję, by odwiedzić Maggie, która pomiędzy rozlicznymi, ukrytymi zaletami posiadała i tą, iż była znakomitą kucharką.

Zjawiłem się u niej w porze obiadu. Oktawiusz był w pracy, ale nie miało to znaczenia. Nie jestem człowiekiem samolubnym i z przyjemnością zjadłem jego porcję, jako dodatek do mojej.

Nie mogłem jednak nie zauważyć goszczącego na twarzy Maggie wyrazu smutku.

–Czy jesteś nieszczęśliwa, Maggie? – zapytałem, kiedy podała już kawę. – Czy twoje małżeństwo nie układa się dobrze?

–Och nie, wujaszku George – zaprzeczyła gwałtownie. – Układa się nam jak w niebie. I chociaż pozostajemy bezdziejni, to tak bardzo jesteśmy zajęci sobą, że prawie nie jesteśmy świadomi tej straty. Żyjemy w morzu nieustannej błogości i o nic więcej nie musimy prosić niebios.

–Rozumiem – mruknąłem z lekką irytacją. – Skąd więc ten cień smutku, jaki widzę na twojej twarzy?

Zawahała się na chwilę, a potem wybuchnęła:

–Och, wujaszku George, jesteś takim wrażliwym człowiekiem. Rzeczywiście istnieje jedna rzecz, która sypie piasek w tryby naszej miłości.

–A jest nią?

–Mój wygląd.

–Twój wygląd? A co jest złego... – umilkłem i przełknąłem ślinę niezdolny do dokończenia tego zdania.

–Nie jestem piękna – powiedziała Maggie tonem osoby wyjawiającej właśnie skrywany z dawna sekret.

–Aha! – odparłem jedynie.

–A chciałabym taką być – ze względu na Oktawiusza. Chcę być piękną jedynie dla niego.

–Czyżby czynił jakieś uwagi odnośnie twojego wyglądu? – zapytałem ostrożnie.

–Oktawiusz? Oczywiście, że nie. Znosi swoje cierpienia w szlachetnej ciszy.

–Więc skąd wiesz, że cierpi?

–Mówi mi o tym moje kobiece serce.

–Ależ Maggie, przecież sam Oktawiusz... no cóż, nie należy do specjalnie przystojnych.

–Jak możesz tak mówić? – powiedziała z oburzeniem Maggie. – Jest cudowny.

–Może więc myśli tak samo o tobie.

–Och nie – westchnęła Maggie. – Jak mógłby tak myśleć?

–No cóż, czy interesuje się innymi kobietami?

–Wujku George! – zawołała wstrząśnięta. – Cóż za nikczemna myśl. Doprawdy zaskoczyłeś mnie. Oktawiusz interesuje się wyłącznie mną.

–A więc co to właściwie za różnica, czy jesteś piękna, czy nie?

–Chodzi o niego – odparła. – Och, wujaszku George, chcę być piękna tylko dla niego – i skoczywszy nieoczekiwanie i w raczej bolesny sposób na moje kolana, zmoczyła klapę mojej marynarki łzami. Nim skończyła wreszcie płakać, zdążyła przemoczyć ją do suchej nitki.

Oczywiście miałem już Azazela, dwucentymetrowego demona, o którym być może wspominałem ci przy jakiejś oka... Nie ma potrzeby, stary druhu, mrużyć "aż do mdłości" w tak obrzydliwie lekceważący sposób. Każdy, kto pisze tak jak ty, powinien z zakłopotaniem poruszać temat mdłości w jakimkolwiek połączeniu. W każdym bądź razie przywołałem Azazela.

Przybył pogrążony we śnie. Jego małą głowę zakrywał worek z jakiegoś zielonego materiału, a dowodem że wciąż jeszcze żyje był zduszony, zgrzytliwy dźwięk, wydobywający się gdzieś z jego środka. To, oraz jego muskularny ogon, który na zmianę to sztywniał, to wibrował z cichutkim buczeniem.

Odczekałem kilka minut chcąc, aby przebudził się w sposób naturalny, lecz ponieważ nic na to nie wskazywało, ostrożnie zdjąłem szczypczykami zakrywający jego głowę worek. Jego oczy otworzyły się powoli, a ich spojrzenie ześrodkowało się na mojej twarzy, po czym odniosłem wrażenie, że wyskoczą ze swoich orbit.

–Przez chwilę myślałem, że to jakiś senny koszmar – powiedział z wyrzutem. – Ale nie brałem w rachubę ciebie!

Zignorowałem to dziecinne rozdrażnienie i powiedziałem:

–Jest coś, co chcę, abyś dla mnie zrobił.

–Oczywiście – odparł kwaśno Azazel. – Nie przypuszczasz chyba, że oczekuję, iż istnieje coś, co mógłbyś zrobić dla mnie.

–Zrobiłbym z przyjemnością – powiedziałem uprzejmie – gdyby moje niewielkie zdolności byłyby wystarczające do zrobienia czegokolwiek, co osobie takiego kalibru jak ty przyniosłoby jakikolwiek pożytek.

–Prawda, prawda – przytaknął Azazel. Widać było, że moje słowa mile polechtały jego próżność.

To prawdziwie odrażające, muszę tu dodać, jak bardzo niektórzy osobnicy podatni są na pochlebstwa. Obserwowałem ciebie, na przykład, jak wręcz nie posiadasz się z głupkowatej radości, kiedy ktoś prosi cię o autograf. Ale powróćmy do mojej opowieści...

–O co tym razem chodzi? – zapytał Azazel.

–Życzyłbym sobie, abyś z pewnej młodej kobiety uczynił prawdziwą piękność.

Azazel wzdrygnął się.

–Nie jestem pewien, czy będę mógł się do tego zmusić. Standardy piękna pośród przedstawicieli twojego nadętego i żalosego zarazem gatunku są wręcz ohydne.

–Ale są nasze. Powiem ci, co zrobić.

–Ty będziesz mi mówił, co robić! – wrzasnął piskliwie wibrując ze złości. – Ty będziesz mi mówił, jak stymulować i modyfikować torebki włosów, jak wzmacniać mięśnie, jak poszerzać lub zmniejszać kości? Doprawdy! Powiesz mi to wszystko?

–Oczywiście, że nie – odparłem z pokorą. – Szczegóły operacji, jakiej taki uczynek będzie wymagał, przeprowadzone być mogą jedynie przez osobę o tak nadzwyczajnych zdolnościach, jak twoje. Pozwól mi jednakże powiedzieć, jaki ma być efekt końcowy.

To ponownie go udobruchało, więc mogliśmy zagłębić się w szczegółach.

–Pamiętaj jednak – powiedziałem – że efekty te muszą się urzeczywistniać przez okres co najmniej sześćdziesięciu dni. Zbyt szybka zmiana może wywołać niepotrzebne domysły.

–Czy chcesz przez to powiedzieć – uniósł się Azazel – że mam przez sześćdziesiąt dni waszego czasu nadzorować, poprawiać i korygować? Czy sądzisz, że mój czas jest doprawdy tak niewiele wart?

–Och, ale potem będziesz mógł to opisać w jednym z pism biologicznych twojego świata. Nie jest to zadanie, jakiego wielu z twojego świata miałooby odwagę i cierpliwość, aby się podjąć. W rezultacie będziesz powszechnie podziwiany.

Azazel pokiwał w zamyśleniu głową.

–Płaskie i tanie pochlebstwo – mruknął. – Sądzę jednak, że mam obowiązek

postawienia siebie za wzór podrzędniejszym członkom mojej społeczności – westchnął w nieprzyjemny, świszczący sposób – To bez wątpienia kłopotliwe, niemniej jednak jest to moim obowiązkiem.

Ja także miałem obowiązek. Czułem, że przez cały okres zmian powinienem pozostawać w pobliżu. Mój przyjaciel od wyścigów konnych zaoferował mi u siebie nocleg w zamian za moje doświadczenie i cenne rady podczas kilku biegów próbnych, dzięki czemu stracił bardzo niewiele pieniędzy.

Każdego dnia szukałem jakiejś wymówki, aby zobaczyć się z Maggie i wkrótce zacząłem dostrzegać już pierwsze rezultaty zmian. Jej włosy stały się gęściejsze i zaczęły spływać na ramiona wdzięcznymi falami. Pojawiły się na nich czerwono-żółte błyski, nadając im przepiękny i pożądany połysk.

Stopniowo jej kość szczękowa stawała się coraz bardziej wydatna, a kości policzkowe smuklejsze i bardziej delikatne. Jej oczy nabrały zdecydowanie błękitnego koloru, który z dnia na dzień przeradzał się w odcień prawie fioletowy. Powieki przybrały lekko skośny, orientalny łuk. Uszy stały się bardziej kształtne, o wyraźnych płatkach. Jej figura zaokrągliła się i stała prawie bogata, podczas gdy jej talia zwężyła się.

Ludzie byli oszołomieni. Sam to słyszałem.

–Maggie – mawiali – co ty ze sobą zrobiłaś? Twoje włosy wyglądają po prostu wspaniale. Wyglądasz o dziesięć lat młodziej.

–Niczego nie robiłam – odpowiadała Maggie. Była równie oszołomiona jak pozostali. Za wyjątkiem mnie, oczywiście.

–Czy zauważyłeś we mnie jakąś zmianę, wujaszku George? – zapytała mnie pewnego dnia.

–Wyglądasz zachwycająco – odparłem – ale dla mnie zawsze wyglądałaś zachwycająco, Maggie.

–Być może – powiedziała – ale dla samej siebie nigdy nie wyglądałam zachwycająco, aż do ostatnich kilku dni. Nie rozumiem tego. Wczoraj pewien śmiały, młody mężczyzna odwrócił się, aby za mną popatrzeć. A przecież oni zawsze na mój widok przyśpieszali kroku i zasłaniaли oczy dłońmi. Ten jednakże mrugnął do mnie. Tak mnie to zaskoczyło, że odpowiedziałam mu uśmiechem.

Kilka tygodni później spotkałem jej męża, Oktawiusza przed restauracją, gdy studiowałem wywieszone w jej oknie menu. Ponieważ właśnie do niej wchodził, było dlań sprawą chwili, by zaprosić mnie na obiad, przyjęcie zaś zaproszenia było dla mnie sprawą połowy tej chwili.

–Wyglądasz na nieszczęśliwego, Oktawiuszu – powiedziałem.

–Ponieważ jestem nieszczęśliwy – odparł. – Nie wiem, co ostatnio dzieje się z Maggie. Sprawia wrażenie tak bardzo roztargnionej, że prawie wcale mnie nie zauważa. I bez przerwy chce udzielać się gdzieś towarzysko. A zaledwie wczoraj... – jego twarz przybrała tak bardzo nieszczęśliwy wyraz, że prawie każdy wstydziłby się na ten widok śmiać.

–Wczoraj? – zapytałem. – A cóż się takiego wydarzyło?

–Wczoraj poprosiła mnie, abym nazywał ją Melisandą. Nie mogę nazywać Maggie tak śmiesznym imieniem, jak Melisanda.

–Dlaczego nie? Przecież to imię, jakie otrzymała na chrzcie.

–Ale ona jest moją Maggie. A Melisanda jest kimś obcym.

–No cóż, zmieniła się odrobinę – powiedziałem.

–Nie zauważyłeś, że ostatnimi czasy jakby wypiękniała?

–Tak – odparł krótko Oktawiusz.

–Nie sądzisz, że jest to dla niej dobre?

–Nie – powiedział z większą nawet ostrością w głosie.

–Chcę moją prostą, dawną Maggie. Ta nowa Melisanda zawsze układa sobie włosy i stosuje różne cienie do powiek, bez przerwy zmienia stroje i ozdoby i już prawie wcale ze mną nie rozmawia.

Do końca obiadu nie odezwałem się już ani słowem. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jak zobaczę się z Maggie, i szczerze sobie z nią porozmawiam.

–Maggie – zacząłem.

–Nazywaj mnie Melisanda, proszę – odparła.

–A więc Melisando – powiedziałem. – Odnoszę wrażenie, że Oktawiusz jest nieszczęśliwy.

–Ja także – powiedziała cierpko. – Oktawiusz jest takim nudziarzem. Nigdzie nie chce wychodzić. Nie chce się bawić. Nie podobają mu się moje ubrania, mój makijaż. Co on sobie właściwie wyobraża, że kim u licha jest?

–Przywykł myśleć, że jest królem pomiędzy mężczyznami.

–Tym większym jest głupcem. Jest po prostu brzydkim, małym człowieczkiem, z którym wstydzę pokazywać się publicznie.

–Chciałaś być piękna jedynie dla niego.

–Co to znaczy chciałam być piękna? Ja jestem piękna. Zawsze byłam piękna. To po prostu sprawa dobrania odpowiedniej fryzury i odpowiedniego makijażu. Nie pozwolę, aby Oktawiusz stawał mi na drodze.

I nie pozwoliła. W pół roku później ona i Oktawiusz byli już po rozwodzie, a po następnym pół roku Maggie – czy raczej Melisanda – ponownie wyszła za mąż za powierzchownie przystojnego mężczyznę o nic nie wartym charakterze. Jadłem z nim kiedyś kolację i tak długo wahał się przy płaceniu rachunku, że już się obawiałem, iż będę musiał zapłacić go sam.

Oktawiusza spotkałem około roku po rozwodzie. Pozostał oczywiście nieżonaty, ponieważ wyglądał równie nieatrakcyjnie, jak zawsze i mleko wciąż jeszcze w jego obecności zsiadało. Siedzieliśmy w jego mieszkaniu, pełnym fotografii Maggie – tej starej Maggie – gdzie na każdej wyglądała gorzej niż na poprzedniej.

–Musisz wciąż za nią tęsknić, Oktawiuszu – powiedziałem.

–Okropnie! – przytaknął. – Mogę żywić jedynie nadzieję, że jest szczęśliwa.

–Z pewnych źródeł wnoszę, że raczej nie jest. Być może do ciebie wróci.

Oktawiusz ze smutkiem pokręcił głową.

–Maggie nigdy do mnie nie powróci. Kobieta o imieniu Melisanda być może chciałaby i powrócić, ale nigdy nie mógłbym zaakceptować jej w swoim życiu. Ona nie jest Maggie – moją ukochaną Maggie.

–Melisanda jest o wiele piękniejsza od Maggie – zauważyłem. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się we mnie bez słowa.

–W czyich oczach? – powiedział wreszcie. – Bo z pewnością nie w moich.

Był to ostatni raz, kiedy widziałem którekolwiek z nich.

Przez chwilę siedziałem pogrążony w milczeniu, a potem zauważyłem:

–Wiesz, zdumiewasz mnie, George. Jestem doprawdy poruszony.

Poniewczasie zorientowałem się, że nie były to zbyt fortunne słowa. George skwapliwie to wykorzystał:

–To mi przypomina, stary druhu... Czy mógłbym naciągnąć cię na pięć dolarów na jakiś tydzień? Góra dziesięć dni.

Sięgnąłem do portfela po pięciodolarowy banknot, zawahałem się, a potem powiedziałem:

–Proszę! Ta historia jest tego warta. To prezent dla ciebie. (Dlaczego nie? Wszystkie opowiadania George'a są de facto prezentami dla mnie.)

George przyjął banknot bez żadnego komentarza i włożył go do swego podniszczonego portfela. (Musiał już być zniszczony, kiedy go kupował, bowiem nie widziałem, aby go kiedykolwiek wyjmował.)

–A wracając do tematu – powiedział. – Czy mógłbym naciągnąć cię na pięć dolarów na jakiś tydzień? Góra dziesięć dni.

–Ale przecież masz już pięć dolarów – zauważyłem.

–To są moje pieniądze – odparł George – i nic ci do tego. Czy ja komentuję stan twoich finansów, kiedy pożyczasz pieniądze ode mnie?

–Ależ ja nigdy... – westchnąłem i wręczyłem mu kolejne pięć dolarów.

WIĘCEJ RZECZY NA NIEBIE I

ZIEMI

Podczas obiadu George był niezwykle cichy i nawet nie zawracał sobie głowy przerywaniem mi, gdy podjąłem trud opowiedzenia mu kilku spośród dowcipów, jakie zanotowałem w ciągu ostatnich paru dni. Słyszając moją najlepszą dykteryjkę wykrzywił lekko wargi. To wszystko, co udało mi się uzyskać.

Później przy deserze (ciepłe ciasto z czarną borówką a la mode) pozwolił sobie na ciężkie westchnienie aż z głębin swego brzucha, co w niezbyt przyjemny sposób przypomniało mi o scrampi z krewetek, jakie zjadł wcześniej.

–Co się stało, George? – zapytałem. – Wydaje mi się, że coś chodzi ci po głowie.

–Zdumiewa mnie ten przejaw tak niezwyklej dla ciebie spostrzegawczości. Zazwyczaj jesteś tak pochłonięty swoimi żalnymi, literackimi próbkami, że nie zauważasz cierpień innych.

–Tak, ale skoro już je zauważyłem – odparłem – to nie marnujmy tego wysiłku, jaki mnie to kosztowało.

–Myślałem po prostu o moim starym przyjacielu. Biedaczysko. Nazywał się Wisarion Johnson. Przypuszczam, że nigdy o nim nie słyszałeś.

–Istotnie, nigdy.

–A to wstyd, chociaż sędzę, że nie ma nic haniebnego w pozostaniu nieznanym osobie o tak ograniczonej zdolności widzenia jak twoja. Tak się składa, iż Wisarion był znakomitym ekonomistą.

–Z pewnością jest to jakiś dowcip – powiedziałem.

–Jakim cudem mogłeś zapoznać się z ekonomistą? Brzmi to zbyt ubogo, nawet jak na ciebie.

–Ubogo? Wisarion Johnson był człowiekiem o olbrzymiej wiedzy.

–Nie wątpię w to ani przez chwilę – odparłem.

–Chodzi mi raczej o kwestię uczciwości tej profesji. Słyszałem pewną historyjkę o prezydencie Reaganie, który zaniepokojony stanem budżetu federalnego próbował go skalkulować i zapytał w tym celu fizyka: "Ile jest dwa razy dwa?" "Cztery, panie prezydencie", odparł bez wahania fizyk. Reagan rozważał to przez chwilę, czyniąc

niezbędne obliczenia na palcach, lecz ostateczny wynik nie wydawał się go satysfakcjonować. Zapytał więc statystyka: "Ile jest dwa razy dwa?" Statystyk po krótkim namyśle odparł: "Ostatnie sondaże wśród czwartoklasistów dały wynik w postaci zestawu odpowiedzi, których przeciętna oscyluje w okolicach czwórki."

Ale ponieważ chodziło o budżet, więc Reagan czuł, że musi udać się z tym pytaniem na sam szczyt. Zapytał więc ekonomistę: "Ile jest dwa razy dwa?" Ten zaś opuścił story, rozejrzał się szybko na boki i szepnął: "A jaką odpowiedź chciałby pan usłyszeć, panie prezydencie?"

George nie okazał jednak żadnego rozbawienia.

–To oczywiste, że nie wiesz niczego na temat ekonomii, stary druhu – powiedział.

–Ekonomiści także nie, George – odciąłem się.

–A więc pozwól mi opowiedzieć smutną historię mojego przyjaciela, ekonomisty Wisariona Johnsona. Działo się to kilka lat temu...

Jak już ci nadmieniałem Wisarion Johnson (powiedział George) był ekonomistą, jednym z najlepszych – jeżeli nie najlepszym – w branży. Ukończył Massachusetts Institute of Technology, gdzie nauczył się rozwiązać równania najbardziej zawilego stopnia, i to w dodatku bez drżenia kredy.

Natychmiast po ukończeniu studiów przystąpił do praktyki, a dzięki funduszom pozyskanym od sporej liczby klientów nauczył się całkiem sporo o znaczeniu zmiennej losowej w dziennych kursach na giełdzie papierów wartościowych. Jego zdolności w tym względzie były tak duże, że bardzo niewielu z jego klientów cokolwiek na tym straciło.

Wielokrotnie był dostatecznie śmiały by przewidywać, czy w zależności od dobrych czy złych warunków akcje na giełdzie spadną bądź pójdą w górę i za każdym razem okazywało się, że przewidział trafnie.

Triumfy takie jak te uczyniły go naturalnie sławnym i znany był jako Szakal z Wall Street, zaś jego rady były powszechnie cenione przez wielu najsłynniejszych praktyków sztuki zarabiania szybkiego dolara.

Atoli jego celem było coś większego niż giełda, coś większego niż machinacje finansowe, większego nawet niż możliwość przepowiadania przyszłości. Ni mniej ni więcej pragnął tylko tytułu Głównego Ekonomisty Stanów Zjednoczonych, która to funkcja bardziej jest znana pod nazwą "ekonomicznego doradcy prezydenta".

Ty z twoimi ograniczonymi zainteresowaniami bez wątpienia nie orientujesz się, jak niezwykle delikatna jest pozycja Głównego Ekonomisty. Prezydent Stanów

Zjednoczonych musi podejmować decyzje, które określają rządowe regulacje odnośnie przemysłu i handlu. Musi kontrolować przepływ pieniędzy i banki. Musi sugerować środki, które korzystnie wpłyną na rolnictwo, handel i przemysł. Musi decydować o rozdziale wpływów budżetowych określając, ile z tego pójdzie na wojsko, a jeżeli coś przypadkowo zostanie, to jak to właściwie rozdysponować. We wszystkich tych sprawach o radę zwraca się przede wszystkim do Głównego Ekonomisty.

I kiedy prezydent już się do niego zwróci, Główny Ekonomista musi być w stanie podjąć decyzję natychmiast i dokładnie taką, jaką prezydent pragnie usłyszeć, a także przekazać mu ją z niezbędnymi i pozbawionymi zarazem znaczenia sloganami, które prezydent z kolei mógłby przedstawić opinii publicznej. Kiedy opowiadałeś mi tę historyjkę o prezydencie i ekonomście, stary druhu, przez chwilę myślałem, że rozumiesz delikatną naturę zadania ekonomisty, lecz twój końcowy wybuch śmiechu uświadomił mi, że wcale jej nie rozumiałeś.

Z chwilą ukończenia czterdziestu lat Wisarion osiągnął wszelkie kwalifikacje potrzebne do objęcia każdego stanowiska. Po kuluarach Rządowego Instytutu Ekonomii krążyła pogłoska, że w ciągu ostatnich siedmiu lat Wisarion Johnson ani razu nie powiedział komukolwiek czegoś, czego on lub ona nie chcieliby usłyszeć. A co więcej, przez aklamację dostał się do wąskiego kręgu KMP.

Ty ze swoim doświadczeniem, które nie wykracza poza maszynę do pisania prawdopodobnie nigdy nie słyszałeś o KMP, co jest skrótem Klubu Malejących Przychodów. Chociaż tak naprawdę to bardzo niewielu ludzi słyszało o tym klubie. Nawet znaczna część ekonomistów niższej rangi niczego o nim nie wiedziała. Jest to niewielki i ekskluzywny zespół ekonomistów gruntownie badających powikłane realia ekonomii taumaturgicznej, lub – jak w dość niewdzięczny sposób określił ją jeden z polityków – "ekonomii voodoo".

Wiadomym było powszechnie, iż nikt spoza KMP nie może uzyskać znaczącej pozycji w rządzie federalnym, podczas gdy członkowie klubu mają na to olbrzymią szansę. Tak więc gdy dotychczasowy przewodniczący KMP dość nieoczekiwanie wyzionął ducha, a zarząd klubu zwrócił się do Wisariona z propozycją objęcia tego stanowiska, jego serce zabiło żywszym rytmem. Jako przewodniczący bez wątpienia otrzymałby nominację na Głównego Ekonomistę przy najbliższej nadarzającej się okazji, co ustawiłoby go przy samym sterze władzy, bowiem kierowałby ręką prezydenta dokładnie tak, jak ten by sobie tego życzył.

Jednakże jedna rzecz niepokoiła Wisariona, stawiając go przed straszliwym dylematem. Uznawszy, że potrzebuje pomocy osoby o otwartej głowie i nieprzeciętnej inteligencji zrobił to, co w podobnej sytuacji uczyniłby bez wątpienia każdy – zwrócił się z tym problemem do mnie.

–George – powiedział – stanowisko przewodniczącego KMP jest spełnieniem wszystkich moich największych nadziei i najszańszych marzeń. To otwarta brama ku olśniewającej przyszłości w ekonomicznych pochlebstwach, w których prześcignąć mógłbym nawet drugiego potakiwacza prezydenta – Głównego Naukowca Stanów Zjednoczonych.

–Chcesz przez to powiedzieć "naukowego doradcę prezydenta" – uściśliłem.

–Jeżeli chcesz być tak bardzo formalny, to tak. Jedyne co muszę zrobić, to przyjąć funkcję przewodniczącego KMP, a w ciągu dwóch lat bez wątpienia zostanę Głównym Ekonomistą. Chyba że...

–Że co? – chciałem wiedzieć.

Wisarion wydawał się twardo nad sobą panować.

–Muszę cofnąć się do początków. Klub Malejących Przychodów powołany został do życia sześćdziesiąt dwa lata temu, a jego nazwa pochodzi od Prawa Malejących Przychodów, które to prawo znane jest wszystkim ekonomistom bez względu na szczebel. Pierwszy przewodniczący, ukochany przez wszystkich człowiek, który przewidział listopadowy krach na giełdzie w 1929 roku, w kolejnych głosowaniach wybierany był na to stanowisko rok po roku i piastował je przez trzydzieści dwa lata, aż do swojej śmierci w patriarchalnym wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat.

–To bardzo chwalebne z jego strony – zauważyłem. – Tak wielu ludzi poddaje się za wcześnie, a przecież jedyne, co trzeba posiadać, aby osiągnąć tak piękny wiek, to siła charakteru i determinacja.

–Nasz drugi przewodniczący radził sobie prawie równie dobrze utrzymawszy się na stanowisku przez szesnaście lat. Był jedynym, który nie został Głównym Ekonomistą. Zasługiwał na to w pełni i nawet wyznaczony już był na to stanowisko przez Thomasa E. Dewey'a na dzień przed wyborami, ale jakoś... Nasz trzeci przewodniczący zmarł po piastowaniu tego stanowiska przez osiem lat, a czwarty po czterech. Nasz ostatni przewodniczący, który zmarł zaledwie w zeszłym miesiącu, obejmował to stanowisko przez dwa lata. Czy dostrzegasz w tym coś dziwnego, George?

–Dziwnego? Czy oni wszyscy zmarli śmiercią naturalną?

–Oczywiście.

–A więc zważywszy na stanowisko, jakie zajmowali, to właśnie wydaje się dziwaczne.

–Nonsens – odparł z pewną ostrością w głosie Wisarion. Zwróć uwagę na długość

okresów, w jakich sprawowali tę funkcję: trzydzieści dwa, szesnaście, osiem, cztery i dwa.

–Liczby te wydają się maleć – powiedziałem po chwili namysłu.

–Nie tylko to. Każda cyfra jest dokładnie połową poprzedniej. Możesz mi wierzyć, dałem to do sprawdzenia fizykom.

–Wiesz, chyba masz rację. Czy mówiłeś o tym jeszcze komuś?

–Oczywiście – odparł Wisarion. – Pokazywałem te cyfry moim kolegom z klubu, a oni wszyscy stwierdzili, że nie jest to statystycznie znaczące, chyba że przewodniczący wyda odpowiednią proklamację, że jest. Ale czyż nie dostrzegasz implikacji tego wszystkiego? Jeżeli przyjmę stanowisko przewodniczącego, po roku umrę. To pewne. A jeżeli tak się stanie, to raczej trudno będzie prezydentowi desygnować mnie na stanowisko Głównego Ekonomisty.

–Tak, Wisarionie. Rzeczywiście masz dylemat – powiedziałem. – Znam wielu urzędników państwowych nie wykazujących śladu życia umysłowego, ale żadnego, który nie wykazywałby śladu życia w ogóle. Daj mi dzień na przemyślenie tego wszystkiego, dobrze?

Umówiliśmy się więc na następny dzień, w tym samym czasie i w tym samym miejscu. Ostatecznie była to doskonała restauracja, a Wisarion, stary druhu, w przeciwieństwie do ciebie nie żałował mi kromki chleba. – No dobrze, a zatem nie żałował mi także scampi z krewetek.

Najwyraźniej była to sprawa dla Azazela, ja zaś czułem się zupełnie usprawiedliwiony powierzając ją mojemu dwucentymetrowemu demonowi o pozaziemskich umiejętnościach.

Wisarion nie był przecież jedynie uprzejmym mężczyzną o dobrym guście w doborze restauracji – uczciwie czułem, że może oddać naszemu narodowi olbrzymią przysługę potwierdzając zamiary prezydenta, pomimo sprzeciwów ludzi o lepszym osądzie. Bo ostatecznie któż bowiem wybrał ich?

Azazel jak zwykle nie był zadowolony z wezwania. Gdy tylko mnie zobaczył, z jego maleńkich dłoni wypadły jakieś przedmioty. Były zbyt małe, abym mógł przyjrzeć się im dokładnie, ale przypominały niewielkie tekturowe prostokąty o dziwnym wzorze.

–No i proszę! – wrzasnął piskliwie. Jego maleńka twarzyczka była wykrzywiona ze złości i nabrała niezdrowego, żółtego koloru. Niewielki ogon wił się dziko a miniaturowe rogi na czole pod wpływem targających nim emocji silnie wibrowały.

–Czy wiesz, ty nędzna kupo mierności – gorączkował się piskliwie – że w końcu miałem w ręku zotchila; i to nie takiego sobie zwykłego zotchila, ale zotchila z wysokim cuminem i parą reilsów do poparcia. Wszyscy zaliczyli i nie mogłem przegrać. Jak nic zgarnąłbym wszystkie półbleczki ze stołu.

–Nie wiem o czym mówisz – powiedziałem surowo – ale brzmi to tak, jakbyś oddawał się hazardowi. Czy jest to wyszukane i cywilizowane? Co powiedziała by twoja biedna matka, gdyby widziała, że marnujesz czas na gry hazardowe z grupą próżniaków?

Przez chwilę miałem wrażenie, że zapomniał języka w gębie. W końcu wymamrotał:

–Masz rację. Moim matkom złamałoby to serce. Wszystkim trzem. A szczególnie mojej biednej średniej matce, która tak wiele dla mnie poświęciła – i zaniósł się cienkim, acz przez to nie mniej przeraźliwym wyciem.

–No już, już – powiedziałem uspakajająco. Zapragnąłem zatkać uszy dłońmi, wiedziałem jednak, że to by go uraziło. – Możesz wszystko naprawić pomagając na tym świecie jakiejś wartościowej osobie.

I opowiedziałem mu historię Wisariona Johnsona.

–Hmm – mruknął Azazel.

–Co to znaczy? – zapytałem ciekawie.

–Znaczy to "hmm" – prychnął Azazel. – A co jeszcze miałyby znaczyć?

–Czy sądzisz więc, że wszystko to jest jedynie zwykłym zbiegiem okoliczności, i że Wisarion powinien to zignorować?

–Możliwe, że nie jest to wcale zbieg okoliczności i dlatego Wisarion nie waży się tego ignorować. Być może jest to skutek działania prawa natury.

–Jakim cudem może to być prawo natury?

–Czy sądzisz, że wiesz wszystko o prawach natury?

–Oczywiście że nie!

–No właśnie. Nasz wielki poeta Cheefprest napisał kiedyś na ten temat przepiękny dwuwiersz, który, z moją wrodzoną poetycką wrażliwością, postaram się przełożyć na wasz barbarzyński język.

Zamyślił się na chwilę, odchrząknął i zadeklamował:

Cała natura jest tylko sztuką, dla ciebie nieznaną;

W mnogości przypadków przez ciebie niewidzianą.

–Co to właściwie znaczy? – zapytałem podejrzliwie.

–To znaczy, że gdy w grę wchodzi prawo natury, to musimy dowiedzieć się, jakie ono jest i czy zmodyfikowanie wydarzeń do naszych gustów mogłoby nam przynieść jakąś korzyść. Oto, co to oznacza. Czy uważasz, że wielki poeta mojego ludu mógłby kłamać?

–Raczej nie. Czy możesz więc coś na to poradzić?

–Możliwe. Musisz jednak wiedzieć, że istnieje całe mnóstwo praw natury.

–Całe mnóstwo?

–Oczywiście. Istnieje na przykład ciekawe prawo – diabelnie pociągające gdy zastosować je z tensorami Weinbaumiana – regulujące ciepłotę zupy w stosunku do pośpiechu, z jakim masz ją skończyć. Jest zatem możliwe – o ile na to dziwaczne zmniejszanie się okresu sprawowania funkcji przewodniczącego wpływa prawo, jakie myślę, że wpływa – iż będę w stanie tak zmienić naturę twojego przyjaciela, aby zabezpieczyć go przed każdym rodzajem nieszczęścia, jakie spotkać go może na Ziemi. Nie oznacza to, oczywiście, że nie będzie podatny na proces degradacji fizjologicznej. To, co zamierzam sprawić, nie uczyni go nieśmiertelnym, ale przynajmniej będzie miał pewność, że nie zapadnie na jakąś śmiertelną chorobę bądź zginie w wypadku. Sądzę, że powinno go to zadowolić.

–W zupełności. Czy mógłbyś mi jeszcze powiedzieć, kiedy dokonasz tej modyfikacji?

–Nie jestem pewien. Ostatnio zajęty jestem pewną młodą przedstawicielką mojego gatunku, która wydaje się być niesamowicie wręcz we mnie zadurzona – ziewnął, a jego mały, rozwidlony język zwinął się w spiralkę i wyprostował ponownie. – Jestem trochę niewyspany. Lecz mniemam, że za jakieś dwa lub trzy dni wszystko będzie gotowe.

–No dobrze, ale w jaki sposób poznam, że efekty będą zgodne z zamierzeniami?

–To proste – odparł Azazel. – Odczekaj kilka dni, a potem wepchnij swego przyjaciela pod rozpędzoną ciężarówkę. Jeżeli wyjdzie z tego bez szwanku, będzie to oznaczało, że moje modyfikacje działają. A teraz, o ile nie masz nic przeciwko temu, chciałbym dokończyć to rozdanie. Potem pomyślę o mojej biednej, średniej matce i odejdę od stołu. Z wygraną, oczywiście.

Tylko niech ci się nie wydaje, że nie miałem kłopotów z przekonaniem Wisariona, iż od tej chwili jest absolutnie bezpieczny.

–Nic na Ziemi nie może wyrządzić mi żadnej krzywdy? – powtarzał bez końca. – Skąd u licha wiesz, że nic na Ziemi nie może wyrządzić mi żadnej krzywdy?

–Po prostu wiem. Ja nie poddaję w wątpliwość twoich kwalifikacji zawodowych. Jeżeli mówisz mi, że stopy procentowe spadną, to nie używani wybiegów i nie pytam, skąd wiesz.

–No i bardzo dobrze, ale jeżeli mówię, że stopy procentowe spadną a one zamiast tego wzrosną – a dzieje się tak nie częściej, jak w połowie wypadków – to wtedy urażone są jedynie twoje uczucia. Jeśli jednak działałem przeświadczeniem, że nic na Ziemi nie może wyrządzić mi żadnej krzywdy, a potem coś mi się jednak przytrafi, będzie to coś więcej niż urażone uczucia. Mogę zostać ranny. Wiadomo, że z logiką nie można dyskutować, ja jednak próbowałem. W końcu udało mi się przynajmniej go przekonać, aby nie odmawiał kategorycznie objęcia funkcji przewodniczącego i tylko spróbował kilka dni odczekać.

–Oni nigdy nie zaakceptują zwłoki – powiedział, lecz na szczęście okazało się, że tego właśnie dnia zaczynają się coroczne obchody Czarnego Piątku i cały klub oddał się trzydniowej żałobie oraz modlitwom za zmarłych. Zwłoka wynikała więc niejako automatycznie i już samo to wstrząsnęło Wisarionem sprawiając, iż rzeczywiście zaczął rozmyślać o swoim życiu w kategoriach rzucanego nań uroku.

Pod koniec okresu żałoby, kiedy ponownie rzucił się w wir spraw doczesnych, przechodziłem razem z nim na drugą stronę ruchliwej ulicy i – sam nie bardzo pamiętam, jak to się właściwie stało – nachyliwszy się, aby zawiązać sznurowadło, jakoś straciłem równowagę i zatoczyłem się na niego, po czym on z kolei stracił równowagę i zatoczył się pod przejeżdżające samochody. Nagle rozpętało się piekło piszczących hamulców, pisku opon i trzy samochody złączyły się w jeden.

Wisarion nie wyszedł z tego tak całkowicie bez szwanku. Jego włosy były odrobinę rozczochrane, okulary lekko przekrzywione, a nad prawym kolaniem spodni widniała plama oleju.

On jednak wydawał się nawet tego nie zauważać. Wpatrując się w pobojuwisko powtarzał ze zdumieniem i grozą zarazem:

–Nawet mnie nie dotknęły. Mój Boże, one nawet mnie nie dotknęły.

Zaraz następnego dnia złapał go brzydki, zimny deszcz – a był wtedy bez kaloszy, płaszcza i parasolki – i nawet nie dostał kataru. Nie zawracając sobie nawet głowy wysuszeniem włosów zadzwonił do klubu i przyjął oferowane mu stanowisko przewodniczącego.

Muszę przyznać, że jego kadencja była bardzo udana. Jego honorarium prawie natychmiast wzrosło aż pięciokrotnie i to bez żadnych takich nonsensów w rodzaju zwiększenia tempa prognozowania. Ostatecznie klient nie może oczekiwać, że będzie miał wszystko. Jeżeli skutkiem konsultacji z takim profesjonalistą jego prestiż rośnie, to czyż może domagać się sensownie lepszej rady także?

Co więcej, Wisarion zaczął w pełni cieszyć się życiem. Żadnych przeziębień. Żadnych wirusów. Przechodził przez ulice całkowicie bezkarnie, nierzadko ignorując nawet światła na skrzyżowaniach, a mimo to liczba wypadków, które w ten sposób spowodował, była stosunkowo niska. Bez wahania wchodził w środku nocy do parku, a kiedy pewnego razu jakiś chuligan przyłożył mu nóż do piersi i zaproponował transfer gotówki, Wisarion po prostu kopnął niewydarzonego finansistę w czułe miejsce i poszedł dalej. Rzeczony chuligan został tym tak zaskoczony, że nawet nie przyszło mu do głowy ponowić propozycję.

Nasze następne spotkanie odbyło się na parkingu, w rocznicę jego sukcesji na stanowisku przewodniczącego. Właśnie wybierał się na wydany z tej okazji okolicznościowy bankiet. Był przepiękny, ciepły dzień indiańskiego lata, więc kiedy usiedliśmy obok siebie na ławce w parku obaj byliśmy odprężeni i zadowoleni z życia.

–George – powiedział. – To był dla mnie szczęśliwy rok.

–Cieszę się – odparłem zgodnie z prawdą.

–Moja reputacja jest wyższa niż któregokolwiek żyjącego do tej pory ekonomisty. Zaledwie w zeszłym miesiącu, kiedy przestrzegałem, że Scalone Mydliny będą musiały połączyć się ze Skonsolidowanymi Mydłami, a kiedy zostały zmuszone do dokonania fuzji ze Zjednoczonymi Mydłami, wszyscy zachwycali się jak bardzo byłem bliski w swoich prognozach.

–Pamiętam.

–A teraz chcę, żebyś był pierwszym, który się dowie...

–Tak, Wisarionie?

–Prezydent właśnie poprosił mnie o objęcie stanowiska Głównego Ekonomisty Stanów Zjednoczonych, dzięki czemu wszystkie moje marzenia i pragnienia zostały wreszcie spełnione. Spójrz tutaj.

Wydobył z kieszeni imponującą kopertę, opatrzoną w lewym górnym rogu nadrukiem "Biały Dom". Kiedy ją otwierałem, usłyszałem dziwaczne bzzz, zupełnie jakby tuż obok mojego ucha przemknęła kula. Kącikiem oka dostrzegłem błysk światła.

Wisarion siedział rozwalony bokiem na ławce – przód jego koszuli znaczyły plamy krwi. zaś on sam najwyraźniej był martwy jak głaz. Część przechodzących obok ludzi zatrzymała się i spoglądała na niego w zdumieniu, inni krzyczeli i uciekali jak najdalej.

–Wezwijcie lekarza! – zawołałem. – Zadzwońcie po policję!

Rzeczywiście, wkrótce potem nadjechali i pierwsze orzeczenie brzmiało: Zamordowany strzałem prosto w serce, kulą niewiadomego kalibru, wystrzeloną przez jakiegoś obłąkanego snajpera. Nigdy nie schwytano tego snajpera, nie mówiąc już o odnalezieniu kuli. Na szczęście znalazł się świadek, który zeznał, że w fatalnej chwili trzymałem w dłoniach list i nie mogłem popełnić tego czynu, inaczej bowiem czekałyby mnie niezbyt przyjemne emocje.

Biedny Wisarion! Był przewodniczącym zaledwie przez jeden rok, tak jak sam się tego obawiał, a jednak nie było nie będzie w stanie go zabić, ale jak powiedział to kiedyś mądrze Hamlet: "Jest więcej rzeczy na niebie i ziemi, Horatio. niż śniło się o tym naszym filozofom."

Zanim jeszcze przybyła policja i lekarze, w drewnianym oparciu ławki za Wisarionem dostrzegłem niewielką dziurkę. Posługując się scyzorykiem, ostrożnie wydlubałem tkwiący weń niewielki, ciemny obiekt. Był wciąż jeszcze ciepły. Kilka miesięcy później oddałem go badaniu do muzeum i okazało się, że miałem rację. Był to meteoryt.

Mówiąc pokrótce, Wisariona nie zabiło nic ziemskiego. Jest za to pierwszą znaną historii osobą, zabita przez meteoryt. Utrzymywałem to oczywiście w absolutnej tajemnicy, ponieważ Wisarion był człowiekiem skrytym i z pewnością nie ścierpiałby nabytego w ten sposób rozgłosu. Bez wątpienia zaćmiłoby to jego wszystkie dokonania na polu ekonomii, a ja nie mogłem do tego dopuścić.

Lecz w każdą rocznicę jego nominacji i zarazem śmierci – tak jak dzisiaj – siadam i myślę: Biedny Wisarion! Biedny Wisarion!

George otarł oczy chusteczką, a ja powiedziałem:

–A co stało się z kolejną osobą na stanowisku przewodniczącego? Musiał piastować to stanowisko przez pół roku, przez trzy miesiące, jeszcze następny...

–Doprawdy nie ma powodu – przerwał cierpko George – abyś popisował się przede mną swoją wiedzą z zakresu wyższej matematyki, stary druho. Nie jestem jednym z twoich biednych, cierpiących męki czytelników. Nic się takiego nie wydarzyło. Cała ironia polega na tym, że klub zmienił prawo natury na własną rękę.

–Doprawdy? Jakim to właściwie sposobem?

–Członków uderzyło, że nazwa klubu – Klub Malejących Przychodów – jest nazwą

typowo złowróżbną, kontrolującą długość kadencji osoby przewodniczącego. Zmienił więc po prostu inicjały i z KMP powstało KPM.

–A co znaczy KPM? – zapytałem.

–Klub Przypadkowych Mianowań, oczywiście – odparł George. – Kolejny przewodniczący sprawuje tę funkcję od dziesięciu lat i nadal cieszy się doskonałym zdrowiem.

W tej właśnie chwili zjawił się kelner z moją resztą. George nakrył ją chusteczką, potem zarówno chusteczkę jak i resztę włożył do kieszeni na piersi, wstał i skinąwszy mi jowialnie dłonią wyszedł.

USPOSOBIENIE DUSZY

Tego ranka znajdowałem się w nastroju wybitnie filozoficznym. Kiwając głową nad pewnym ponurym wspomnieniem, powiedziałem:

–Nie sposób z oblicza dociec usposobień duszy. Ja w tym człowieku pokładałem ufność najzupełniejszą, nieograniczoną.

Był raczej chłodny, niedzielny poranek i razem z George'em siedzieliśmy przy stoliku w lokalnym Bagel Nosh. George, jak pamiętam, kończył właśnie drugi sezamkowy bagel, hojnie obłożony kremowym serem i rybą.

–Czy to coś z jednej z twoich historyjek, jakimi bezustannie zamęczasz co mniej bystrych wydawców? – zapytał.

–Tak się składa, że to Szekspir – odparłem. – A dokładniej, jest to cytat z Makbeta.

–No tak, zapomniałem o twoich skłonnościach do drobnych plagiatów.

–Wyrażenie samego siebie w odpowiednim cytacie wcale nie jest plagiatem. A chciałem przez to jedynie powiedzieć, że miałem przyjaciela, którego uważałem za człowieka rozważnego i o dobrym smaku. Fundowałem mu kolacyjki. Czasami pożyczalem mu pieniądze. Rozpływałem się w pochwałach nad jego wyglądem i charakterem. I wyobraź sobie, robiłem to wszystko bez żadnego baczenia na fakt, iż z zawodu był krytykiem literackim – o ile oczywiście zechcesz nazwać coś takiego zawodem.

–Aż przyszedł czas – powiedział George – kiedy pomimo wszystkich tych bezinteresownych działań przyjaciel ten napisał recenzję o jednej z twoich książek, nielitościwie mieszając ją z błotem?

–Och – wyrwało mi się. – Czytałeś tę recenzję?

–Wcale nie. Po prostu zapytałem samego siebie, jakie recenzje twoje książki prawdopodobnie otrzymują i prawidłowa odpowiedź pojawiła się natychmiast.

–Nie miałem mu za złe samego twierdzenia, że nie jest to dobra książka – a przynajmniej nie bardziej, niż jakikolwiek inny pisarz miałby mu za złe takie bezmóźnie stwierdzenie – ale kiedy zaczął stosować takie sformułowania, jak "starcze otępienie", uznałem, iż posunął się za daleko. A już stwierdzenie, że książka ta przeznaczona była dla ośmiolatek, ale większym pożytkiem byłaby dla nich gra w pchełki niż jej czytanie, było już stanowczo ciosem poniżej pasa – westchnąłem i powtórzyłem. – Nie sposób z oblicza...

–Już to mówiłeś – przerwał George.

–A wydawał się taki miły, taki przyjacielski, taki wdzięczny za te niewielkie uprzejmości. Skąd mogłem wiedzieć, że w głębi swojej istoty jest złośliwym, oszczerczym draniem?

–Ostatecznie jest przecież krytykiem – odparł George. – Jak może więc być kimś innym? Pchasz się na afisz oczerniając nawet własną matkę. To doprawdy niewiarygodne, że w tak śmieszny sposób wystrychnięty zostałeś na dudka. Jesteś pod tym względem gorszy, niż mój przyjaciel Vandevanter Robinson, o którym mówiono jako o bardzo prawdopodobnym kandydacie do Nagrody Nobla dla Naiwnych. Jego historia jest niezwykle ciekawa...

–Proszę – przerwałem mu – ta recenzja ukazała się w ostatnim New York Review of Books – pięć kolumn gorzkiego humoru, jadu i żółci. Nie jestem w nastroju do wysłuchiwania twoich historyjek.

Podejrzywałem, że tak właśnie odpowiesz (powiedział George), ale nie masz racji. Oderwie cię to przynajmniej od rozmyślań nad własnymi banalnymi kłopotami.

Mój przyjaciel Vandevanter Robinson był młodym mężczyzną, któremu każdy przepowiedziałby wspaniałą przyszłość. Był przystojny, kulturalny, inteligentny i twórczy. Uczęszczał do najlepszych szkół i był zakochany w prześlicznym, młodym stworzeniu o nazwisku Minerwa Shlump.

Minerwa należała do grona moich chrześniaczek i była bardzo do mnie przywiązana, jak to jedynaczka. Osoba o mojej kryształowej moralności bardzo niechętnie pozwalała młodym damom o znakomitych proporcjach na uściski bądź siadywanie na kolanach, lecz w Minerwie było coś tak przymilnego, tak niewinnie dziecięcego i – a raczej przede wszystkim – tak sprężystego przy dotyku, że w jej przypadku szedłem na ustępstwa.

Oczywiście nie pozwalałem na to nigdy w obecności Vandevantera, ponieważ w swej zazdrości bywał czasami całkowicie nieodpowiedzialny.

Pewnego razu powiedział mi o swej miłości w sposób, który głęboko poruszył moje serce.

–George – wyznał był mianowicie – już od dzieciństwa moją ambicją było zakochać się w młodej kobiecie o najwyższych cnotach, o nieskalanej czystości, o – jeżeli mogę użyć takiego określenia – porcelanowym blasku niewinności. W Minerwie Shlump – o ile wolno mi wymawiać jej boskie imię – odnalazłem taką właśnie kobietę. To jedyny przypadek, o którym wiem, że nie mogę zostać oszukany. Bowiem gdybym kiedykolwiek stwierdzili że moja wiara wystawiona została na szwank, to nici bardzo wiedziałbym, jak dalej żyć. Stałbym się zgorzkniałym, starym człowiekiem bez żadnej

pociechy, prócz marnych szczegółów jak mój dworek, moja służba, mój klub i moje odziedziczone bogactwo.

Biedaczyna. Rzeczywiście nie pomylił się co do młodej Minerwy – o tym akurat doskonale wiedziałem, chociażby po uciesznym sposobie, w jakim wpraszała się na moje kolana. Powiedziałbym, że nie było w niej absolutnie żadnego śladu jakiegokolwiek występku. Niestety, była to jedyna osoba, rzecz lub myśl, przez którą nie został oszukany. Ten biedny młody mężczyzna nie posiadał po prostu własnej opinii. Był – chociaż może wydać się ci to niegrzeczne – tak samo głupi jak ty. Brakowało mu sztuki odkrywania... Tak, wiem, że już to mówiłeś. Zgoda, nawet dwukrotnie.

Dla niego ów defekt można określić jako szczególnie uciążliwy, albowiem tak się złożyło, że był rekrutem w policji miasta Nowy Jork.

Zostać detektywem zawsze było dla niego życiową ambicją (prócz znalezienia doskonałej damy, oczywiście). Pragnął zostać jednym z tych obdarzonych bystrym okiem i jastrzębim nosem panów, siejących przerażenie i popłoch wśród tych, którzy sięją zło na całym świecie. Z takim to szczytnym celem na myśli ukończył kryminologię zarówno w Groton, jak i Harvardzie, a także wytrwale studiował wszystkie skomplikowane sprawy, przelane na papier przez takie uznane autorytety, jak sir Artur Conan Doyle i Pierwsza Dama Zbrodni Agata Christie. To wszystko, łącznie z niestrudzonym wykorzystywaniem rodzinnych wpływów, a także fakt, iż jego wuj był wtedy przewodniczącym okręgu wyborczego Queens, doprowadziło go w końcu do wymarzonej pracy w policji w sposób tyleż bolesny, co całkowicie nieoczekiwany, nie odnosił w niej żadnych zgoła sukcesów, Chociaż nieprześcigniony w umiejętności tworzenia – siedząc we własnym fotelu – misternych łańcuchów nieodpartej logiki, to jednak był całkowicie niezdolny do gromadzenia dowodów samodzielnie.

Jego problem polegał na tym, że bez zastrzeżeń wierzył we wszystko, co mu ktokolwiek powiedział. Jakiegokolwiek alibi, nawet dziurawe jak rzeszoto, natychmiast zbijało go z tropu. Każdy doskonale wszystkim znany krzywoprzysięzca potrzebował dać mu jedynie słowo honoru, a Vandevanter nie znajdował w sobie siły, by w nie wątpić.

Stało się to tak notoryczne, że wszyscy kryminaliści – od najdrobniejszych złodziei kieszonkowych, po grube ryby ze świata polityki i biznesu – odmawiali składania zeznań przed kimkolwiek innym.

–Sprowadźcie Vandevantera! – wołali.

–Otworzę przed nim duszę – mawiał złodziej torebek.

–Powiadomię go o faktach, które sam osobiście i troskliwie ułożyłem w odpowiednim porządku – zapewniał polityk,

–Wyjaśnię, że ten rządowy czek na sto milionów dolarów całkiem przypadkowo znalazł się w szufladzie kasy, kiedy potrzebowałem wręczyć napiwek pucybutowi – twierdził przemysłowiec.

W rezultacie czegokolwiek Vandevanter dotknął, wymykało mu się to z rąk. Posiadał uwalniający od winy kciuk – wyrażenie wymyślone specjalnie na tę okazję przez mojego przyjaciela literata. (Oczywiście, że tego nie pamiętasz – nie mówię przecież o tobie. Czy byłbym na tyle szalony, aby uważać za "literata" ciebie?)

Wraz z upływem miesięcy liczba spraw w sądach malała, a niezliczona ilość zmartwionych włamywaczy, złodziei i podobnych przestępców powracała na łono rodziny tudzież przyjaciół bez żadnej skazy na reputacji.

Naturalnie nie trzeba było dużo czasu, by co bystrzejsi w Nowym Jorku zrozumieli sytuację i zgłębili jej przyczynę. Vandevanter pracował nie dłużej, jak dwa i pół roku, kiedy zaświtało mu, że poczucie koleżeństwa, do którego się już przyzwyczał zaczyna zanikać, a jego zwierzchnicy nabrali zwyczaju witania go z zakłopotanym wyrazem twarzy. Oczywiście nie było mowy o żadnym awansie, choć Vandevanter w odpowiednich wydawało się chwilach wspominał o swoim wujku.

Przyszedł do mnie tak samo, jak ma to w zwyczaju robić wielu będących w kłopotach młodych mężczyzn, szukających rady i pomocy u człowieka światowego. (Nie wiem, mój drogi, co miało znaczyć to pytanie, czy znam kogokolwiek, kogo mógłbym zarekomendować. Na przyszłość proszę, abyś nie rozpraszał mnie błędnymi wnioskami.)

–Wujku George – powiedział. – Sądzę, że znalazłem się w poważnych tarapatach. (Zawsze zwracał się do mnie per wujku George, pozostając pod wrażeniem dostojności i okazałej szlachetności, jakiej nadawały mi moje doskonale utrzymane białe loki – tak odmienne w naturze od twoich podejrzanych i niechlujnych bokobrodów.)

–Wujku George – mówił dalej – wydaje się istnieć jakaś niezrozumiała niechęć do awansowania mnie w pracy. Wciąż pozostaję młodszym detektywem, czyli mój status jest najniższy z możliwych. Moje biuro znajduje się dokładnie pośrodku korytarza, a mój klucz nie pasuje do ubikacji. Samo w sobie nie przeszkadza mi to, ale moja droga Minerwa, w swej niezepsutej szczeroci zasugerowała, że być może dzieje się tak dlatego, ponieważ jestem niekompetentny i na samą tę myśl jej małe serduszkoomal nie pękło. "Nie chcę być żoną kogoś niekompetentnego" – powiedziała odymając swe prześliczne wargi. – "Ludzie śmieliby się ze mnie".

–Czy istnieje jakiś powód, dla którego mógłbyś mieć te problemy, drogi chłopcze? – zapytałem.

–Nie ma żadnego. Dla mnie samego jest to całkowitą zagadką. Przyznaję, że jak dotąd nie rozwiązałem żadnej sprawy, ale nie sądzę, aby akurat to stanowiło problem. Przecież od nikogo nie można wymagać, aby rozwiązywał je wszystkie, prawda?

–A czy inni detektywi rozwiązywali przynajmniej po parę spraw?

–Owszem, od czasu do czasu im się to zdarza, ale sposób, w jaki tego dokonują, przenika mnie zgrozą do szpiku kości. Wszyscy oni posiadają ten paskudny nawyk niedowierzania i godnego ubolewania sceptycyzmu. We wstrętny sposób wpatrują się w oskarżonego podejrzliwie i mówią tylko: "No jasne!" albo "To ty tak mówisz!". To ich po prostu upokarza. Z całą pewnością nie jest to prawdziwie amerykański sposób postępowania.

–A czy jest możliwe, że oskarżeni mogą mówić kłamstwa i dlatego powinni być traktowani z odpowiednim sceptycyzmem?

Vandevanter przez chwilę łamał sobie nad tym głowę.

–No cóż, wydaje mi się, że czasami rzeczywiście mogą tak robić. Ale cóż to za okropna myśl!

–Daj mi kilka dni do namysłu – odparłem. – Zobaczymy, co się da zrobić.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem przywołałem Azazela, dwucentymetrowego demona, którego tajemnicze umiejętności były dla mnie przy jednej czy dwóch okazjach niezwykle użyteczne. Nie wiem, czy wspominałem ci o nim kiedykolwiek, ale... – Och, wspominałem przecież, nieprawdaż?

No więc pojawił się pośrodku ustawionego na moim biurku kręgu z kości słoniowej, dookoła którego palę specjalne zioła i odmawiam starożytne inkantacje – szczegóły jednakże pozostawię w sekrecie.

Gdy wreszcie przybył, ubrany był w długą, powiewającą togę: a przynajmniej wyglądała na długą i powiewającą, zważywszy jego dwa centymetry, jakie mierzył od nasady ogona do koniuszków rogów na czole. Jedno ramię trzymał uniesione sztywno w górze i mówił coś swoim piskliwym głosem, podczas gdy jego ogon skręcał się z boku na bok.

Było oczywiste, że znajdował się w samym środku tego czy owego. Jest stworem, który w dziwny sposób zawsze zajęty jest czymś mało ważnym. Jakoś nigdy jeszcze nie udało mi się przywołać go w chwili, w której pogrążony byłby w pełnym

dostojeństwa spoczynku. Zawsze wplątany jest w coś nie cierpiącego zwłoki i nieodmiennie wpada we wściekłość, że mu przeszkadzam.

Tym razem jednak przybył świadomy mojej obecności i natychmiast opuścił rękę i uśmiechnął się. A przynajmniej wydawało mi się, że jest to uśmiech, ponieważ z powodu maleńkości jego twarzy trudno rozróżnić takie szczegóły. Kiedyś, gdy użyłem w tym celu lupy, ogromnie się na mnie obraził.

–Wystarczy – powiedział. – Jakaś przerwa może być nawet przyjemna. Przemówienie mam już przygotowane i jestem pewien sukcesu.

–Sukcesu w czym, o Niezrównany? Przecież sukces we wszystkim, czego byś się nie podjął, jest pewny. (Wydaje się być podatny na tego typu górnolotne brednie. Pod tym akurat względem dziwnie przypomina mi ciebie.)

–Ubiegam się o urząd polityczny – oświadczył z satysfakcją. – Spodziewam się zostać wybranym łowcą grodów.

–Czy mogę zapytać, o ile wybaczysz mi moją ignorancję w tych sprawach, co to właściwie jest ten gród?

–No cóż, gród to małe zwierzątko, bardzo cenione przez moich probratymców jako domowy ulubieniec. Części tych zwierząt brakuje jednak licencji, więc po łowcy grodów oczekuje się, że je zgromadzi. Są to małe kreaturki o szatańskim sprycie i stanowczym oporze, więc poradzić sobie może z tym zadaniem tylko ktoś o niezwykłej sile i inteligencji. Są tacy, którzy uśmiechają się pogardliwie i twierdzą: "Azazel nie podoła zadaniu łowcy", ale zamierzam pokazać im, że są w błędzie. A teraz co mogę dla ciebie zrobić?

Kiedy wyjaśniłem pokrótce całą sytuację, Azazel sprawiał wrażenie zaskoczonego.

–Chcesz przez to powiedzieć, że na tym waszym żalonym świecie nie potraficie stwierdzić, czy czynione przez innych twierdzenia pozostają w niezgodzie z prawdą obiektywną?

–Mamy urządzenie nazywane "detektorem kłamstw" – pośpieszyłem z odpowiedzią. – Mierzy ono ciśnienie krwi, elektryczne przewodnictwo skóry i tak dalej. Może ono wykrywać kłamstwa, lecz wykrywa także nerwowość i napięcie, również określając je mianem kłamstw.

–Oczywiście, ale w każdym gatunku, który jest dostatecznie inteligentny by przeinaczać prawdę, występują pewne subtelne funkcje gruczołowe. A może ponownie jest to coś, o czym nie masz zielonego pojęcia?

Pominałem tę ostatnią uwagę milczeniem.

–Czy istnieje zatem jakikolwiek sposób, aby umożliwić detektywowi zerowego stopnia Robinsonowi wykrywanie tych funkcji gruczołowych?

–Bez waszych prymitywnych maszyn? Posiłkując się jedynie własnym umysłem?

–Właśnie.

–Musisz zdawać sobie chyba sprawę, iż prosisz mnie, bym zajął się umysłem jednego z osobników twojego gatunku. A są one co prawda duże, za to nieskończenie prymitywne.

–Zdaję sobie sprawę.

–No cóż, w takim razie spróbuję. Będziesz musiał zabrać mnie do niego lub przyprowadzić go do mnie, wszystko jedno, abym mógł go w spokoju przestudiować. Zrobiłem, co kazał.

Kiedy Vandevanter pojawił się u mnie w jakiś tydzień później, na jego patrycjuszowskiej twarzy malował się wyraz niepokoju.

–Wujku George – powiedział – wydarzyło się coś zupełnie niezwykłego. Właśnie skończyłem przesłuchiwać młodego mężczyznę, zamieszanego w napad na sklep monopolowy. Opowiadał mi w przekonujących szczegółach, że przechodził przypadkowo obok tego sklepu, rozmyślając o swojej biednej matce, cierpiącej na niezwykle silny ból głowy, jaki zaatakował ją po skonsumowaniu pół butelki ginu. Gdy wszedł do środka aby zapytać, czy mądrym było tak szybkie picie ginu zaraz po rozprawieniu się z podobną ilością rumu, właściciel – bez żadnego widocznego powodu – wcisnął mu w dłoń rewolwer i następnie zaczął pokazywać zawartość kasy. Podejrzany, zmieszany i zaskoczony zarazem, zdecydował się ją przyjąć akurat w chwili, kiedy do środka wszedł policjant. Potem powiedział, iż sądził, że miała to być forma rekompensaty za ból, na jaki cierpiała jego droga matka. Właśnie mówił mi to wszystko, kiedy w najdziwniejszy ze sposobów uświadomiłem sobie, że... hm... kłamie.

–Doprawdy?

–Tak. To najbardziej zadziwiająca rzecz, jakiej kiedykolwiek doświadczyłem – jego głos opadł prawie do szeptu. – I nie tylko w jakiś sposób wiedziałem, że młodzieniec ten miał już broń w ręku z chwilą wejścia do sklepu, ale wiedziałem także i to, że jego matka wcale nie ma bólu głowy. Możesz wyobrazić sobie kogoś, kto kłamie na temat własnej matki!

Blizsze dochodzenie wykazało, iż instykt Vandervantera był w każdym szczególe prawidłowy. Ten młody mężczyzna rzeczywiście kłamał, mówiąc o swojej matce.

Od tej chwili zdolności Vandevantera stawały się coraz bardziej widoczne.

W ciągu miesiąca stał się niezmordowaną i bezlitosną maszyną do wykrywania fałszywych zeznań.

Cały wydział przypatrywał się w milczącym osłupieniu, jak co rusz jakiś oskarżony próbował okpić Vandevantera i wpadał z kretesem. Żadna opowiadka o tym, że w chwili, kiedy skradziono puszkę z datkami dla ubogich było się pogrążonym w głębokiej modlitwie, nie mogła ostać się w krzyżowym ogniu jego pytań. Prawnicy, inwestujący fundusze sieroce w renowacje własnych biur – oczywiście na skutek przeoczenia – byli szybko zbijani z tropu. Księgowi, którzy przypadkowo odejmowali numery telefonów z rubryki przychodów, byli łapani na sprzecznościach we własnych słowach. Handlarze narkotyków, którzy przejmowali w lokalnym klubie pięciokilogramowe paczki heroiny sądząc, że to jedynie cukier, byli natychmiast wiązani w logiczne węzły.

Ochrzczono go Vandevanterem Zwycięskim, a sam komisarz, przy aplauzie zgromadzonych specjalnie na tę okoliczność policjantów uhonorował go kluczem, który pasował wreszcie do drzwi ubikacji, nie mówiąc już o przemieszczeniu jego biura na drugą stronę korytarza.

Gratulowałem już sobie, ponieważ wszystko skończyło się dobrze i Vandevanter – obecnie człowiek sukcesu – mógł wreszcie poślubić swoją ukochaną Minerwę Schlump, gdy pewnego dnia ona sama pojawiła się w drzwiach mego mieszkania.

–Och, wujku George – wyszeptała, podczas gdy jej drobne ciało chwiało się niebezpiecznie. Jasnym było, że za chwilę zemdleje. Porwałem ją w ramiona i przez pięć lub sześć minut przyciskałem do piersi zastanawiając się, na którym krześle powinienem ją posadzić.

–Co się takiego stało, moja droga? – zapytałem, wyswobodziwszy się już z jej objęć i doprowadziwszy do Porządku pomietą odrobinę suknię.

–Och, wujku George – powtórzyła zalewając się łzami. – Chodzi o Vandevantera,

–Chyba nie zaskoczył cię jakimiś niezwykłymi i niestosownymi awansami?

–Och nie, wujku Gorge. Jest zbyt dystygowaną osobą, aby czynić coś takiego przed ślubem, chociaż oczywiście wyjaśniłam mu, że rozumiem gdy czasami wpływ hormonów weźmie górę i że jestem w pełni gotowa wybaczyć mu w wypadku takiego pożałowania godnego incydentu. Jednakże pomimo moich zapewnień, on zachowuje nad sobą pełną kontrolę.

–O cóż zatem chodzi, Minerwo?

–Och, wujku George, on zerwał nasze zaręczyny.

–To nie do wiary. Nie ma chyba dwojga ludzi, którzy bardziej by do siebie pasowali, niż wy.

–Ale on twierdzi, że opowiadam... no te, nieścisłości. Moje niechętnie wargi uformowały słowo: – Kłamstwa? Skinęła głową.

–Co prawda nie wypowiedział tego brzydkiego słowa, ale to właśnie miał na myśli. Zaledwie dzisiejszego poranka obdarzył mnie tym swoim cudownym, pełnym uwielbienia spojrzeniem i zapytał: "Ukochana, czy zawsze byłaś ze mną szczerą?" A ja, jak zwykłam czynić to zawsze, odparłam: "Równie szczerze, jak pierwszy promyk słońca, jak rozkwitłe świeżo pączki róży". Niespodziewanie jego oczy zwęziły się i przybrały wyraz pogardy, a on powiedział: "Wiem, że twoje słowa nie odpowiadają prawdzie. Mówiłaś mi łgarstwa". Poczulałam się tak, jakby ktoś wymierzył mi silny policzek. "Vandevanterze, drogi mój, co ty opowiadasz?" – zapytałam wstrząśnięta. "To, co słyszałaś" – odparł. "Pomyliłem się co do ciebie, więc musimy rozstać się na zawsze." I wyszedł. Och, co ja mam teraz robić? Co robić? Gdzie znajdę teraz szczęście?

–Vandevanter zazwyczaj nie myli się w tego typu sprawach – odparłem pomyślawszy chwilę. – A przynajmniej nie myli się od kilku tygodni. Czy rzeczywiście nie byłaś z nim szczerą? Policzki Minerwy zabarwił leciutki rumieniec.

–Nie całkiem.

–Zatem jak bardzo?

–No cóż, kilka lat temu, kiedy byłam jeszcze wątlm, siedemnastoletnim dziewczęciem, pocałowałam pewnego młodego mężczyznę. Objęłam go mocno, przyznaję, ale jedynie po to, aby powstrzymać go przed ucieczką, a nie z powodu osobistego oczarowania.

–Rozumiem.

–Właściwie nie było to nawet przyjemne doznanie. To znaczy nie bardzo przyjemne. Po poznaniu Vandevantera zdumiona byłam, jak większe zadowolenie dał mi jego pocałunek niż ten, którym obdarzyłam wtedy tego młodego mężczyznę. To chyba naturalne, że ponownie chciałam doświadczyć takiego zadowolenia. Przez okres mojej znajomości z Vandevanterem – i to jedynie z naukowej ciekawości – od czasu do czasu całowałam jakiegoś innego młodego mężczyznę, ale wyłącznie po to aby upewnić się, że żaden – dosłownie żaden – nie robi tego tak dobrze, jak mój ukochany. A mogę cię zapewnić, wujku George, że badając to wykorzystywałam każdy styl i formę pocałunku, nie wspominając już o uściskach, ale nigdy nawet w połowie nie doświadczałam takiego zadowolenia, jak całując Vandevantera. A on

twierdzi, że mówię nieprawdę!

–Jakie to śmieszne – odparłem. – Dziecię moje, zostałaś skrzywdzona.

Następnie pocałowałem ją cztery czy pięć razy i zapytałem:

–Nie sprawia ci to takiej satysfakcji, jak pocałunek Vandevantera, prawda?

–Muszę się zastanowić – odparła i pocałowała mnie kolejno cztery czy pięć razy, czyniąc to z dużą pasją i wyrafinowaniem. – Oczywiście, że nie – zgodziła się.

–A więc będę musiał zobaczyć się z Vandevanterem – zdecydowałem.

Jeszcze tego samego wieczora zjawiłem się w jego mieszkaniu. W raczej ponurym nastroju siedział w salonie, ładując i rozładowując rewolwer.

–Wygląda na to, że całkiem poważnie rozważasz możliwość samobójstwa – powiedziałem.

–W żadnym wypadku – odparł z suchym, nieprzyjemnym uśmiechem. – Jaki mam właściwie powód, aby popełnić samobójstwo? Dlatego, że utraciłem bałamutną babę? Notorycznego kłamczucha? W tym jest akurat dobra, przyznaję.

–Mylisz się mój drogi. Minerwa zawsze była wobec ciebie szczerą. Jej dłonie, usta i ciało nigdy nie zetknęły się z dłońmi, ustami i ciałem innego mężczyzny, prócz ciebie.

–Wiem, że to nieprawda – upierał się Vandevanter.

–Mówię ci, że prawda – odparłem. – Porozmawiałem z tym nieszczęsnym dziewczęciem od serca, a ona odkryła przede mną najgłębsze sekrety swej duszy. Kiedyś istotnie posłała całusa młodemu mężczyźnie. Miała wtedy pięć lat, on sześć i owa chwila płochliwego szaleństwa trapi biedaczkę aż do tej pory. Nigdy podobnie nieobyczajna scena nie została powtórzona – to więc i tylko to w niej wykryłeś.

–Czy mówisz prawdę, wujku George?

–Popatrz więc na mnie swoim niezawodnym okiem detektywa, kiedy powtórzę to jeszcze raz słowo w słowo, a potem ty powiesz mi, czy mówię prawdę.

Powtórzyłem jeszcze raz całą opowieść, a on ze zdziwieniem powiedział:

–Rzeczywiście mówisz najprawdziwszą prawdę, wujku George. Czy sądzisz, że Minerwa wybaczy mi kiedykolwiek, iż w nią wątpiłem?

–Oczywiście – odparłem. – Odwołaj wszystko, co jej powiedziałeś i dalej ścigaj męty świata podziemnego po wszystkich sklepach monopolowych, salach

konferencyjnych i korytarzach ratusza, ale nigdy nie spoglądaj podejrzliwym okiem na kobietę, którą kochasz. Miłość idealna bowiem jest zarazem całkowitym zaufaniem, musisz więc ufać jej całkowicie.

–Będę! Będę! – wykrzyknął.

I robi tak do tej pory. Jest teraz najbardziej znanym detektywem w całej policji, awansowanym niedawno do rangi Młodszeo Detektywa, jego biuro zaś mieści się w suterenie tuż obok pralni. Poślubił Minerwę i żyją wspólnie, tworząc nadzwyczaj szczęśliwe stadło.

Minerwa spędza życie bez końca i w ekstazie szczęścia testując nadzwyczajne walory pocałunków Vandevantera. Czasami w ramach porównań spędza noce z innymi, podobnymi do niego mężczyznami, ale za każdym razem rezultat jest taki sam – Vandevanter jest wciąż najlepszy. Jest także matką dwóch synów, z których jeden przypomina nieznacznie Vandevantera.

To tyle, jeśli chodzi o twoje twierdzenie, że wysiłki moje i Azazela prowadzą jedynie do nieszczęść.

–Nawet gdybym zaakceptował twoją historię – powiedziałem – to przecież i tak skłamałeś, kiedy powiedziałaś Vandevanterowi, że Minerwa nigdy nie dotknęła innego mężczyzny.

–Uczyliem to, aby ocalić niewinną młodą dziewczicę.

–Ale jak to się w takim razie stało, że Vandevanter nie wykrył tego kłamstwa?

–Zakładam – odparł George ocierając usta z resztek kremowego sera – że spowodowane to było aurą mego bezspornego dostojęństwa.

–Ja zaś mam inną teorię – powiedziałem. – Sądzę, że ani ty, ani ciśnienie twoje krwi, ani elektryczne przewodnictwo twojej skóry, ani twoje subtelne reakcje hormonalne nie są już w stanie określić granicy pomiędzy prawdą a fałszem; nie jest to także możliwe dla nikogo, kto musiałby to określić opierając się jedynie na studiowaniu twojej osoby.

–Śmieszne – prychnął George.

WIOSENNE POTYCZKI

Razem z George'em spoglądaliśmy na leżący po drugiej stronie rzeki uniwersytecki kampus. George, na mój koszt objedzony aż do przesytu, popadł w nastrój łzawej nostalgii:

–Ech, studenckie czasy – westchnął. – Cóż znaleźć możemy w późniejszym życiu, co zrekompensowałoby waszą utratę?

Spojrzałem na niego z nieskrywanym zdumieniem.

–Tylko mi nie mów, że uczęszczałeś na uniwersytet. W odpowiedzi obdarzył mnie jednym ze swych wyniosłych spojrzeń

–Czy wiesz, że jestem największym prezydentem, jakiego miało do tej pory stowarzyszenie Phi Pho Phum?

–A w jaki sposób płaciłeś chesne?

–Stypendiami! – odparł. – Zalano mnie nimi po tym, jak powszechnie zademonstrowałem swe męstwo w potyczkach nad pełnymi stołami, przy których celebrowaliśmy nasze zwycięstwa w koedukacyjnych domach akademickich. To, oraz zamożny wujek.

–Nie wiedziałem, że miałeś zamożnego wujka, George.

–Po sześciu latach, jakie zajęło mi ukończenie przyśpieszonego programu, już nim nie był, niestety. Resztę pieniędzy jaką udało mu się zachować, przeznaczył ostatecznie na schronisko dla bezdomnych kotów, czyniąc w swoim testamencie jedynie kilka uwag na mój temat, które wzdragam się tu przytoczyć. Tak, moje życie było smutne i niedoceniane.

–Kiedyś, w odległej przyszłości – powiedziałem – musisz mi o tym wszystko opowiedzieć nie pomijając żadnego szczegółu.

–Ale – kontynuował George – wspomnienia studenckich czasów zalewają moje ciężkie życie blaskiem pereł i złota. Odczułem to w całej pełni kilka lat temu, gdy powtórnie wizytowałem kampus uniwersytetu Tate.

–Zaprosili cię z powrotem? – zapytałem, prawie z powodzeniem ukrywając ławą do rozpoznania nutę niedowierzania w głosie.

–Jestem przekonany, że mieli taki zamiar – zapewnił mnie George – ale w rzeczywistości powróciłem tam na prośbę mojego drogiego towarzysza studenckich

zabaw, starego Antochiusza Schnella.

Ponieważ w oczywisty sposób zafascynowany jesteś tym, co do tej pory usłyszałeś (powiedział George), pozwól więc dokończyć mi tę historię. Antochiusz Schnell był w starych, dobrych czasach moim nieodłącznym kumplem, moim wiernym Achatesem (choć dla czego właściwie marnuję klasyczne aluzje na takiego gamonia jak ty, na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą). Nawet teraz, choć posunął się w latach o wiele bardziej niż ja, wciąż pamiętam go takiego, jakim był w czasach, kiedy wspólnie połykaliśmy złote rybki, zamykaliśmy w budkach telefonicznych naszych przyjaciół, czy gdy zręcznym skrętem nadgarstka i przy wtórze pełnych zachwyty pisków koleżanek z akademika podkradaliśmy leżące gdzieś na wierzchu majtki. Słowem, pełnymi garściami czerpaliśmy z rozkoszy życia w tej oświeconej instytucji.

Kiedy więc stary Antochiusz Schnell poprosił mnie na spotkanie w sprawie niecierpiącej zwłoki, pojechałem natychmiast.

–George – powiedział po przywitaniu. – Chodzi o mojego syna.

–Młodego Artakserksesa Schnella?

–Tego samego. Jest studentem drugiego roku na uniwersytecie Tate, ale nie wszystko wygląda tak jak powinno i zaczynam się o niego niepokoić. Moje oczy zwęziły się.

–Czyżby przystawał z bezwartościowym tłumem? Popadł w długi? A może w jakiś głupi sposób dał się usidlić jednej z tych podstarzałych kelnerek w piwiarni?

–Gorzej! Znacznie gorzej! – wykrzyknął stary Antochiusz załamującym się głosem. – Nigdy nie powiedział mi tego osobiście – brakowało mu odwagi, jak sądzę – ale całkiem niedawno trafił do moich rąk szokujący list, napisany w ścisłej tajemnicy przez jednego z jego kolegów z roku. George, stary przyjacielu, mój biedny syn – pozwól powiedzieć mi to wprost, bez szukania zbędnych eufemizmów – studiuje rachunek różniczkowy!

–Studiuje rach... – zająknąłem się i umilkłem, nie mogąc wypowiedzieć tego przeraźliwego słowa.

Stary Antochiusz Schnell pokiwał z rozpaczą głową.

–A także nauki polityczne. Uczęszcza na wykłady i widziano go też, jak się tego uczy.

–Wielkie nieba! – wykrzyknąłem naprawdę szczerze wstrząśnięty.

–Po prostu nie mogę w to uwierzyć, George. Gdyby dowiedziała się o tym jego

matka, z pewnością byłby to jej koniec. Jest wrażliwą niewiastą, George, a ostatnio zdrowie nie dopisuje jej najlepiej. Zaklinam cię, w imię naszej starej przyjaźni, abys pojechał do Tatę i na miejscu wyświetlił całą sprawę. Jeżeli chłopak dał się omamić stypendiami, to postaraj się jakoś przywrócić mu rozum – chociażby ze względu na jego matkę i dla jego własnego dobra, jeżeli już nie dla mnie.

Ze łzami w oczach pochwyciłem jego dłoń w silnym uścisku.

–Nic mnie nie powstrzyma – powiedziałem. – Żadne ziemskie względy nie przeszkodzą mi w spełnieniu tego świętego obowiązku. Stracę ostatnią kroplę krwi, jeżeli będzie to konieczne... a mówiąc już o traceniu, to będę potrzebował czeku.

–Czeku? – zadrżał w widoczny sposób stary Antochiusz, zawsze prędko w zamykaniu portfela na głucho.

–Pokój w hotelu – powiedziałem. – Posiłki, napoje, napiwki, inflacja i tak dalej. Robię to przecież dla twojego syna, stary druhu, nie zaś dla siebie.

W końcu otrzymałem od niego czek i nie zwlekając wyruszyłem na spotkanie z młodym Artakserksesem. Po przybyciu na uniwersytet miałem jedynie czas na dobrą kolację, wyśmienitą brandy, krzepiący całonocny sen oraz niespieszne śniadanie, a już pukałem do drzwi jego pokoju.

Po wejściu do środka doznałem prawdziwego szoku. Na wszystkich ścianach wisiały półki zastawione nie przyciągającymi oko drobiazgami, nie butelkami po zdrowej żywności pełne próbek kunsztu pobliskiego winiarza, nie fotografiami smukłych kociaków, które w uroczy sposób zapodziały gdzieś swe szmatki – lecz książkami.

Jedna z nich leżała otwarta bezwstydnie na jego biurku i mógłbym przysiąc, że nawet tuż przed moim przybyciem właśnie ją kartkował. Na palcu wskazującym jego prawej ręki, którą nieporadnie usiłował ukryć za plecami, widniały podejrzone ślady kurzu.

Ale sam Artakserkses był jeszcze większym szokiem. Rozpoznał mnie oczywiście, jako starego przyjaciela rodziny. Nie widziałem go od dziewięciu lat, ale okres ten nie wpłynął na szlachetność mojej postawy czy otwartą szczerłość twarzy. Jednakże dziewięć lat temu Artakserkses był bezbarwnym dziesięciolatkiem. Teraz był zmienionym nie do poznania, ale w dalszym ciągu bezbarwnym młodzieńcem w wieku lat piętnastu. Miał niewiele ponad pięć stóp wzrostu, nosił grube, okrągłe okulary i sprawiał wrażenie ogólnie cherlawego.

–Ile ważysz? – zapytałem impulsywnie.

–Dziewięćdziesiąt siedem funtów – szepnął. Wpatrywałem się w niego z litością w

sercu. Jako dziewięćdziesięciosiedmioletni mizerota bez wątpienia był powszechnym pośmiewiskiem i obiektem niewybrednych żartów.

Potem jednak moje serce zmiękło, kiedy pomyślałem o nim: biedny chłopak! Czyż z ciałem takim jak to mógł oddawać się uprawianiu jakiegokolwiek ze sportów, stanowiących esencję należytej edukacji uniwersyteckiej? Foot-ball? Biegi? Zapasy? Picie do dna? Kiedy inni młodzieńcy krzyczeli: "Mamy tę starą stodołę, możemy sami uszyć sobie kostiumy, wystawmy więc jakiś własny musical", to co on mógłby zrobić? Z takimi płucami, czyż wydałby z siebie coś oprócz słabego sopranu?

Więc nic dziwnego, że wbrew własnej woli zmuszony został do popadnięcia w infamię.

–Artakserksesie, mój chłopcze – powiedziałem miękko, prawie z czułością – czy to prawda, że studiujesz rachunek różniczkowy i ekonomię polityczną?

Skinął głową.

–Antropologię także.

Z trudem stłumiłem okrzyk zgrozy. Po chwili indagowałem dalej.

–A czy to prawda, że uczęszczasz na wszystkie wykłady?

–Przykro mi, proszę pana. ale to prawda. A pod koniec roku znajdę się na liście dziekana.

W kąciku jego oka załśniła zdradziecka łza. Widząc to pozwoliłem sobie na drobniutką iskierkę nadziei, bowiem najwyraźniej zdawał sobie sprawę z otchłani deprawacji, w jaką się stoczył.

–Dziecię moje – powiedziałem – czy nie możesz, choćby i zaraz zarzucić te okropne praktyki i powrócić do czystego i niewinnego życia studenta?

–Nie mogę – westchnął tłumiąc szloch. – Zaszedłem już zbyt daleko. Nikt mi nie pomoże.

Poczułem się jak tonący, który chwyta się przysłowiowej brzytwy.

–Czy nie ma na tej uczelni przyzwoitej kobiety, która wyciągnęłaby do ciebie pomocną dłoń? Wiesz przecież, że miłość kobiety czyniła w przeszłości cuda, więc może tak będzie i tym razem.

Jego oczy załśniły. Najwidoczniej dotknąłem czułego punktu.

–Filomena Kribb – westchnął. – Jest słońcem, księżycem i gwiazdami, których

światło opromienia całą moją duszę.

–Ach! – odparłem, wyczuwając za tą kontrolowaną frazeologią ukryte emocje. – Czy ona wie o tym?

–Jak mogę jej o tym powiedzieć? Ciężar jej pogardy przygniótłby mnie do ziemi.

–A czy nie zrezygnowałbyś z rachunku różniczkowego, aby zmniejszyć nieco tę pogardę?

–Jestem słaby – powiedział zwieszając głowę. – Słaby. Opuściłem go zdecydowawszy natychmiast odnaleźć Filomenę Kribb.

Nie zajęło mi to dużo czasu. U sekretarza uniwersytetu dowiedziałem się, że specjalizuje się w tańcach grupowych i równie energicznie udziela się w chórze. Odnalazłem ją w sali tańca.

Czekałem cierpliwie, aż zawile wygibasy i melodyjne piski dobiegną końca, po czym wskazano mi Filomenę. Była blondynką średniego wzrostu, lśniąca zdrowiem i potem, obdarzona figurą, na której widok moje wargi ściągnęły się w wyrazie uznania. To oczywiste, że choć pogrzebana głęboko pod uczelnianymi perwersjami, to jednak kołatała się w Artakseksecie nikła świadomość prawidłowych studenckich zainteresowań.

Wyszedłszy spod prysznic i wdziawszy już swą kolorową, skąpą sukienkę wzorowej studentki podeszła, aby się ze mną przywitać. Była świeża i promienna, jak pokryte świeżą rosą pole.

Postanowiłem bez zwłoki przejść do sedna sprawy i powiedziałem:

–Młody Artakserkses uważa cię za astronomiczną iluminację swojego życia.

Odniosłem wrażenie, iż wyraz jej oczu odrobinę złagodniał.

–Biedny Artakserkses. Tak bardzo potrzebuje pomocy.

–Mógłby otrzymać ją od jakiejś dobrej kobiety – zasugerowałem.

–Wiem – odparła. – I jestem w tym dobra, jeżeli dochodzi już do tego – a przynajmniej tak o mnie mówią – tu na jej policzki wpłynął uroczy rumieniec. – Ale co mogę zrobić? Nie mogę przeciwstawić się biologii. Bullwhip Costigan bez przerwy upokarza Artakserksesa. Szydź z niego publicznie, popycha go, zrzuca jego głupie książki na podłogę, a wszystko to przy wtórze grubiańskiego śmiechu obserwującego to tłumy. Wie pan przecież, jak wiosną nasila się aura porywczosci.

–Oczywiście! – wykrzyknąłem przypominając sobie te szczęśliwe dni i wiele, wiele okazji, kiedy to trzymałem marynarki siłujących się ze sobą zapaleńców. – Wiosenne potyczki!

Filomena westchnęła.

–Od dawna mam nadzieję, że Artekserkses w jakiś sposób dotrzyma Bullwhipowi pola – podnózek mógłby tu oczywiście pomóc, zważywszy, że Bullwhip ma sześć stóp wzrostu, a Artakserkses z jakiegoś powodu nie. To jego ślęczenie nad książkami – wzruszyła wdzięcznie ramionami – osłabia jego morale.

–Bez wątpienia, ale gdybyś pomogła mu wydostać się z tego bagna...

–Och, proszę pana, on głęboko w środku jest uprzejmym i troskliwym młodym mężczyzną i pomogłabym mu, gdybym mogła, ale genetyczna struktura mojego ciała jest ode mnie silniejsza i popycha mnie do boku Bullwhipa. Bullwhip jest przystojny, muskularny i dominujący, a cechy te w naturalny sposób imponują mojemu sercu tancerki.

–A gdyby Artakserkses upokorzył Bullwhipa?

–Tancerka – mówiąc to wyprostowała się dumnie, oferując zaskakującą manifestację frontowych wypukłości – musi iść za głosem swego serca, które niechybnie odwróciłoby się od upokarzanego zwracając ku upokarzającemu.

Ot i proste słowa, które – jak wiedziałem – wyszły z samej duszy uczciwej dziewczyny.

Mój plan był prosty. Jeżeli Artakserkses zignoruje nieznaczny deficyt trzynastu cali i stu dziesięciu funtów i wbije Bullwhipa w błoto, Filomena będzie Artakserksesa i zmieni go w bezkompromisowego mężczyznę, starzejącego się wdzięcznie podczas popijania piwa i oglądania meczy foot-ballu w telewizji.

Że jest to sprawa dla Azazela, było oczywiste.

Nie wiem, czy wspominałem ci kiedykolwiek o Azazelu – jest on dwucentymetrową istotą z innego miejsca i czasu, pojawiającą się na każde moje wezwanie dzięki sekretnym zaklęciom i inkantacjom, do których ja tylko posiadam klucz.

Azazel obdarzony jest umiejętnościami daleko przewyższającymi nasze własne, lecz równocześnie brakuje mu kompensujących to zalet towarzyskich. Jest stworzeniem niezmiernie samolubnym, bezustannie przedkładającym swoje własne nieistotne kłopoty nad moje rzeczywiste potrzeby.

Tym razem, w chwili przybycia, leżał rozciągnięty na boku. Jego oczy były

zamknięte, a końcówką ogona – miękkimi, powolnymi ruchami – z czułością pieścił puste powietrze przed sobą.

–O Wszzechpotężny – zawołałem ponieważ nalega, aby tak się do niego zwracać.

Jego oczy otworzyły się i natychmiast wyemitował rozdzierający uszy świst, będący prawie na granicy mojej słyszalności. Zaręczam, że to bardzo nieprzyjemne doznanie.

–Gdzie jest Ashtaroth? – wykrzyknął. – Gdzie moja drogocenna Ashtaroth, która jeszcze przed chwilą znajdowała się w moich ramionach?

Potem spostrzegł moją osobę i zazgrzytał swoimi maleńkimi zębami.

–Ach, to znowu ty! Czy wiesz, że przywołałeś mnie do siebie akurat w chwili, gdy Ashtaroth... ale to nie ma nic do rzeczy.

–Może i nie – zgodziłem się. – Zważ jednak na fakt, że udzieliwszy mi swojej pomocy tutaj, możesz powrócić do własnego świata w pół minuty po tym, jak go opuściłeś. Ashtaroth nie będzie więc miała dostatecznie dużo czasu, aby wpaść we wściekłość z powodu twojego niespodziewanego zniknięcia. Co najwyżej będzie jedynie odrobinę zaskoczona. Twój powrót przepelni ją radością i w czegokolwiek byliście właśnie trakcie, może zostać powtórzone.

Azazel zamyślił się na chwilę, po czym odparł tonem, który jak na niego był prawie łaskawym:

–Umysł masz mały, prymitywny robaku, lecz przebiegły, a to może być z korzyścią dla nas, obdarzonych co prawda olbrzymią mentalnością, ale spętanych równocześnie szczerością i uczciwością natury. A więc jakiego rodzaju pomocy potrzebujesz?

Wyjaśniłem mu sprawę Artakserksesa. Azazel zadumał się na chwilę, a potem powiedział:

–Mógłbym zwiększyć moc wyjściową jego mięśni. Potrząsnąłem przecząco głową.

–Nie jest to sprawa jedynie mięśni. W ogromnym stopniu potrzebuje także umiejętności i odwagi.

–Czy chcesz, żebym harował w pocie ogona nad zwiększeniem jego zalet duchowych? – zapytał z oburzeniem Azazel.

–A znajdujesz jakąś inną sugestię?

–Oczywiście! A niby z jakiej racji nieskończenie bardziej przewyższam cię

inteligencją? Jeżeli twój cherlawy przyjaciel nie może poturbować swojego wroga bezpośrednio, to co powiesz o efektywnym działaniu wymijającym?

–Masz na myśli błyskawiczną ucieczkę? – ponownie pokręciłem głową. – Nie sędę, aby było to szczególnie imponujące.

–Nie mówiłem o uciekaniu; chodziło mi o działanie wymijające. Muszę jedynie skrócić jego czas reakcji, co przy moich umiejętnościach powinno być raczej łatwe. Aby nie tracił swojej siły bez potrzeby, mogę zsynchronizować owo skrócenie z nadmiernym wydzielaniem adrenaliny. Innymi słowy będzie to skuteczne jedynie wtedy, gdy będzie przestraszony, rozwścieczony lub pod wpływem innej, równie silnej emocji. Teraz pozwól mi go choć na krótko zobaczyć, a o resztę już sam się zatroszczę.

–Oczywiście – odparłem.

Było dla mnie sprawą piętnastu minut, by odwiedzić Astakserksesa w jego pokoju i zezwolić Azazelowi na szybkie zerknięcie z kieszeni mojej koszuli. Umożliwiło mu to manipulację systemem nerwowym młodzieńca z bliskiej odległości, a potem powrót do swojej Ashtaroth i jakichkolwiek niecznych praktyk, którym pragnął się oddawać, i

Moim następnym krokiem było napisanie listu, nadając mu pozory pisanego ręką kolegi – duże, drukowane litery pisane węglem – i wsuniecie go pod drzwi pokoju Bullwhipa. Na rezultat nie trzeba było czekać długo. Bullwhip zamieścił w biuletynie studenckim notatkę wyznaczającą Artakserksesowi spotkanie w gospodzie Żarłoczny Smakosz, a Artakserkses wiedział, że lepiej będzie, jak się temu podporządkuje.

Filomena i ja przyszliśmy także, pozostając jednak na rubieżach tłumu studentów podekscytowanych spodziewanymi wypadkami. Artakserkses, dzwoniąc ze strachu zębami, zjawił się dźwigając opasy tom zatytułowany Podręcznik fizyki i chemii. Nawet w tak ekstremalnych okolicznościach nie był w stanie wyzbyć się swego uzależnienia.

Bullwhip, wysoki i muskularny, w podkoszulku rozdartym troskliwie w sposób mający wzbudzać u obserwatorów strach, wyprężył się jeszcze bardziej i powiedział:

–Schnell, doszło do moich uszu, że rozpowiadasz kłamstwa na mój temat. Jako że jestem twoim prawdziwym kolegą dam ci szansę, żebyś je odszczekał, zanim rozerwę cię na strzępy. Czy powiedziałaś komukolwiek, że widziałeś mnie raz czytającego książkę?

–Raz widziałem, jak oglądałaś jakiś komiks – odparł Artakserkses – ale ponieważ trzymałaś go do góry nogami, to nie sędę, byś go czytała, więc nigdy nie mówiłem, że to robiłaś.

–A czy mówiłeś, że boję się dziewcząt i że gadam tylko, jaki to jestem wielki, podczas gdy jest akurat odwrotnie?

–Słyszałem, że niektóre dziewczęta istotnie tak mówiły, Bullwhip, ale nigdy tego nie powtarzałem – odparł Artakserkses.

Bullwhip przez chwilę milczał, a ja wiedziałem, że najgorsze miało dopiero nadejść.

–No dobrze, Schnell. Czy nazwałeś mnie zafajdanym głąbem?

–Nie, proszę pana. Powiedziałem jedynie, że jest pan pozytywnie absurdalny.

–Wiec zaprzeczasz wszystkiemu?

–Zdecydowanie.

–I przyznajesz, że to wszystko nieprawda?

–Wniebogłosy.

–I że jesteś nędznym kłamcą, dupku?

–Jak najbardziej.

–Dobrze więc – syknął poprzez zaciśnięte zęby Bullwhip – nie zabiję cię. Złamię ci tylko kość albo dwie.

–Będzie bijatyka! – zakrzyknęli rozochoceni widzowie i ze śmiechem zaczęli formować wokół dwójki przeciwników ring.

–Ma to być uczciwa walka – obwieścił Bullwhip, który chociaż tyran to jednak przestrzegał niepisanego kodeksu. – Nikt mi nie będzie pomagał i nikt ma nie pomagać jemu. Po prostu jeden na jednego.

–Co może być uczciwszego? – zawtórowali zgromadzeni studenci.

–Zdejmij okulary, Schnell – polecił Bullwhip.

–Nie – sprzeciwił się śmiało Artakserkses, ale w tej samej chwili jeden ze studentów ściągnął mu je z nosa.

–Hej – krzyknął Artakserkses – pomagasz Bullwhipowi.

–Wcale nie. Pomagam tobie – powiedział trzymający okulary student.

–Ale teraz nie widzę Bullwhipa wyraźnie – zaprotestował Artakserkses.

–Nie martw się – odparł Bullwhip – za to wyraźnie mnie poczujesz – i bez ostrzeżenia posłał swą podobną do młota pięść w kierunku brody Artakserksesa.

Przecięła powietrze ze świstem, a Bullwhip prawie okręcił się dookoła ponieważ Artakserkses dla uniknięcia ciosu odskoczył gwałtownie do tyłu.

W oczach Bullwhipa błysnęło zdumienie. Artakserkses sprawiał wrażenie równie oszołomionego.

–Sam się prosisz – warknął Bullwhip – a więc masz! – i puściwszy w ruch tłoki swych pięści ruszył do przodu.

Artakserkses, z malującym się na twarzy zdumieniem uskakiwał zwinnie w lewo i w prawo, a ja zaczynałem się już obawiać, że wiatr wywołany zamachami Bullwhipa przyprawi go o lekkie przeziębienie.

Widać było, że Bullwhip jest już zmęczony tą zabawą. Jego potężna pierś falowała ciężko.

–Co ty wyrabiasz? – wychrypiał z niezadowoleniem.

Artakserkses zdał już sobie jednak sprawę, że z jakiegoś powodu jest nieosiągalny dla jego ciosów. Podszedł do przeciwnika i dłonią, w której nie trzymał książki wymierzył Bullwhipowi policzek, mówiąc przy tym:

–A masz, ty głąbie.

Z piersi wszystkich obecnych wyrwało się prawie równocześnie westchnienie, Bullwhip natomiast wpadł w szal. Jedyne, co mogłeś wtedy zobaczyć, to potężną maszyną młócaącą wściekle i uwijającą się jak szalona dookoła roztańczonej, unikającej ciosów postaci swego przeciwnika.

Po kilku minutach Bullwhip zupełnie opadł z sił. Z ociekającą potem twarzą wpatrywał się w Artakserksesa, który stał przed nim spokojny i nietknięty. Nie wypuścił nawet książki.

Teraz jednakże zrobił z niej użytek. Uderzył nią silnie w splot słoneczny Bullwhipa, a kiedy ten zgiął się w pół, z większą nawet siłą grzmotnął go nią w głowę. W rezultacie tych czynności książka wprawdzie doznała poważnego uszczerbku, za to Bullwhip runął na ziemię w stanie bliskim utraty świadomości.

Artakserkses rozejrzał się dookoła wytrzeszczając swe oczy krótkowidza.

–Może ten drań, który zabrał mi okulary – powiedział – zechce mi je teraz łaskawie oddać?

–Oczywiście, panie Schnell – pośpieszył z odpowiedzią student, który je zabrał. W celu ułagodzenia Artakserksesa uśmiechnął się spazmatycznie. – Proszę, oto one. Wyczyściłem je dla pana.

–Dobrze. A teraz wynosić się. To dotyczy was wszystkich, głąby. Wynocha!

Zastosowali się do tego polecenia z takim zapalem, że w pośpiechu wpadali jeden na drugiego. Tylko Filomena i ja ociągałiśmy się z odejściem.

Spojrzenie Artakserksesa spoczęło na dyszącej, młodej dziewczynie. Uniósł hardo brew i skinął nieznacznie małym palcem. Pobiegnęła do niego nie zwlekając, a kiedy odwrócił się do wyjścia, poszła za nim.

Tak więc wszystko skończyło się dobrze. Artakserkses, nabrawszy w ten sposób pewności siebie nie potrzebował już książek, aby utwierdzały go w fałszywym poczuciu wartości. Cały czas spędzał na bokserkim ringu, zostając na koniec mistrzem uczelni. Był bałwochwalczo wręcz uwielbiany przez wszystkie młode studentki, lecz ostatecznie ożenił się z Filomena.

Jego waleczność w ringu obdarzyła go tak oczywistą reputacją człowieka czynu, że całkowicie zarzucił dotychczasowy tryb życia i zajął się interesami. Obdarzony bystrym umysłem dostrzegał szansę zrobienia pieniędzy tam, gdzie nie widzieli tego inni, więc udało mu się otrzymać koncesję na sedesy do Pentagonu, do czego dodał obroty takimi towarami, jak na przykład spluczki, które zakupił w sklepie z towarami żelaznymi, a potem odsprzedał rządowym agencjom zaopatrzeniowym.

Okazało się jednak, że jego zamiłowanie do książek w czasach młodości przyniosło mu w ostatecznym rozrachunku korzyść. Twierdzi, że stosuje rachunek różniczkowy do obliczenia profitów, ekonomię polityczną przy potrącaniu podatków dla Urzędu Skarbowego, a antropologię przy zawieraniu transakcji z wykonawczymi organami rządu.

Wpatrywałem się w George'a z niedowierzaniem.

–Czy chcesz przez to powiedzieć, że w tym przypadku interwencja twoja i Azazela zakończyła się szczęśliwie!

–Naturalnie – przytaknął George.

–A więc oznacza to, że masz teraz niezwykle bogatego przyjaciela, który zawdzięcza ci wszystko, co udało mu się uzyskać.

–Oddałeś to nadzwyczaj dokładnie, stary druhu.

–Możesz zatem liczyć na jakieś drobne wsparcie z jego strony.

Nieoczekiwanie grube brwi George'a ściągnęły się w krechę.

–Można by tak sądzić, prawda? Można by pomyśleć, że na świecie powinna istnieć jakaś wdzięczność, prawda? Można by pomyśleć, że istnieją osoby, które – gdy im wytłumaczyć, że ich ponadnaturalne zdolności są wynikiem ciężkiej pracy przyjaciela – winni obsypać owego przyjaciela deszczem dowodów tej wdzięczności, prawda?

–Chcesz przez to powiedzieć, że Artakserkses nie należy do takich osób?

–Właśnie! Kiedy zwróciłem się do niego pewnego razu z uprzejmą prośbą o zapewnienie mi dziesięciu tysięcy dolarów jako inwestycję w mój genialny pomysł, który bez wątpienia przyniosłby setki tysięcy zysku – nędzne dziesięć tysięcy, które zarabia za każdym razem, kiedy sprzedaje siłom zbrojnym choćby z tuzin tanich śrub i sworzni – on kazał lokajowi mnie wyrzucić.

–Ależ dlaczego, George? Dowiedziałeś się kiedykolwiek?

–Tak, w końcu się tego dowiedziałem. Widzisz, stary druhu, on wykonuje uniki za każdym razem, kiedy wzrasta jego poziom adrenaliny – na przykład gdy jest przestraszony bądź podniecony. Azazel wytłumaczył to wszystko dokładnie.

–Owszem. No i?

–No więc kiedy Filomena rozważa stan domowego budżetu i czuje, że ogarnia ją pewien rodzaj zmysłowego uniesienia, podchodzi do Artakserksesa, który wyczuwając jej intencje odpowiada podobnym uniesieniem, przez co poziom adrenaliny w jego krwi podnosi się. A kiedy ona rzuca się na niego w swoim dziewczęcym zapamiętaniu...

–Tak?

–Ah!

–W rzeczywistości nie może go nawet dotknąć, tak samo jak nie mógł tego dokonać Bullwhip. A im dłużej to trwa, tym bardziej wzrasta jego frustracja i poziom adrenaliny – więc tym skuteczniej się jej wymyka. Ona, pogrążona w rozpacz, oczywiście zmuszona jest szukać pocieszenia gdzie indziej, lecz kiedy on próbuje okazjonalnie robić to samo, rezultat jest zawsze taki sam. Wymyka się każdej młodej kobiecie, która się do niego zbliża, choćby tylko w sprawach czysto zawodowych. Artakserkses znajduje się w sytuacji Tantala – sądząc z pozorów rzeczy te są zawsze dla niego osiągalne, a jednak całkowicie poza jego zasięgiem – głos George'a zabrzmiał nutą oburzenia. – Iz powodu tej błahej niedogodności kazał wyrzucić mnie z domu.

–Mógłbyś nakłonić Azazela – powiedziałem – żeby zdjął to przekleństwo – to znaczy

ten dar, jakim go obdarowałeś.

–Nie wiem dlaczego, ale Azazel wyraża silny sprzeciw wobec dwukrotnego operowania tej samej osoby. A zresztą dlaczego miałyby oddawać dodatkową przysługę komuś, kto nie potrafi docenić przysługi już mu wyrządzonej? Dla kontrastu spójrzmy na ciebie. Czasami, chociaż znany jesteś powszechnie jako wyjątkowy kutwa, pożyczasz mi piątkę – zapewniam cię, że skrawki papieru z zapisanymi sumami, jakie mi pożyczasz, przechowuję tu i ówdzie w swoim mieszkaniu – a jednak nigdy nie wyrządziłem ci żadnej przysługi, prawda? Jeżeli więc ty jesteś pomocny bez żadnej przysługi, to dlaczego nie może on otrzymawszy już jedną?

Przez chwilę zamyśliłem się nad jego słowami, po czym odparłem:

–Posłuchaj, George. To prawda, że nigdy nie wyrządziłem ci żadnej przysługi, ale niech tak pozostanie. W moim życiu wszystko jak do tej pory układa się pomyślnie. A tak przy okazji, podkreślając jedynie fakt, że nie oczekuję żadnej przysługi, co powiedziałbyś o dziesiątaku?

–No cóż – mruknął George – skoro nalegasz...

GALATEA

Z powodów nieznanymi nawet mnie samemu, czasami używam George'a jako powiernika moich najgłębszych uczuć. Wiedziałem, że właściwie to bezcelowe, jako że jego całkiem pokaźny fundusz sympatii w całości przeznaczony był dla siebie samego, a jednak nic nie mogłem na to poradzić.

Być może dlatego, że bywały chwile – takie jak ta – w których ogarniała mnie litość do samego siebie oraz żal do całego świata.

Skończyliśmy właśnie spory lunch w Peacock Alley i czekaliśmy na deser, którym było ciasto truskawkowe, gdy powiedziałem:

–Jestem już chory i zmęczony, George, brakiem jakichkolwiek wysiłków ze strony krytyków w zrozumieniu tego, co próbuję robić. Nie jestem zainteresowany tym, co zrobiliby oni będąc na moim miejscu. Ostatecznie oni nie piszą, bowiem w przeciwnym wypadku nie marnowaliby czasu na krytykę. A jeżeli potrafią pisać, choćby jako tako, to jedyną funkcją ich krytyki jest naigrywanie się z lepszych od siebie. A ponadto...

Lecz w tej właśnie chwili podano ciasto i George natychmiast skorzystał z okazji, aby przejąć ciężar rozmowy, co zresztą i tak by uczynił nawet bez wymówki w postaci deseru.

–Drogi chłopcze – oznajmił – musisz się nauczyć, że zmienne koleje losu przyjmować należy z pokorą. Powiedz sobie, ponieważ jest to prawdą, iż twoje żalosne pisarstwo wywiera tak znikomy wpływ na nasz świat, że cokolwiek powiedzą na ten temat krytycy, o ile w ogóle zechcą się wypowiadać, jest kompletnie pozbawione znaczenia. Myśl tego typu bez wątpienia ulży ci znacznie i zapobiegnie rozwojowi wrzodu żołądka, A zresztą mógłbyś powstrzymać się przed takim użalaniem się nad sobą w mojej obecności, ponieważ powinieneś już wiedzieć, że moje dzieła są o wiele ważniejsze od twoich, a krytyka, jaką czasami jestem nagradzany, o wiele bardziej niszczycielska.

–Czy aby nie zamierzasz mi za chwilę powiedzieć, że ty także parasz się pisarstwem? – zapytałem sardonicznie i przystąpiłem do ataku na ciasto.

–Nie – odparł George atakując swoje. – Jestem daleko bardziej ważniejszą osobistością, dobrodziejem ludzkości – skrzywdzonym i niedocenionym dobrodziejem ludzkości.

Mógłbym przysiąc, że jego oczy podejrzenie zwilgotniały.

–Nie rozumiem – odparłem uprzejmie – jak czyjokolwiek ocena na twój temat mogła

być tak niska, by uchodzić za krzywdzącą.

–Zignoruję to szyderstwo – powiedział George – ponieważ dotyczy głównie ciebie, a zamiast tego opowiem ci o pewnej pięknej kobiecie, Elderberry [jagoda czarnego bzu] Muggs.

–Elderberry? – powtórzyłem z pewnym niedowierzaniem.

Nadano jej imię Elderberry (powiedział George). Nie wiem, czym w wyborze kierowali się jej rodzice, chociaż może miało to na celu upamiętnienie czułych chwil z okresu przedmałżeńskiego. Była to własna sugestia Elderberry, że oboje jej rodzice nadużyli odrobinę wina z czarnej jagody podczas czynności umożliwiających jej start w życie. Całkiem możliwe, że w innym przypadku mogłaby nie mieć takiej okazji.

W każdym bądź razie jej ojciec będący równocześnie moim starym przyjacielem poprosił mnie, abym zostałem jej ojcem chrzestnym, a ja postanowiłem nie odmawiać. Wielu moich przyjaciół, zapewne pod wrażeniem mojej szlachetnej postawy oraz szczerzej i cnotliwej twarzy, może czuć się spokojnie mając mnie obok siebie w kościele, więc otrzymanym takich propozycji całe mnóstwo. Naturalnie brałem te rzeczy poważnie i zdawałem sobie sprawę z ciężącej na mnie odpowiedzialności. To właśnie było powodem, dla którego w późniejszym życiu starałem się trzymać moich chrzestnych dzieci tak blisko jak to tylko możliwe, szczególnie gdy rozkwitały w tak piękne młode istoty, jak Elderberry.

Jej ojciec zmarł, kiedy miała dwadzieścia lat i odziedziczyła po nim znaczną sumę pieniędzy, co w oczywisty sposób jeszcze podniosło jej piękno w oczach świata. Ja sam jestem powyżej takich przyziemnych spraw jak pieniądze, jednakowoż czułem się w obowiązku ochraniać ją przed łowcami fortun. W tym celu przebywałem w jej środowisku nawet więcej, niż było to konieczne i często jadałem kolacje w jej domu. Ostatecznie była bardzo dumna ze swego wujka George'a, jak zapewne możesz to sobie wyobrazić, a ja z pewnością nie mogę jej za to winić.

Tak się złożyło, że Elderberry właściwie nie potrzebowała majątku, jaki pozostawił jej ojciec, ponieważ szybko stała się bardzo znaną rzeźbiarką tworzącą dzieła, których wartość artystyczna nie mogła być kwestionowana z tego prostego powodu, iż osiągały one olbrzymie ceny na rynku.

Osobiście nie bardzo rozumiałem jej prac, ponieważ mój gust jeśli chodzi o dzieła sztuki jest raczej ulotny i nie byłem w stanie docenić rzeczy, które tworzyła ku rozkoszy tej części tęgęgo pospółstwa, mogącej pozwolić sobie na ich nabycie.

Pamiętam, jak pewnego razu zapytałem ją, co właściwie przedstawia jedna z jej rzeźb.

–Jak widzisz – odparła – praca ta zatytułowana jest "Bocian w locie".

Studiowałem przez chwilę ten tajemniczy obiekt wykonany w najprzedniejszym brązie, po czym zauważyłem:

–Tak, widzę plaketkę z tytułem, ale gdzie tu jest bocian?

–Tutaj – odparła wskazując na niewielki metalowy stożek, unoszący się z raczej bezkształtnej podstawy i zakończony ostrym szpicem.

Obrzuciłem wskazane coś uważnym spojrzeniem i zapytałem:

–Czy to jest ten bocian?

–Oczywiście, ty niewypale umysłowy – odparła (jak zwykle używała wobec mnie czułych określeń) – ma to reprezentować końcówkę długiego dzioba bociana.

–Ale czy to wystarczy, Elderberry?

–Naturalnie. Przecież nie usiłuję tu oddawać samego bociana, ale abstrakcyjne wyobrażenie samej istoty bocianizmu, a która jest dokładnie tym, co ta rzeźba przywodzi ci na myśl.

–Istotnie – zauważyłem lekko rozbawiony – teraz, kiedy o tym wspomniałaś, rzeczywiście jest w tym coś z bociana. Ale tytuł głosi, że jest to bocian w locie. Jak to należy rozumieć?

–Ach. ty przerośnięta fujaro – wykrzyknęła – czyż nie widzisz tej niekształtnej podstawy z brązu?

–Owszem – odparłem. – Właściwie to nawet sama narzuca się mojej uwadze.

–A nie zaprzeczysz chyba, że powietrze – jakikolwiek gaz. jeżeli już o tym mowa – jest niekształtną masą. A więc ta niekształtna podstawa z brązu jest krystalicznie czystym wyobrażeniem abstrakcyjnej atmosfery. I widzisz chyba, że na fasecie tej podstawy widnieje absolutnie prosta, horyzontalna linia.

–Tak. Po wskazaniu widzę ją całkiem wyraźnie.

–Jest to abstrakcyjne wyobrażenie lotu poprzez atmosferę.

–Nadzwyczajne – powiedziałem. – Jak cudownie staje się to jasne, kiedy już wszystko wytłumaczysz. Ile za nią dostaniesz?

–Och! – machnęła dłonią jakby podkreślając marność tego wszystkiego. – Być może dziesięć tysięcy dolarów. To taka prosta i oczywista rzecz, że po prostu wstydziłabym się żądać więcej. Jest to bardziej morceau, niż. cokolwiek innego. Nie tak jak to – wskazała na ścienny fresk, skonstruowany z worków jutowych i

kawałków kartonowych pudeł, które otaczały widniejącą pośrodku złamaną trzepaczkę do jaj, że sprężyną poplamioną czymś, co przypominało zaschłe żółtko.

–Bezcenne – powiedziałem spoglądając na dzieło z należyтым respektem.

–Ja myślę! – odparła. – Widzisz przecież, że trzepaczka do jajek nie jest nowa. Ma na sobie patynę wieku. Znalazłam ją w jakimś worku na śmieci.

I nagle, dla jakiegoś powodu którego nie mogłem nawet wyczuć, jej dolna warga zaczęła drżeć i westchnęła:

–Och, wujku George.

Jej płaczliwy ton natychmiast postawił mnie w stan alarmu. Pochwyciłem jej uzdolnioną, o silnych palcach rzeźbiarki lewą dłoń i uściśniłem.

–Co takiego, moje dziecko?

–Och George – powtórzyła – jestem już taka zmęczona robieniem tych prostych abstrakcji jedynie dlatego, że reprezentują one gusta publiki – dotknęła kostkami prawej dłoni czoła i powiedziała tragicznym szeptem: – Jakże chciałabym móc robić to, co naprawdę pragnę robić, co moje serce artystki mówi mi, że muszę.

–A co takiego chciałabyś robić, Elderberry?

–Chcę eksperymentować. Chcę poznać nowe kierunki. Chcę spróbować tego, co jeszcze nie było próbowane, odważyć się na to, na co nikt jeszcze nie miał śmiałości się ważyć, stworzyć to, co niemożliwe do stworzenia.

–Dlaczego więc tego nie robisz, moje dziecko? Jesteś przecież wystarczająco bogata, by folgować wszystkim swoim zachciankom.

Nagle uśmiechnęła się, a jej cała twarz zapłonęła szczęściem.

–Dziękuję ci, wujku George – powiedziała – dziękuję, że to powiedziałeś. Mówiąc szczerze to już folguję swoim zachciankom – a przynajmniej od czasu do czasu. Mam sekretne pomieszczenie, w którym przeprowadzam swoje maleńkie eksperymenty, których wartość docenić mogą jedynie osoby o nadzwyczaj wyrobionym guście. Ci, którzy są niczym perły rzucone przed wieprze – dodała cytując znane przysłowie.

–A czy ja mógłbym je zobaczyć?

–Oczywiście, drogi wujaszku. Po tym, co powiedziałeś aby mnie ośmielić, jakżeż mogłabym ci odmówić?

Uniosła grubą kurtynę, za którymi znajdowały się sekretne drzwi tak dopasowane

do ściany, że ledwie widoczne. Otwierały się elektrycznie, za naciśnięciem guziczka. Po wejściu do środka drzwi zamknęły się za nami i rozbłysły lampy fluorescencyjne, czyniąc to pozbawione okien pomieszczenie widnym jak w dzień.

Prawie natychmiast spostrzegłem rzeźbę bociana, wykonaną z jakiegoś solidnego, kamiennego materiału. Każde pióro było na swoim miejscu, oczy błyszcząły pełnią życia, dziób był lekko rozchylony, skrzydła do połowy wyprostowane... miałem wrażenie, że za chwilę uniesie się w powietrze.

–Wielkie nieba, Elderberry – powiedziałem. – Jeszcze nigdy niczego podobnego nie widziałem.

–Podoba ci się? Nazywam to "sztuką fotograficzną" i sędzę, że na swój sposób jest wspaniała. Całkowicie eksperymentalna, oczywiście, więc krytycy i publiczność śmieliby się ze mnie i szydziłi nie dostrzegając tego, co chcę im w ten sposób przekazać. Oni honorują wyłącznie proste abstrakcje, które istnieją jedynie powierzchownie i których nikt nie potrafi zrozumieć, a nie coś takiego, co przemawia wyłącznie do osób subtelnych oraz takich, które rade są pozwalać sobie na wolniejsze tempo pojmowania.

Zostałem więc obdarzony przywilejem wkroczenia do tego sekretnego pomieszczenia i okazjonalnego studiowania dzieł, jakie wychodziły spod jej silnych palców i wykształconego dłuta. Pamiętam, że szczególne wrażenie zrobiła na mnie oddana w każdym szczególe głowa kobiety, niezwykle podobna do samej Elderberry.

–Nazwałam tę pracę "Lustro" – powiedziała, a jej nieśmiały uśmiech wywołał na twarzy urocze dołeczki – Nie uważasz, że przedstawia ona moją duszę?

Zgodziłem się z tym entuzjastycznie.

–Elderberry – powiedziałem. – Jak to właściwie jest, że nie masz żadnego... – zawahałem się i lekceważąc eufemizmy dokończyłem – przyjaciela?

Sędzę, że właśnie to spowodowało, iż w końcu zdecydowała się powierzyć mi swój największy sekret.

–Przyjaciele – prychnęła z pogardą. – Owszem, pętają się dookoła ale jak mam właściwie na nich patrzeć? Jestem artystką. W sercu, duszy i umyśle wryty mam obraz prawdziwego męskiego piękna, które nie może zostać powielone w zwykłym ciele i krwi. Ten to obraz i tylko on mógłby podbić moje serce. On i tylko on podbił moje serce.

–Podbił twoje serce, moje dziecko? – powtórzyłem miękko. – Czyżbyś więc spotkała ten ideał?

–Tak... Ale chodź za mną, wujku George, ty także go zobaczysz. Staniesz się w ten sposób powiernikiem mojego największego sekretu.

Powróciliśmy do pokoju sztuki fotograficznej. Tam odsunęła kolejną grubą zasłonę. Staliśmy teraz przed wnęką, której nigdy jeszcze nie widziałem. Znajdował się tam posąg męczyzny, wysoki na sześć stóp i nagi, oraz o ile byłem w stanie to dostrzec, anatomicznie prawidłowy co do milimetra.

Elderberry nacisnęła guzik i posąg zaczął powoli obracać się na swoim piedestale, a jego doskonałe proporcje były znakomicie widoczne z każdego kąta.

–Dzieło mojego życia – szepnęła Elderberry. Osobiście nie jestem wielbicielem męskiego piękna, ale

ujrzawszy na ślicznej twarzy Elderberry wyraz uwielbienia zrozumiałem, że jest w nim zakochana.

–Kochasz ten posąg – skonstatowałem unikając ostrożnie bezosobowego "to".

–Och tak – odrzekła w dalszym ciągu szeptem. – Umarłabym dla niego. Kiedy on istnieje, wszyscy inni mężczyźni wydają mi się zdeformowani i odpychający. Nigdy nie potrafiłabym pozwolić dotknąć się jakiemuś mężczyźnie bez uczucia wstrętu. Pragnę tylko jego. Tylko jego.

–Moje biedne dziecko – powiedziałem – przecież ten posąg nie jest żywy.

–Wiem o tym – odparła ze smutkiem. – Moje biedne serce jest z tego powodu złamane. Ale cóż mogę począć?

–Jakie to smutne – westchnąłem. – Przypomina mi to opowieść o Pigmalionie.

–O kim? – zapytała Elderberry, która jak wszyscy artyści była nieskomplikowaną duszą, bez większego pojęcia o otaczającym ją świecie.

–O Pigmalionie. To bardzo stara historia. Pigmalion był rzeźbiarzem, tak jak ty, tylko oczywiście mężczyzną.

Pewnego razu wyrzeźbił przepiękny posąg, tak samo jak ty, z tym że powodowany dziwacznymi męskimi uprzedzeniami wyrzeźbił kobietę, którą nazwał Galatea. Posąg ten był tak piękny, że Pigmalion zakochał się w nim. Widzisz więc, że bardzo przypomina to twoją sytuację, być może za wyjątkiem tego, iż ty jesteś żywą Galatea, a posąg jest wyobrażeniem...

–Nie – przerwała energicznie Elderberry – nie oczekuj, że będę nazywała go Pigmalionem. To takie szorstkie, prostackie imię, a ja chciałabym coś poetyckiego.

Już wiem! – jej twarz ponownie zapłonęła miłością. – Nazwę go Hank. Jest w tym imieniu coś miękkiego, coś muzycznego, co przemawia do samej istoty mojej duszy. Ale co stało się z Pigmalionem i Galatea?

–Opętany miłością – odparłem – Pigmalion modlił się do Afrodyty...

–Do kogo?

–Do Afrodyty, greckiej bogini miłości. No więc modlił się do niej, a ona z czystej sympatii ożywiła posąg. Galatea stała się kobietą, wyszła za Pigmaliona i żyli długo i szczęśliwie.

–Hmm – mruknęła zamyślona Elderberry. – Przypuszczam, że ta Afrodyta tak naprawdę nie istnieje, prawda?

–Tak, nie istnieje. Chociaż z drugiej strony... – zacząłem, ale w porę ugryzłem się w język. Nie sądziłem, by Elderberry była mnie w stanie zrozumieć, gdybym wspomniał o moim dwucentymetrowym demonie Azazelu.

–To źle – odparła – ponieważ gdyby ktokolwiek mógł dla mnie powołać Hanka do życia, gdyby ktokolwiek mógł przemienić jego zimne, marmurowe członki w ciepłe, miękkie ciało, dałabym mu... Och, wujku George, nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jaką rozkoszą byłoby obejmować żywego Hanka, czuć pod swoimi dłońmi ciepłą miękkość jego ciała... miękkość... miękkość... – jeszcze kilkakrotnie wymruczała to słowo głosem, w którym pobrzmiwała nutka ekstazy.

–To prawda, droga Elderberry – powiedziałem – że nie potrafię sobie tego wyobrazić, ale rozumiem, iż dla ciebie byłoby to czymś cudownym. Ale powiedziałaś, że jeżeli komukolwiek uda się przemienić jego marmurowe członki w ciepłe, miękkie ciało, to coś byś mu ofiarowała? Czy miałaś na myśli coś konkretnego, kochanie?

–Oczywiście! Dałabym mu milion dolarów. Zamilkłem, co zapewne przydarzyłoby się każdemu, ze względu na sam szacunek dla wymienionej sumy, a potem zapytałem:

–A czy masz milion dolarów, Elderberry?

–Mam dwa miliony ślicznych dolarków, wujku George – oświadczyła w sposób prosty i niezepsuty – a strata połowy tej sumy nie byłaby dla mnie czymś wielkim. A zresztą Hank jest tego wart, szczególnie, że zawsze mogę przecież zarobić sprzedając kilka abstrakcji dla zwykłej klienteli.

–Istotnie – mruknąłem. – No cóż, uszy do góry, Elderberry. Zobaczymy, co wujaszek George może dla ciebie zrobić.

W oczywisty sposób była to sprawa dla Azazela, więc nie zwlekając wezwałem mego

małego przyjaciela, który tak się składa, że stanowi pomniejszoną, bo zaledwie dwucentymetrową kopię diabła, łącznie z maleńkimi rogami i wijącym się, ostro zakończonym ogonem.

Jak zwykle pojawił się nie w humorze i upierał się przy marnowaniu mojego czasu opowiadaniem z raczej nudnymi szczegółami, dlaczego w takim akurat nastroju się znajduje. Wyglądało na to, że wykonał właśnie jakąś pracę o charakterze artystycznym – a przynajmniej artystycznym w standardach jego śmiesznego świata, bowiem chociaż opisał mi ją z detalami, że zrozumiałem z tego ani słowa – i został niemiłosiernie schlastany przez krytykę.

Krytycy, jak przypuszczam, są tacy sami w całym Wszechświecie – wszyscy co do jednego bezwartościowi i zawistni.

Ty jednak powinieneś być wdzięczny, że krytycy na Ziemi posiadają mimo wszystko jakiś stopień przyzwoitości. Bowiem jeżeli Azazelowi można ufać, to uwagi, jakie krytycy z jego świata poczynili na jego temat były o niebo zjadliwsze niż jakiegokolwiek, które padały o tobie. Najłagodniejszym przymiotnikiem był chyba koński tyłek. To właśnie podobieństwo twojego dzisiejszego zrzędzenia pomogło mi przywieść ten epizod na myśl.

Z trudnością udało mi się zatamować potok jego inwektyw na wystarczająco długą chwilę, bym zdążył poprosić go o ożywienie posągu. W odpowiedzi skrzeknął z przenikliwością, która zabolala moje uszy:

–Materiał oparty na krzemianie przemienić w życie na węglu i wodzie? Dlaczego nie poprosisz, aby wybudował ci planety z ekstrementów? Jak mogę zamienić kamień w ciało?

–Z pewnością potrafisz coś wymyślić, o Wszechmocny – odparłem. – Pomyśl: jeżeli podołasz temu niezwykłemu zadaniu, możesz opowiedzieć o tym w swoim świecie, a wtedy ci wszyscy krytycy poczują się jak kupa skończonych osłów.

–Oni już są kupą skończonych osłów – prychnął Azazel. – Jeżeli poczują się jak osły, to zostaną jedynie dowartościowani. Takie uczucie będzie dla nich nagrodą. A ja chcę, żeby czuli się jak banda farfelanimorów.

–Dokładnie tak właśnie będą się czuli. Wszystko, co musisz zrobić, to zamienić zimno w ciepło, kamień w ciało, twarde w miękkie. Szczególnie w miękkie. Młoda kobieta, o której jestem wysokiego mniemania pragnie objąć ten posąg i poczuć pod palcami miękkie, elastyczne ciało. To nie powinno być trudne. Posąg ten stanowi doskonałe odbicie ludzkiego ciała, a ty musisz jedynie wypełnić je mięśniami, naczyniami krwionośnymi, organami, nerwami, pokryć to wszystko skórą i będziesz miał, co chciałeś.

–Po prostu wypełnić tym wszystkim, tak? I nic więcej co?

–Ale pomyśl – sprawisz, że krytycy będą się czuli jak banda farfelanimorów.

–Hmm. Może i tak. Czy wiesz, jak farfelanimory śmierdzą?

–Nie wiem i nie chcę wiedzieć. A w charakterze modela możesz wykorzystać mnie.

–Model, schmodel – mruknął zjadliwie (gdzie usłyszał to wyrażenie, nie mam pojęcia). – Czy wiesz, jak bardzo skomplikowany jest nawet najbardziej szczątkowy ludzki mózg?

–No cóż – odparłem. – Z samym mózgiem nie musisz posuwać się zbyt daleko. Elderberry jest prostą dziewczyną i to, czego oczekuje po tym posągu, niewiele ma wspólnego z mózgiem, jak przypuszczam.

–Będziesz musiał pokazać mi ten posąg i pozwolić na rozważenie całej sprawy – powiedział.

–Zrobię to. Ale pamiętaj. Spraw, aby posąg ożył na naszych oczach i upewnij się, że jest do nieprzytomności zakochany w Elderberry.

–Miłość jest łatwa. To po prostu sprawa odpowiedniego dostrojenia hormonów.

Następnego dnia udało mi się nakłonić Elderberry, aby zaprosiła mnie ponownie do złożenia wizyty posągowi. Azazel siedział w kieszeni mojej koszuli i co chwila wysuwał swą maleńką główkę na zewnątrz, wydając przy tym nieprzyjemne, wysokie prychnięcia. Na szczęście oczy Elderberry przez cały czas utkwione były w posągu i nie zauważyłaby nawet dwumetrowego demona, gdyby taki stanął nagle tuż obok niej.

–No i co? – zapytałem później Azazela.

–Spróbuję – odparł. – Wyposażę go w niezbędne organa opierając się na tobie. Ufam, iż jesteś normalnym przedstawicielem twego głupiego i podrzędnego gatunku.

–Więcej niż normalnym – odrzekłem wyniośle. – Jestem egzemplarzem wybitnym.

–A więc dobrze. Będzie miała ten swój posąg pokryty w całości miękkim, ciepłym i żywym ciałem. Będzie musiała jednak poczekać do jutrzejszego popołudnia waszego czasu. Nie mogę się z tym śpieszyć, rozumiesz.

–Rozumiem. Ona i ja będziemy czekali. Zadzwoiłem do niej następnego dnia rano.

–Elderberry, moje dziecko, rozmawiałem z Afrodytą.

–To znaczy, że ona istnieje, wujku George? – zapytała podnieconym szeptem.

–W pewnym sensie, drogie dziecko. Twój idealny mężczyzna ożyje dzisiaj w południe, i to w dodatku na twoich oczach.

–Och – jęknęła cichutko. – Chyba nie oszukujesz mnie w tak okrutny sposób, wujku George?

–Nigdy nie oszukuję – odparłem. To prawda, że nigdy tego nie robię, ale przyznaję, iż byłem wtedy odrobinę zdenerwowany, ponieważ w całości polegać musiałem na Azazelu. Z drugiej strony wiedziałem, że jeszcze nigdy mnie nie zawiódł.

W południe ponownie znaleźliśmy się przed wnęką, wpatrując się w posąg, który kamiennym wzrokiem gapił się gdzieś w przestrzeń.

–Czy twój zegarek wskazuje prawidłowy czas? – zwróciłem się z tym pytaniem do podekscytowanej dziewczyny.

–O tak. Nastawiłam go zgodnie z czasem podanym przez obserwatorium. Pozostała tylko jedna minuta.

–Możemy mieć minutę lub dwie opóźnienia, oczywiście. Nie sposób wyliczyć takich rzeczy dokładnie.

–Bogini powinna być raczej punktualna – zauważyła Elderberry. – Bowiem w przeciwnym razie jakież pożytek z bycia boginią?

To właśnie nazywam prawdziwą wiarą. Była ona zresztą usprawiedliwioną, bowiem dokładnie w południe przez posąg wydawało się przebiegać leciutkie drżenie. Powoli jego kolor zmienił się z trupiobiałego marmuru na ciepły, cielesny róż. Jego ciało stopniowo zaczęło ożywać, ręce osunęły się wzdłuż boków, oczy stały się błękitne i rozbłysły życiem, włosy na głowie pociemniały i zaczęły pojawiać się wszędzie tam, gdzie to konieczne. Jego głowa pochyliła się i spojrzał na Elderberry, spazmatycznie wciągając do płuc powietrze.

Powoli, ze skrzypieniem, zlął ze swego piedestału i z wyciągniętymi ramionami ruszył w stronę dziewczyny.

–Ty Elderberry, ja Hank – oświadczył.

–Och Hank – szepnęła jedynie Elderberry i rzuciła się w jego ramiona.

Przez długi czas stali stopieni w uścisku, aż w końcu jej błyszczące w ekstazie oczy spojrzały ponad jego ramieniem prosto na mnie i powiedziała:

–Hank i ja pozostaniemy w domu przez kilka dni, wujku George. Będzie to coś w rodzaju naszego miodowego miesiąca, a potem odezwę się do ciebie – i uczyniła palcami dłoni charakterystyczny gest, rozpoznawany na całym świecie jako liczenie pieniędzy.

Wtedy moje oczy także zalśniły w ekstazie i na paluszkach wycofałem się z pokoju. Mówiąc szczerze pomyślałem, że jest to raczej niestosowne, aby całkowicie ubrana młoda kobieta tak ciepło obejmowana była przez nagiego mężczyznę, lecz równocześnie byłem pewny, iż natychmiast po moim wyjściu Elderberry skoryguje tę niedogodność.

Czekałem na telefon dziesięć dni, ona jednak nie dzwoniła. Nie byłem tym szczególnie zaskoczony, jako że dobrze wiedziałem, jak bardzo była zajęta. Jednakże po dziesięciu dniach pomyślałem, że powinni zrobić sobie przerwę, choćby na oddech. Gwoli sprawiedliwości – myślałem dalej – skoro jej ekstaza została dopełniona głównie dzięki moim wysiłkom – no i oczywiście Azazela – ta sama sprawiedliwość wymaga, aby moja ekstaza dopełniona została także.

Udałem się więc do jej miejsca zamieszkania, gdzie pozostawiłem szczęśliwą parę i nacisnąłem dzwonek. Minęła dłuższa chwila i już oczyma wyobraźni ujrzałem dwójkę młodych ludzi, którzy zapieścili się nawzajem na śmierć, gdy w końcu drzwi uchyliły się odrobinę.

W szparze pojawiła się Elderberry, wyglądając całkowicie normalnie, o ile nie licząc gniewnego wyrazu twarzy.

–Och, to ty – mruknęła.

–Właśnie – odparłem. – Obawiałem się, że wyjechaliście z miasta, aby kontynuować wasz miesiąc miodowy w jakimś innym miejscu.

Nie wspomniałem ani słowa o zapieśczeniu na śmierć. Czułem że byłoby to niedyplomatyczne.

–A czego chcesz? – zapytała.

To zdecydowanie nie było już przyjacielskie. Mogłem zrozumieć, że nie życzyła sobie, aby jej przeszkadzano, ale ostatecznie po dziesięciu dniach mała przerwa nie powinna być już końcem świata.

–Pozostała jeszcze maleńka kwestia miliona dolarów, moje dziecko – odparłem i pchnąwszy drzwi wszedłem do środka.

Spojrzała na mnie z zimnym szyderstwem i powiedziała:

–To, co dostaniesz, to najwyżej kilka bobków, chłopie.

Nie mam najmniejszego pojęcia, czym były owe "bobki", ale natychmiast zorientowałem się, że to o wiele mniej niż milion dolarów.

Zaskoczony i więcej niż jedynie odrobinę urażony, zapytałem:

–Dlaczego? Co się stało?

–Co się stało? – powtórzyła. – Powiem ci, co się stało. Kiedy powiedziałam, że chcę Hanka miękkiego, to wcale nie oznaczało, że chcę go miękkiego wszędzie i stale.

Z siłą godną rzeźbiarki wypchnęła mnie na zewnątrz i zatrzasnęła drzwi. Zbity z tropu jeszcze stałem w progu, gdy nagle drzwi uchyliły się ponownie.

–A jeżeli wrócisz tu jeszcze raz, to powiem Hankowi, żeby rozdarł się na sztuki. Pod tym akurat względem jest silny jak byk.

Tak więc poszedłem. Bo i co mogłem zrobić? No i jak podoba ci się krytyka moich artystycznych wysiłków? Więc na przyszłość nie zanudzaj mnie, proszę, swoimi drobnymi żałami.

Po zakończeniu opowieści George pokiwał głową z tak żalospną miną, że aż zrobiło mi się go żal.

–George – powiedziałem – wiem, że winisz o to wszystko Azazela, ale doprawdy tym razem nie jest to wina tego małego jegomościa. Sam podkreślałeś przecież wagę miękkości...

–Ona także – przerwał z oburzeniem George.

–Tak, ale to ty powiedziałeś Azazelowi, aby posłużył się tobą jako modelem przy ożywaniu tego posągu, więc to właśnie mogło być przyczyną niemożności...

George uniósł w górę dłoń i spojrzał na mnie z ogniem w oczach.

–To – powiedział – boli mnie nawet bardziej niż utrata pieniędzy, które zarobiłem. Muszę ci bowiem powiedzieć, że nawet pomimo faktu, iż jestem już kilka lat poza moimi najlepszymi...

–Tak, tak George, przepraszam. Wiesz, wydaje mi się, że jestem ci winien dziesięć dolarów.

No cóż, dziesięć dolarów to zawsze dziesięć dolarów. Ku mojej uldze, George podniósł banknot i uśmiechnął się.

FANTASMAGORIA

Kiedy spotykam się z George'em na wspólnej kolacji, raczej unikam płacenia moją kartą kredytową. Płacę gotówką, ponieważ daje to George'owi szansę na doskonalenie techniki ukradkowego podprowadzania reszty, co stało się już jego nawykiem. Oczywiście przedtem upewniam się, aby reszta taka nie była zbyt wysoka, a napiwki pozostawiam oddzielnie.

Pewnego razu zjedliśmy razem lunch w Boathouse i wracaliśmy idąc na przełaj przez Central Park. Był przepiękny, ciepły dzień, więc usiedliśmy na ocienionej przyjemnie ławeczce i oddaliśmy kontemplacji natury.

George obserwował ptaszka siedzącego na pobliskiej gałęzi w nieco przykurczony sposób właściwy dla wszystkich ptaków, a potem długo jeszcze patrzył za nim, gdy ten poderwał się do lotu i odfrunął.

–Kiedy byłem chłopcem – powiedział – obruszało mnie, że takie małe stworzonka mogą latać, a ja nie.

–Wydaje mi się, że chyba wszyscy chłopcy zazdroszczą ptakom – odparłem. – Dorośli zresztą także. Ludzie potrafią jednak latać, czyniąc to w dodatku szybciej i wyżej, niż jakikolwiek ptak. Spójrz na przykład na samolot, który w dziewięć dni jest w stanie okrążyć Ziemię, bez przystanków i bez tankowania. Żaden ptak nie mógłby tego zrobić.

–A jaki ptak chciałby? – odparł lekceważąco George. – Ja nie mówię o siedzeniu w maszynie, która lata, czy nawet o zwisaniu spod lotni. To technologiczne kompromisy. Chodzi mi o unoszenie się w powietrzu całkowicie samodzielnie, wykorzystując do tego celu jedynie wymachy ramion. Westchnąłem.

–Oznaczałoby to rozerwanie pęt grawitacji. Śniłem o tym kiedyś, George. Śniłem, że mogłem wyskoczyć w powietrze i tak pozostać, poruszając jedynie delikatnie ramionami, a potem spłynąć w dół powoli i łagodnie. Wiedziałem oczywiście, że jest to niemożliwe, więc założyłem, iż jest to tylko sen. Ale potem, w moim śnie, obudziłem się i stwierdziłem, że leżę w łóżku. Wstałem więc i spostrzegłem, że w dalszym ciągu mogę unosić się swobodnie w powietrzu. Ponieważ wydawało mi się, że się przebudziłem, uwierzyłem iż rzeczywiście mogę to robić. A kiedy rzeczywiście się obudziłem, stwierdziłem, że jestem większym niewolnikiem grawitacji niż kiedykolwiek. Cóż to było za uczucie utraty, jakie ogromne rozczarowanie! Przez kilka dni nie mogłem dojść po tym śnie do siebie.

Jak było do przewidzenia, George – powiedział:

–Ja doświadczyłem czegoś jeszcze gorszego.

–Doprawdy? Miałeś więc podobny sen? Tyle że zapewne głębszy i lepszy?

–Sny! Nie zwracam sobie głowy snami. Pozostawiam je takim gryzipiórkom jak ty. Ja mówię o rzeczywistości.

–A więc oznacza to, że latałeś. A ja mam przypuszczalnie uwierzyć, że znajdowałeś się w krążącym po orbicie statku kosmicznym?

–W żadnym statku. Było to tutaj, na Ziemi. I nie mówię o sobie. Był to mój przyjaciel Baldur Anderson... ale chyba lepiej będzie jak opowiem ci wszystko od początku.

Większość moich przyjaciół (powiedział George) to intelektualiści i ludzie wykształceni, do których prawdopodobnie sam siebie zaliczasz, lecz Baldur nie był tego typu człowiekiem. Był zwykłym taksówkarzem, bez większego wykształcenia, ale za to przejawiającym głęboki szacunek dla nauki. Wiele wieczorów spędziliśmy w naszym ulubionym pubie popijając piwo i dyskutując o teorii big-bangu, prawach termodynamiki, inżynierii genetycznej i tak dalej. Zawsze był mi głęboko wdzięczny za odsłanianie mu skomplikowanych arkanów tych spraw i nalegał, pomimo moich protestów, na płacenie rachunków.

Jednakże jego osobowość posiadała jeden nieprzyjemny aspekt – był on mianowicie ateistą. Nie chodzi mi tu o tych twoich filozoficznych niedowiarków, którzy odrzucają wszystko co nadprzyrodzone, należą do dziwacznych organizacji humanistycznych i pisują do magazynów, których nikt nie czyta, wyrażając się przy tym w języku, którego nikt nie rozumie.

Nic z tych rzeczy. Baldur był kimś, kogo w dawnych czasach określano mianem wioskowego ateisty. W pubie wojował na argumenty z ludźmi, którzy byli takimi samymi ignorantami w tych sprawach jak i on, obrzucając się przy tym głośnymi i niewybrednymi epitetami. Typowa rozmowa mogłaby przebiegać w sposób następujący:

–Skoro jesteś taki cwany, zakuta pało – rzekłby Baldur – to w takim razie powiedz mi, skąd Kain wytrzasnął sobie żonę?

–Guzik cię to obchodzi – odparłby jego adwersarz.

–Ponieważ zgodnie z Biblią, Ewa była w tym czasie jedyną żyjącą kobietą.

–Skąd wiesz?

–Tak mówi Biblia.

–Nieprawda. Pokaż mi, gdzie jest napisane: "Ewa była w tym czasie jedyną kobietą na całej Ziemi".

-To zrozumiałe samo przez się.

-Akurat, ty matole.

-Ach tak?

-A tak!

W spokojniejszych chwilach próbowałem łagodzić Baldura mówiąc:

-Spieranie się w kwestiach wiary nie ma większego sensu. Niczego w ten sposób nie udowodnisz, a doprowadzisz jedynie do sprzeczki.

-Mam konstytucyjne prawo – odpowiedział wojowniczo Baldur – nie wierzyć w te koszałki-opałki i mam też prawo głośno o tym mówić.

-Oczywiście – przytaknałem starając się go ułagodzić – ale pewnego dnia jeden z tych wielbicieli piwa może rozkwasić ci nos bez oglądania się na Konstytucję.

-Ci faceci – odparł Baldur – prędzej nadstawią drugi policzek. Bo tak uczy Biblia. Mówi się tam: "Nie podnoście wrzawy z powodu złego słowa. Odstąpcie."

-Mogą o tym zapomnieć.

-A jeśli nawet, to co z tego? Potrafię o siebie zadbać

-w to akurat nie wątpiłem, jako że był dużym i muskularnym mężczyzną, którego nos sprawiał wrażenie jakby zatrzymał na sobie już niejeden cios, pięści zaś wyglądały na zdolne do wywarcia odpowiedniej zemsty na sprawcy takiego czynu.

-Bez wątpienia – powiedziałem – zważ jednak, że w dyskusjach o sprawach religii masz zazwyczaj przeciwko sobie kilku oponentów, podczas gdy ty jesteś sam. Tuzin osób działających wspólnie z łatwością mogłoby zredukować cię do czegoś przypominającego befsztyk. A zresztą – dodałem – przypuśćmy, że twoje argumenty w jakiejś kwestii spornej będą silniejsze. Mógłbyś tym spowodować, że jeden z obecnych tu gentlemanów straciłby wiarę. Czy rzeczywiście- chciałbyś być za to odpowiedzialny?

Baldur sprawiał wrażenie zakłopotanego, ponieważ w głębi serca był człowiekiem poczciwym i dobrotliwym.

-Nigdy nie czynię żadnych uwag o naprawdę delikatnych kwestiach religii odparł. – Mówię o Kainie i o Jonaszu, że nie mógł żyć przez trzy dni w jakimś wielorybie, i o chodzeniu po wodzie. Ale nie mówię niczego, co jest rzeczywiście wstrętne. Nie mówię przecież niczego na temat świętego Mikołaja, prawda? Słuchaj, słyszałem

kiedyś faceta, który głośno powiedział, że święty Mikołaj miał tylko osiem reniferów, a jego sen nigdy nie ciągnął czerwony renifer o imieniu Rudolf. "Dlaczego chcesz unieszczęśliwić dzieciaki?" – ja mu na to i strzeliłem go w zęby. Nigdy też nie pozwalałam powiedzieć nikomu złego słowa na temat Śniegowego Bałwanka.

Taka rzadko spotykana wrażliwość przyjemnie mnie ujęła, oczywiście. Zapytałem:

–W jaki sposób doszedłeś do tego stanu, Baldurze? Co właściwie sprawiło, że stałeś się takim zaciekłym ateistą?

–Anioły – odparł marszcząc posępnie brwi.

–Anioły?

–Właśnie. Kiedy byłem dzieciakiem, widziałem anioły na obrazkach. Ty też widziałeś takie obrazki?

–Oczywiście.

–Miały skrzydła. Miały ręce i nogi, a z pleców wyrastały im ogromne skrzydła. Jako dzieciak czytałem też książki naukowe i tam wyczytałem, że każde zwierzę posiadające kręgosłup ma cztery kończyny. Mają cztery płetwy, albo cztery łapy, albo dwie nogi i dwoje ramion, albo dwie nogi i dwa skrzydła. Czasami mogą stracić tylne kończyny, jak wieloryby, albo przednie, jak kiwi, albo wszystkie cztery, jak węże. Ale żadne z nich nie może mieć więcej kończyn jak cztery. A więc skąd u aniołów sześć kończyn – dwie nogi, dwoje ramion i para skrzydeł? Mają przecież kręgosłupy, prawda? I nie są chyba jakimiś insektami, no nie? Kiedyś zapytałem o to matkę, ale ona kazała mi się zamknąć. Od tamtej pory rozmyślałem o wielu tego typu rzeczach.

–Ależ Baldurze – powiedziałem – nie możesz przecież takich wyobrażeń przyjmować dosłownie. Skrzydła są symboliczne. Uświadamiają nam one jedynie szybkość, z jaką anioły potrafią się przemieszczać.

–Doprawdy? – prychnął Baldur. – A więc zapytaj kiedyś tych facetów od Biblii, czy anioły mają skrzydła. Oni wierzą, że anioły mają skrzydła. Są zbyt głupi, by pojąć sprzeczność tkwiącą w sześciu kończynach. Właściwie to ta cała sprawa jest głupia. A u aniołów denerwuje mnie jeszcze co innego. Potrafią podobno latać, więc dlaczego ja tego nie potrafię? To nieuczciwe.

Jego dolna warga wysunęła się i wyglądało, że jest na granicy płaczu. Moje serce zmiękło na ten widok, więc spróbowałem go pocieszyć.

–Jeżeli już o tym mówimy – powiedziałem – to kiedy umrzesz i pójdiesz do nieba, otrzymasz skrzydła łącznie z aureolą nad głową i harfą, i wtedy także będziesz mógł

latać.

–Naprawdę wierzysz w te bzdury, George?

–No cóż, może niezupełnie, chociaż wygodnie jest w to akurat wierzyć. Dlaczego sam nie spróbujesz?

–Nie mam zamiaru, ponieważ jest to nienaukowe. Przez całe życie pragnąłem latać – ale tylko przy pomocy ramion a nie jakichś tam skrzydeł. Myślę, że na Ziemi musi istnieć naukowy sposób, dzięki któremu można to osiągnąć.

Wciąż chciałem go pocieszyć, więc niebaczenie, wypiwszy być może o pół piwa ponad moją skromną normę, powiedziałem:

–Jestem pewien, że istnieje sposób.

Łypnął na mnie podejrzliwym i odrobinę przekrwionym okiem.

–Żartujesz ze mnie? – zapytał. – Czyżbyś wyśmiewał się z niewinnego, dziecięcego marzenia?

–Nie, nie – pośpieszyłem z zapewnieniem, ponieważ nagle uświadomiłem sobie, że on być może wypił już o tuzin piw za dużo, a jego dłoń w bardzo nieprzyjemny

sposób zaczęła się zaciskać w pięść. – Czy mógłbym żartować z niewinnego, dziecięcego marzenia? Albo z obsesji osoby dorosłej? Po prostu tak się składa, że znam pewnego hmm... naukowca, który być może zna taki sposób.

W dalszym ciągu patrzył na mnie jak na przeciwnika do bitki.

–A więc zapytaj go – nakazał – i przekaż mi jego odpowiedź. Nie lubię ludzi, którzy ze mnie żartują. To nieprzyjemne. Ja nie żartuję z ciebie, no nie? Nie wypominam ci, że nigdy nie płacisz rachunku, no nie?

To już było zdecydowanie niebezpieczne, więc spieszenie powiedziałem.

–Przekonsultuję to z moim przyjacielem. I nie martw się – już ja wszystko załatwię.

Przemyślawszy to wszystko dogłębnie doszedłem do wniosku, że rzeczywiście lepiej będzie, gdy się tym zajmę. Nie chciałem odcinać mojej stałej dostawy bezpłatnych drinków, a jeszcze bardziej nie chciałem stać się obiektem gniewu Baldura. Nie stosowałem się do biblijnych napomnień zalecających kochać swych wrogów, błogosławić tych, którzy nas przeklinają i czynić dobro tym, którzy nas nienawidzą. On zamiast tego podbijał im oczy.

Tak więc skonsultowałem się z moim pozaziemskim przyjacielem, Azazelem. Czy

wspominałem ci już, że mam... wspominałem? No więc skonsultowałem się z nim.

Azazel po przybyciu był – jak zwykle zresztą – w okropnym nastroju. Unosił ogon pod niezwykłym kątem w górę, a kiedy zapytałem go o przyczynę wybuchnął potokiem skrzekliwych słów, w niepochlebny sposób komentując moich przodków – a więc sprawy, o których nie powinien mieć raczej większego pojęcia.

Zrozumiałem, iż przypadkowo został przez kogoś napadnięty. Jest istotą bardzo niewielką, wysoką na około dwa centymetry licząc od podstawy ogona do koniuszków rogów i podejrzewam, że nawet w jego własnym świecie może mu się poszczęścić jedynie wtedy, gdy jest czymś podnóżkiem. Z pewnością w tej właśnie chwili znalazł się pod butem, a upokorzenie z faktu, iż jest zbyt mały by zostać dostrzeżonym, doprowadziła go do furii.

–Gdybyś posiadał umiejętności latania, o Przepotęźny – powiedziałem łagodząco – któremu hołd składa cały Wszechświat, nie byłbyś wtedy narażony na gburowatość prostaków.

Odniosłem wrażenie, że się odrobinę rozchmurzył. Wciąż jednak mamrotał ostatnią frazę do samego siebie, jakby z zamiarem utrwalenia jej sobie do przyszłego użytku. W końcu rzekł:

–Potrafię latać, o Brzydka Maso Bezwartościowego Cielska i latałbym, gdybym zwracał sobie głowę zwracaniem uwagi na osobników pośledniejszego rzędu, którzy w swej niezdarności bez przerwy na mnie wpadają. No dobrze, czego chcesz tym razem? – to ostatnie zdanie miało być zapewne warknięciem, lecz jego cieniutki głosik sprawił, że bardziej przypominało to piśnienie.

–Wprawdzie ty potrafisz latać, o Nadzwyczajny – powiedziałem w dalszym ciągu starając się go udobruchać – ale w moim świecie są ludzie, którzy tego nie potrafią.

–W twoim świecie nie ma nikogo, kto by to potrafił. Jesteście tak tłuści, tak rozdęci, tak niezgrabni jak zwykła szalidrakonikonka. Gdybyś znał się cokolwiek na aerodynamice, Żaloszny Insekcje, to wiedziałbyś...

–Chylę czoło przed twoją wiedzą, o Najmądrzejszy z Mądrych, ale właśnie przyszło mi do głowy, że rozwiązaniem mogłaby być niewielka ilość antygravitacji.

–Antygravitacji? Czy wiesz, jak...

–O Kolosalny Umyśle – ciągnąłem nie dając mu dojść do słowa – czy będzie mi wolno przypomnieć, że już raz zrobiłeś kiedyś coś podobnego?

–Wtedy, o ile sobie przypominam, chodziło o częściowe zastosowanie tej zasady – odparł Azazel – wystarczającej by umożliwić poruszanie się po zwałach zamarzniętej

wody, jaka występuje na tym waszym przerażającym świecie. Teraz, jak rozumiem, prosisz mnie o coś wiele bardziej ekstremalnego.

–Tak. Mam przyjaciela, który chciałby latać.

–Miewasz dziwaczných przyjaciół – przysiadł na ogonie, co czynił często, kiedy zabierał się do myślenia i naturalnie podskoczył z przeraźliwym piskiem bólu zapomniawszy widać o stanie, w jakim organ ten się znajdował.

Podmuchałem delikatnie na jego bolący ogon, co wydawało się przynosić mu ulgę. W końcu, udobruchany, powiedział:

–Będzie to wymagało mechanicznego urządzenia anty-grawitacyjnego, które mogę ci oczywiście dostarczyć, współpracującego z autonomicznym systemem nerwowym twojego przyjaciela, zakładając oczywiście, że takowy posiada.

–Sądzę, że posiada – odparłem. – Ale na czym ma polegać ta współpraca?

Azazel zawahał się na chwilę.

–Przypuszczam, że najważniejszym czynnikiem będzie wiara, iż potrafi latać.

Dwa dni później odwiedziłem Baldura w jego skromnym mieszkanku. Bez większych ceregieli wyciągnąłem w jego kierunku urządzenie mówiąc:

–Proszę. To dla ciebie.

Nie było to jakieś szczególnie imponujące urządzenie. Wielkością i kształtem przypominało włoski orzech a kiedy przyłożyło się je do ucha, słyszało się cichutkie brzęczenie. Nie miałem pojęcia, co było źródłem zasilania, ale Azazel zapewnił mnie, że nigdy się nie wyczerpie.

Powiedział też, że musi pozostawać w stałym kontakcie ze skórą osoby zamierzającej latać, więc zawiesiłem je na łańcuszku opatrzonym zatrzaskiem.

–Proszę – powtórzyłem, ponieważ Baldur płochliwie uchylał się przed przyjęciem podarunku. – Załóż łańcuszek na szyję i noś to urządzenie pod koszulą. A nawet pod podkoszulkiem, jeżeli masz jakiś.

–Co to właściwie jest, George? – zapytał.

–Urządzenie antygravitacyjne, Baldurze. Najnowszy wynalazek. Bardzo naukowy i ściśle tajny. Nikomu nie wolno ci o tym mówić.

–Jesteś pewny? – zapytał biorąc wreszcie urządzenie do ręki. – Czy dał ci to ten twój przyjaciel?

Skinąłem głową.

–Załóż go na szyję.

Powoli, z wahaniem, przełożył łańcuszek przez głowę i przy wtórce moich dodających mu odwagi słów rozpiął koszulę, wsunął urządzenie pod podkoszulek i zapiął ponownie.

–I co teraz? – spytał.

–Teraz pomachaj ramionami i unieś się w powietrze. Pomachał, jak nakazałem, ale nic się nie stało. Jego grube brwi ściągnęły się w wyrazie podejrzenia.

–Usiłujesz zrobić ze mnie balona?

–Nie. Musisz uwierzyć, że potrafisz latać. Pamiętasz ten film o Piotrusiu Panie? Powiedz sobie: "potrafię latać, potrafię latać, potrafię latać".

–Ale oni mieli tam jakiś proszek, który migotał.

–To nie było naukowe. To, co nosisz jest naukowe. Powiedz sobie, że potrafisz latać.

Baldur obdarzył mnie przeciągłym, twardym spojrzeniem, a ja – choć jestem odważny jak lew – muszę przyznać, że poczułem się odrobinę nieswojo.

–Wymaga to trochę czasu, Baldurze – powiedziałem. – Musisz się nauczyć, jak się tym posługiwać.

Wciąż się na mnie gapił, ale zaczął machać ramionami i powiedział:

–Potrafię latać, potrafię latać, potrafię latać. Ponownie żadnego efektu.

–Podskocz! – poleciłem. – Nadaj temu trochę siły początkowej – nerwowo zastanawiałem się, czy tym razem Azazel rzeczywiście wiedział, co robi.

Baldur, nie odrywając ode mnie wzroku i machając zawzięcie ramionami, podskoczył. Uniósł się w górę o jakąś stopę, pozostał w powietrzu przez czas, w którym zdążyłem policzyć do trzech, po czym łagodnie spłynął w dół.

–Hej – rzucił elokwentnie.

–Hej – zawtórowałem z równą dozą zaskoczenia.

–Mieliśmy tu coś w rodzaju latania.

–Tak, a w dodatku uczyniłeś to z wielkim wdziękiem – powiedziałem.

–No pewnie. Hej, potrafię latać. Spróbujmy jeszcze raz. Podskoczył, a jego włosy pozostawiły na suficie tłustą plamę w miejscu, gdzie weń uderzył. Powoli opadł na podłogę pocierając stłuczone miejsce.

–Musisz uważać, aby nie wznosić się wyżej, jak cztery stopy – zauważyłem.

–Tutaj tak. Ale chodźmy na zewnątrz.

–Oszalałeś? Nie możesz pozwolić, aby ludzie dowiedzieli się, że potrafisz latać. Z miejsca odebraliby ci to urządzenie i dali naukowcom do przebadania, a ty nigdy już nie byłbyś w stanie latać. Mój przyjaciel jest jedynym, który wie o tym urządzeniu i nalegał, aby pozostało ono w tajemnicy.

–No to co mam w takim razie robić?

–Zabawiaj się lataniem w pokoju.

–To nie za wiele.

–Nie za wiele? A jak wiele mogłeś latać pięć minut temu?

Jak zwykle potęga mojej logiki była nie do odparcia.

Musze przyznać, że kiedy obserwowałem go tak bujającego swobodnie i z wdziękiem w raczej mało wonnym powietrzu jego niewielkiego saloniku, odczułem wyraźną chęć aby spróbować czegoś takiego samemu. Nie byłem jednak pewny, czy oddałby mi to urządzenie, a co więcej żywiłem silne przeświadczenie, iż na mnie wcale by ono nie działało.

Azazel nieustannie odmawia uczynienia czegokolwiek dla mnie motywując to czymś, co nazywa wymogami etyki. Jego dary, jak mawia swym idiotycznym stylem, mają przynieść korzyść jedynie innym. Szkoda, że tak uważa, lub że nie uważają tak inni. Nigdy jakoś nie byłem w stanie nakłonić obdarzonych efektami mojej dobroczynności, aby choć w nieznacznym stopniu okazali mi swoją wdzięczność.

Baldur opadł w końcu na jedno z krzeseł i powiedział z wyraźnym zadowoleniem w głosie:

–A więc znaczy to, że mogę latać ponieważ w to wierzę?

–Właśnie – odparłem. – To urzeczywistniona fantasmagoria.

Spodobało mi się to powiedzenie, lecz Baldur miał do tego typu sformułowań raczej dębowe ucho,

–Widzisz więc sam, George – powiedział że lepiej jest wierzyć w naukę niż w niebo i wszystkie te bzdury o anielskich skrzydłach.

–Masz absolutną rację. A może zrobimy teraz przerwę na kolację i zajdziemy gdzieś na kilka drinków?

–Wygrałeś – powiedział krótko i spędziliśmy razem wspaniały wieczór.

Rzeczy nie wyglądały jednak tak całkiem różowo. Baldur wydawał się być pogrążony w pewnego rodzaju melancholii. Zarzucił lokale, w których od lat był stałym bywalcem i wynalazł nowe.

Nie przejmowałem się tym zbytnio. Te nowe miejsca nie były gorsze od starych, a w dodatku podawano tam doskonale wytrawne martini. Byłem jednak ciekaw powodów zmiany, więc go o to zapytałem.

–Nie mogę już spierać się z tymi durniami – odparł ponuro Baldur. – Jeżeli w swym niepohamowaniu powiem im, że potrafię latać jak anioł, to co zrobią? Zaczną mnie czcić? Albo czy w ogóle w to uwierzą? Bez zastrzeżeń wierzą we wszystkie te nonsensy o gadających węzach i kobietach zmienionych w słup soli – w bajki, po prostu w bajki. Ale nigdy nie uwierzyliby mnie. Nigdy w życiu. Muszę się więc trzymać od nich z daleka. Nawet Biblia mówi: "Nie przebywajcie w towarzystwie głupców, ani nie zajmujcie miejsca szyderców".

Czasami ataki melancholii przybierały na sile i wtedy wybuchał:

–Nie mogę robić tego tylko w moim mieszkaniu. Nie mam tam miejsca. Brakuje mi wrażenia, że latam. Muszę zrobić to na powietrzu. Muszę wzbić się w niebo, by potem nieskrępowany niczym pikować w dół.

–Ludzie cię zobaczą.

–Mogę zrobić to nocą.

–Wtedy możesz wyrznąć w jakieś zbocze i zabijesz się.

–Nie, jeżeli wzbiję się rzeczywiście wysoko.

–Ale co wtedy nocą zobaczysz? Równie dobrze możesz fruwać po własnym mieszkaniu.

–Znajdę więc miejsce, gdzie nie będzie żadnych ludzi.

–W dzisiejszych czasach chcesz znaleźć miejsce, gdzie nie będzie ludzi? – dociekałem ze zdziwieniem.

Moja logika ponownie zwyciężyła, lecz on stawał się coraz bardziej nieszczęśliwy i w końcu nie widziałem go przez kilka dni z rzędu. W firmie, w której pracował powiedziano mi, że wziął dwutygodniowy urlop, ale nikt nie wiedział dokąd się udał. Nie chodziło o to, że przejmowałem się utratą jego gościnności – a przynajmniej nie przejmowałem się tym bardzo – ale martwiłem się tym, co może strzelić mu do głowy, kiedy zacznie działać na własną rękę.

Nie musiałem czekać długo, aby się tego dowiedzieć. Po powrocie do swojego mieszkania zatelefonował do mnie. Początkowo nie rozpoznałem jego głosu, ponieważ przemawiał tonem człowieka załamane go, ale oczywiście jak tylko powiedział, że bardzo mnie potrzebuje, natychmiast do niego pojechałem.

Zastąpiłem go siedzącego w pokoju, zdesperowanego i ze złamanym sercem.

–George – powiedział – nigdy nie powinienem był tego robić.

–Robić czego, Baldurze?

Wywołało to z jego strony prawdziwy potok słów.

–Pamiętasz, jak powiedziałem, że chcę znaleźć miejsce, w którym nie będzie żadnych ludzi?

–Pamiętam.

–Wpadłem więc na pewien pomysł. Kiedy w prognozie podano, że ma być kilka pięknych, słonecznych dni, wziąłem trochę wolnego i postanowiłem wynająć samolot. Pojechałem na jedno z tych lotnisk, gdzie za stosowną opłatą możesz wynająć awionetkę – coś jak taksówkę, tylko że lecisz, a nie jedziesz.

–Wiem, wiem – popędzałem go. – I co dalej?

–Powiedziałem pilotowi, aby poleciał aż za przedmieścia, a potem pokręcił się trochę po okolicy. Powiedziałem, że chcę się trochę rozejrzeć. Tak naprawdę to chciałem wyszukać jakieś rzeczywiście puste miejsce, a potem w jakiś wolny weekend wrócić tam i wreszcie polatać tak, jak przez całe życie tego pragnąłem.

–Ależ Baldurze – powiedziałem – przecież nie możesz stwierdzić tego z powietrza. Z góry miejsce wyglądać może na puste, lecz równocześnie może być pełne ludzi.

–Co za sens mówić mi o tym teraz – odparł gorzko. Zamilkł na chwilę, potrząsnął głową i kontynuował:

–Był to jeden z tych naprawdę starych samolotów, w których kokpit pilota z przodu i miejsce dla pasażera z tyłu były otwarte. Przez całą drogę wychylałem się na

zewnątrz, aby obserwować przemykającą w dole ziemię i upewnić się, że nie ma żadnych autostrad, samochodów czy zabudowań. Odpinam pas bezpieczeństwa, żeby móc widzieć lepiej – wiem, że potrafię latać, więc nie muszę obawiać się wysokości. Wychylam się ponownie, lecz pilot nie wie, że to robię i wykonuje skręt w kierunku, w którym akurat patrzę. Samolot przechyla się na bok i zanim udaje mi się czegoś przytrzymać, wypadam na zewnątrz.

–Wielkie nieba – wyszeptałem.

Tuż obok jego fotela stała puszka piwa, więc Baldur wykorzystał tę chwilę przerwy na przepłukanie zmęczonego gardła. Otarł usta wierzchem dłoni i zapytał:

–George, czy wypadaleś kiedy z samolotu bez spadochronu?

–Nie – odparłem. – Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, nie wydaje mi się, abym to kiedykolwiek robił.

–No cóż. spróbuj któregoś dnia – powiedział Baldur. – To bardzo dziwne uczucie. Początkowo byłem tym zupełnie zaskoczony. Przez dobrą chwilę nie wiedziałem, co się właściwie stało. Wszędzie było po prostu powietrze, a ziemia wydawała się obracać, a potem zaczęła unosić się do góry, gdzieś aż za moją głowę, a ja bez przerwy powtarzałem do siebie: co tu się do cholery dzieje? Dopiero po chwili czuję wiatr, coraz silniejszy i silniejszy, ale nie wiem, z jakiego właściwie kierunku wieje. I do mojej głowy dociera myśl, że spadam. Mówię nawet do siebie: O cholera, spadam. I jak tylko to mówię widzę, że rzeczywiście spadam. Ziemia jest pode mną, a ja spadam coraz szybciej i wiem, że zaraz rozbiję sobie łeb, a zamykanie oczu nie przyniesie mi niczego dobrego.

Czy uwierzysz, George, ale przez cały ten czas nawet nie pomyślałem, że potrafię latać. Byłem za bardzo zaskoczony. Mogłem przecież zginąć. Ale nagle, kiedy jestem już prawie na ziemi przypominam sobie i mówię: Potrafię latać! Potrafię latać! Było to jak ślizganie się po powietrzu. Zupełnie, jakbym został przywiązany nagle do jakiejś gumowej taśmy, która napinając się zwalniała mnie i zwalniała. No więc kiedy jestem na poziomie wierzchołków drzew opadam już rzeczywiście wolno i myślę: Może teraz jest odpowiednia chwila na pikowanie? Jestem jednak trochę roztrzęsiony i w sumie pozostaje niewiele miejsca, więc prostuję się, zwalniam jeszcze bardziej i wreszcie ląduję na nogach z prawie niewyczuwalnym wstrząsem.

Oczywiście miałeś rację, George. Kiedy byłem w górze, miejsce to wyglądało na puste, ale kiedy znalazłem się już na ziemi dookoła zgromadził się cały tłum ludzi, wybiegających ze stojącego w pobliżu kościoła ze strzelistą wieżą, którego z góry nie wypatrzyłem – chyba z powodu otaczających go drzew, jak sądzę.

Baldur zamknął oczy i przez chwilę słyszałem tylko jego ciężki oddech.

–Co stało się dalej, Baldurze? – zapytałem w końcu.

–Nigdy byś nie zgadł – odparł.

–Nie chcę zgadywać – powiedziałem. – Po prostu mi o tym opowiedz.

Otworzył oczy i kontynuował dalej.

–No więc kiedy wszyscy wybiegli już z tego kościoła, jeden z nich pada na kolana, unosi ręce do góry i krzyczy: "Cud! Cud!", a reszta idzie za jego przykładem. Nigdy nie słyszałem takiego zgiełku. W końcu do przodu przepycha się jakiś facet, taki mały grubasek i mówi: "Jestem lekarzem. Proszę wyjaśnić, co się właściwie stało". Zupełnie nie wiem, co mu powiedzieć. To znaczy jak właściwie mam wyjaśnić, że zleciałem z nieba? Jeszcze gotowi okrzyknąć mnie aniołem. Mówię więc prawdę: "Przypadkowo wypadłem z samolotu". A oni znowu zaczynają wrzeszczeć: "Cud!".

Lekarz pyta: "Czy miał pan spadochron?" Jak mam mówić, że miałem, kiedy koło mnie niczego takiego nie ma, więc mówię: "Nie". A on na to: "Widziano, jak pan spada, a potem wytraca szybkość i ląduje bardzo łagodnie." A potem inny facet – okazało się, że był to pastor tego kościoła – mówi natchnionym głosem: "Powstrzymała go ręka Boga."

No cóż, tego nie mogłem przyjąć, więc mówię: "Nie, to żadna ręka. To urządzenie anty grawitacyjne, które mam na sobie." A lekarz na to: "Co takiego?" Więc powtarzani: "Urządzenie antygravitacyjne". A on wybuchając śmiechem i mówi: "Na pańskim miejscu trzymałbym się raczej wersji o ręce Boga". Postanawiam więc już niczego więcej nie mówić.

Ale do tego czasu ląduje już samolot. Pilot, blady jak chusta biegnie w naszą stronę i krzyczy: "To nie była moja wina. Ten cholerny głupiec rozpiął swój pas bezpieczeństwa". Nagle widzi mnie stojącego pośrodku tłumu i, cholera, omal nie mdleje. "To ty jeszcze żyjesz?" – wystękał. – "Przecież nie miałeś spadochronu". I wszyscy zaczynają śpiewać coś w rodzaju psalmu, a pastor bierze pilota za rękę i mówi, że była w tym ręka Boga i że zostałem uratowany, bo jestem wybrany do przeprowadzenia wielkich dzieł na świecie i że wszyscy w jego kongregacji, którzy byli tu tego dnia są teraz pewniejsi niż kiedykolwiek, że Bóg istnieje i czyni dobro, i jeszcze dużo innych rzeczy w tym stylu.

Sprawił nawet, że ja zacząłem o tym myśleć, to znaczy o tym, iż zostałem uratowany dla czegoś większego. A potem pojawili się dziennikarze i inni lekarze – nawet nie wiem, kto ich wezwał – i zadawali mi pytania aż pomyślałem, że chyba zwariuję, ale lekarze powstrzymali ich i zabrali mnie do szpitala na obserwację.

Wprawiło mnie to w zdumienie.

–Zabrali cię do szpitala?

–Nawet na minutę nie pozostawiali mnie samego. Pisano o mnie na pierwszych stronach gazet, a z Tugers czy jakiejś innej instytucji przyjechał naukowiec i bez przerwy mnie wypytywał. Powiedziałem, że mam to anty-grawitacyjne urządzenie, a on roześmiał mi się w nos. Więc zapytałem: "A więc pan także uważa, że był to cud? Pan? Naukowiec?" A on odparł: "Jest wielu naukowców, którzy wierzą w Boga, lecz ani jednego, który wierzyłby, że antygravitacja jest możliwa". A potem dodał: "Ale proszę mi pokazać, jak to działa, panie Andersen, to być może zmienię zdanie". Ja zaś nie mogłem sprawić, żeby działało. Zresztą w dalszym ciągu nie mogę.

Ku memu przerażeniu Baldur zakrył twarz dłońmi i rozplakał się.

–Weź się w garść, Baldurze – powiedziałem. – To musi działać.

Potrząsnął głową i zduszonym głosem powiedział:

–Niestety nie. Urządzenie to działa tylko wtedy, kiedy wierzę, a ja nie wierzę już dłużej. Wszyscy mówią, że to cud. Nikt nie wierzy w antygravitację. Wszyscy śmieją się ze mnie, a ten naukowiec powiedział, że całe to urządzenie to jedynie kawałek metalu, bez żadnego silnika i kontrolek, oraz że według Einsteina, tego faceta od względności, antygravitacja jest czymś niemożliwym. George, nigdy nie powinienem był tego robić. Teraz już nigdy nie będę latał, ponieważ straciłem moją wiarę. Może nigdy nie była to żadna antygravitacja, lecz Bóg z nieznanego powodu działający poprzez ciebie. Zaczynam wierzyć w Boga, lecz utraciłem moją wiarę.

Biedaczysko. Oczywiście nigdy już nie latał. Zwrócił mi to urządzenie, które oddałem Azazelowi.

Ostatecznie Baldur porzucił swą dotychczasową pracę, powrócił do kościoła, obok którego wylądował i jest teraz diakonem. Traktuje się go z niezwyklejmi honorami, ponieważ wierni tego kościoła uważają, iż spoczęła na nim ręka Boga.

Spoglądałem na George'a uważnie, lecz jego twarz, jak zawsze, gdy opowiada mi o Azazelu, wyrażała całkowitą szczerłość.

–Czy to wydarzyło się niedawno, George? zapytałem.

–Zeszłego roku.

–I to wszystko prawda, łącznie z tymi bzdurami o cudzie, dziennikarzach, artykułami na pierwszych stronach gazet i całą resztą?

–Dokładnie.

–A więc jak wytłumaczysz, że nigdy nie czytałem o czymś takim w gazetach?

George sięgnął do kieszeni i wydobył pięć dolarów oraz osiemdziesiąt dwa centy, stanowiące resztę rachunku, jaki zapłaciłem za kolację, a które wcześniej ściągnął dyskretnie ze stołu. Położył banknot przed sobą i powiedział:

–Stawiam pięć dolarów, że potrafię to wyjaśnić. Nie wahając się ani chwili odparłem:

–Pięć, że nie potrafisz.

–Czytasz tylko New York Timesa, prawda?

–Prawda – odparłem.

–A New York Times, zgodnie z tym, co nazywa intelektualną poczytnością, zamieszcza wszelkie doniesienia o cudach na stronie trzydziestej pierwszej, w jakimś zakazanym miejscu obok reklam strojów kąpielowych typu bikini, prawda?

–Możliwe, ale dlaczego uważasz, że nie zauważyłbym tego, nawet gdyby było to w formie niewielkiej notatki?

–Ponieważ – dokończył triumfalnie George – wiadomym jest powszechnie, że oprócz rzucających się w oczy nagłówek niczego innego w gazetach nie czytasz. Przeglądasz New York Timesa jedynie po to, aby sprawdzić czy przypadkiem nie występuje gdzieś twoje nazwisko.

Pomyślałem nad tym przez chwilę, po czym pozwoliłem mu zatrzymać kolejne pięć dolarów. To, co powiedział nie jest prawdą, ale ponieważ wiem, że prawdopodobnie wyraził opinię powszechną, zdecydowałem, iż nie było sensu się spierać.

Spis treści

Wprowadzenie

DWUCENTYMETROWY DEMON

JEDNA NOC PIEŚNI

UŚMIECH, KTÓRY TRACI

WĄTPLIWA WYGRANA

TAJEMNICZY GRZMOT

ZBAWCA LUDZKOŚCI

SPRAWA ZASADY

CZĘSTE PICIE ZMIENIA ŻYCIE

CZAS NA PISANIE

ŚMIAŁO PRZEZ ŚNIEGI

LOGIKA JEST LOGIKĄ

MIŁOŚNIK PODRÓŻY

PRAWDZIWE PIĘKNO

WIĘCEJ RZECZY NA NIEBIE I ZIEMI

USPOSOBIENIE DUSZY

WIOSENNE POTYCZKI

GALATEA

FANTASMAGORIA

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-12-18